

PROF. JAN WIDACKI
CHAMSTWO, PODŁOŚĆ
I GŁUPOTA EUROPOSŁÓW

PROF. SZYMON RUDNICKI
POTOMKOWIE FALANGI

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO 25 LAT
„STRATEGII DLA POLSKI”

CZY **NOTEĆ**
WYSCHNIE NA WIÓR

POLACY ZA KIEROWNICĄ ZABÓJCY CZY SAMOBÓJCY

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311904



BRUNO GANZ
JAKO ZYGMUNT FREUD

AUSTRIACKIE
NAGRODY FILMOWE
4 NOMINACJE
AKTORKA DRUGOPLANOWA
AKTOR DRUGOPLANOWY
KOSTIUMY, MUZYKA

TABAK-TRAFIK

Zigarren
Zigaretten
Rauchrequisiten
Zeitungs
Verschleiss
Ansichtskarten

ADAPTACJA BESTSELLEROWEJ POWIEŚCI
ROBERTA SEETHALERA

TRAFIKANT

REŻYSERIA NIKOLAUS LEYTNER

W KINACH OD 19 LIPCA

Projekt współfinansowany w
ramach programu Unii Europejskiej
„Kolejny Europa”



AURORA

CYTATY

JERZY BACZYŃSKI,
redaktor naczelny
Przez 30 lat Polacy byli przekonani, że pracują, aby stworzyć lepszą przyszłość swoim dzieciom. PiS zaproponował, by żyć i wydawać kosztem dzieci.
„Polityka”

DR ROBERT SOBIECH,
socjolog
PiS jest świadomy, że elektorat za te 500, 1000 czy 1500 zł nie kupi sobie dobrych usług medycznych, dobrej edukacji, czystego powietrza.
„Polska The Times”

DAWID SZEŚCIŁO,
ekspert ds. administracji publicznej
Samorząd nie potrzebuje dziś rewolucji. Jest najbardziej udanym eksperymentem ustrojowym.
„Tygodnik Powszechny”

LOUIS CK,
komik amerykański
Nie ma czegoś takiego jak darmowy uśmiech.
„Forum”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Arłukowicz na prezydenta

Zaczął się ostatni rok prezydentury Andrzeja Dudy. I oby był to rok naprawdę ostatni. Wyciągnął go z kapelusza prezes Kaczyński, stawiając niewygórowane wymagania: żeby tylko wstydu nie było. Jego ówczesny wynik można porównać z sukcesem Wołodymyra Zelenskigo. Z tą różnicą, że prezydent Ukrainy jest komikiem z zawodu, a Duda z zachowania.

Nie spodziewam się po nim niczego dobrego. Wiadomo, że na niewiele spraw ma realny wpływ, bo został kompletnie zmarginalizowany. Dla prezesa Kaczyńskiego jest figurantem, który w niczym nie dorasta jego bratu. Do wykonania ma proste zadanie. Nie przeszkadzać w uprawianiu polityki, której ośrodek decyzyjny jest na Nowogrodzkiej. I bez mitręgi i szemrania podpisywać, co dostanie. I Duda podpisuje nawet najbardziej bzdurne ustawy, a potem nowe, poprawione wersje tych ustaw, i kolejne. W trakcie kończącej się kadencji podpisał tyle szkodliwych ustaw, że na jego przypadku studenci prawa będą się uczyć tego, czego nigdy nie wolno robić. Zwłaszcza temu, który miał być strażnikiem konstytucji, na którą przysięgał. Odwołując się przy tym do Boga.

Duda nie dość, że sam jest niekompetentny, to ma jeszcze bardzo słabą ekipę. Widać to było przy kompletnie nieudanych obchodach 100-lecia niepodległości Polski. I przy kuriozalnym pomysłem referendum konstytucyjnego z 15 pytaniami. Śmiali się z tego nawet politycy PiS.

Protestują środowiska prawnicze, dla których Duda, mający doktorat z prawa, jest ignorantem kierującym się prymatem polityki nad prawem. A wypowiedzi prezydenta na temat najnowszej historii Polski to mieszanina kłamstw i ideologicznego zacierzawienia.

Duda zapowiedział swoją prezydenturę jako niezłomną. I przez cztery lata rzadko wstawał z kolan, manifestując nadzwyczajną pobożność. Tak dewocyjnej głowy państwa jeszcze w Polsce nie było.

Nie mam wątpliwości, że Duda będzie ubiegał się o drugą kadencję. Ciekaw więc jestem, jak się wytłumaczy z wielu niezrealizowanych obietnic wyborczych.

Zbyt długo marnował wielki potencjał Polaków. Jest politykiem zamkniętym we własnym obozie politycznym. Choć w jego przypadku ten termin nic nie znaczy. Bo Duda większego znaczenia tam nie ma.

Jeśli więc nie Duda, to kto? Zaskoczę moich czytelników, a może nie, dając pod rozwagę kandydaturę Bartosza Arłukowicza. Polityka, który nie zmarnował ostatnich lat.

BĄKOWSKI

EBOOK
tylko
19,90 zł

**CZYTAJ,
GDZIE CHCESZ**

**NAJBARDZIEJ
PORĘCZNE
KSIĄŻKI
NA WAKACJE!**

sklep.tygodnikprzeglad.pl



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Polacy za kierownicą**
– zabójcy czy samobójcy
Lipiec miesiącem wypadków
- 16 Noteć wysycha, jeziora się kurczą**
– rozmowa
z dr. hab. Włodzimierzem Marszelewskim
- 20 Krynickie lato w cieniu przekopu**
Mieszkańcy przeciwni budowie kanału
- 24 Znów wielką Polskę wykuwają?**
– rozmowa z prof. Szymonem Rudnickim

PUBLICYSTYKA

- 12 Kto z kim? I dlaczego?**
Wielka niewiadoma opozycyjnych koalicji

ZAGRANICA

- 28 Święto tureckiej demokracji**
Erdoğan przegrał w Stambule
- 32 Najdłuższa kampania Bibiego**
Samorowiązanie parlamentu w Izraelu
- 34 Jak zbudować przekręt**
Deweloperzy symbolem oszustw
- 36 Handel ludźmi na uczelni**
Studenci chcą zadośćuczynienia

OPINIE

- 38 Grzegorz W. Kołodko**
Co nam dała „Strategia dla Polski”

HISTORIA

- 42 Zamiast niepodległości była klęska**
Warmia i Mazury – pomoc nie nadeszła
- 46 Takie układy**
Reportaż Teresy Torańskiej

KULTURA

- 50 Albo mnie kochają, albo nienawidzą**
– rozmowa z Aleksandrą Hamkało
- 52 Culturalia**
- 66 Polski plakat współczesny w Kioto**

EKOLOGIA

- 54 Miejskie łąki zamiast klepiska**
Kosić czy nie kosić?

PSYCHOLOGIA

- 58 Ćwicz wyobraźnię, a będziesz pamiętał**
– rozmowa z Bartłomiejem Borałem

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Arłukowicz na prezydenta
- 19 Jan Widacki**
Chamstwo, podłość i głupota
- 23 Roman Kurkiewicz**
Polska jako projekt nietrafiony
- 41 Tomasz Jastrun**
Wakacje i polityka
- 45 Ludwik Stomma**
20 lat później
- 57 Edward Mikołajczyk**
Wilcy i perfumowane lwy



24
KRAJ

ZNÓW WIELKĄ POLSKĘ WYKUWAJĄ?

– rozmowa z prof. Szymonem Rudnickim

50
KULTURA

ALBO MNIE KOCHAJĄ, ALBO NIENAWIDZĄ

– rozmowa
z Aleksandrą Hamkało



54
EKOLOGIA

MIEJSKIE ŁĄKI ZAMIAST KLEPISKA

Kosić czy nie kosić?

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. PIOTR JĘDZURA/REPORTER



Vincent Cassel

Od złego bohatera
do obrońcy Amazonii

Leszek Naziemiec

Przełtnąć Wisłę zimą

Waldemar Mierzwa

Mazurzy – legenda
zaginionego ludu



Prawny populizm

Polityki karnej i penitencjarnej w polskich więzieniach się nie prowadzi, bo nie ma tego kto robić. Tzw. wychowawcy zajmują się jedynie obsługą techniczną osadzonych i prowadzeniem dokumentacji. Polskie społeczeństwo tylko chce się mścić, nie interesując się, czy podejrzany jest winny. Był w historii taki prokurator, który twierdził: dajcie mi człowieka, a paragraf na niego znajdę. Obyście, kochani rodacy, nie stali się tymi, na których znajdzie się jakiś paragraf!

Smile

Należałoby zmienić cały Kodeks karny. Jego zapisy prowadzą do tego, że ponosimy ogromne koszty utrzymania skazanych. Dzieje się tak, bo w kodeksie w wielu przypadkach jest oznaczona kara pozbawienia wolności, a nie ma oznaczonej kary grzywny. Przykładem może być art.160 § 1: „Kto naraża człowieka na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”. Sąd nie ma innego wyjścia. Musi orzec karę pozbawienia wolności. W sprawach mniejszej wagi – karę w zawieszeniu. A można byłoby, wzorem niemieckiego prawa, wprowadzić możliwość orzekania kary grzywny, i to wysokiej. To m.in. dlatego w większych od Polski Niemczech jest mniej niż u nas osadzonych w więzieniach.

Marx



Jeszcze o jerzykach

Do tekstu o jerzyku (PRZEGŁĄD nr 26) warto dodać dwa uzupełnienia. Po pierwsze, w miastach ostatnio wywiesza się skrzynki lęgowe dla tego gatunku, co jest godne pochwały. Przy okazji pojawiła się jednak legenda, jakoby ptaki te ograniczały liczebność dokuczliwych komarów. Tymczasem latające zwykle bardzo wysoko jerzyki mają znacznie mniejszy na to wpływ niż polujące nisko trzy gatunki jaskółek – oknówka, dymówka i brzegówka. Złazki ostatnią w obfitujących w zbiorniki wodne miastach można by wykorzystać do tego celu, tworząc dla niej miejsca lęgowe: umieszczając w umocnieniach śródmiejskich nadbrzeży dodatkowe rury imitujące te odwadniające. I drugie, jerzyki to gatunki górskie, ale dawniej powszechnie gnieździły się też w bardzo starych lasach, co dziś obserwuje się w Białowiejskim Parku Narodowym oraz w chronionych lasach Białorusi i Rosji.

Ludwik Tomiałojć



Kaliszanie w Warszawie

Liczący 300 członków Klub Kaliszan w Warszawie obchodzi 30-lecie działalności. Z tej okazji 10 członków klubu otrzymało dyplomy jubileuszowe od marszałka województwa mazowieckiego Adama Struzika. Prezesem klubu od początku jest dr Bogdan Bładowski.

ZDJĘCIE TYGODNIA

Dwóch niszczycieli klimatu: elektrownia Bełchatów oraz premier Morawiecki, który stropował unijne plany osiągnięcia zerowej emisji do 2050 r. – takim komentarzem aktywiści Greenpeace'u opatrzyli zamieszczone w internecie zdjęcie z akcji przeprowadzonej pod koniec czerwca.





PYTANIE TYGODNIA

Czy zerowy PIT dla młodych jest dobrym pomysłem?

PROF. ELŻBIETA MACZYŃSKA,
Polskie Towarzystwo Ekonomiczne

Zacznę od wyjaśnienia, że osoby w wieku do 26 lat nie będą całkowicie zwolnione z podatku dochodowego, tylko nie będą go płacić od przychodów do wysokości 85 528 zł, co odpowiada górnej granicy pierwszego progu podatkowego. Jestem zwolenniczką wprowadzenia większej liczby progów, a nie komplikowania systemu poprzez wmontowywanie do niego rozmaitych zróżnicowań, w tym przypadku na podstawie kryterium wieku, ale są dwa argumenty za wspomnianym rozwiązaniem. Trudna sytuacja na rynku pracy motywuje młodych ludzi do wyjazdu za granicę, a taka ulga może w jakimś zakresie ograniczyć emigrację. Myślę jednak, że w niewielkim, bo dla decyzji emigracyjnych znaczenie ma nie tylko czynnik materialny, ale także chęć poznawania świata czy doskonalenia języka. Większy pozytywny wpływ jest możliwy, jeśli chodzi o ograniczanie szarej strefy, której istnienie wynika z chęci unikania podatków. Zwolnienie może zachęcić część młodszych pracowników do podejmowania pracy rejestrowanej, dzięki czemu od ich dochodów zaczną być odprowadzane składki emerytalne.

RAFAŁ WOŚ,
publicysta ekonomiczny,
„Tygodnik Powszechny”

Jestem przeciwny temu rozwiązaniu. Dalsze obniżanie podatków, które i tak są już niskie, nie jest dobrą drogą. Sednem problemu związanego z polskimi podatkami jest ich degresywność: im ktoś jest słabszy ekonomicznie, tym więcej płaci. Oczywiście zwolnienie z PIT jest jakąś formą ulżenia tym, którzy dopiero startują, ale zwalnianie słabszych grup z podatków jest najgorszą formą walki z degresją, bo łączy się ze spadkiem dochodów podatkowych budżetu państwa. W Polsce od paru lat rośnie akceptacja dla bardziej progresywnego systemu, w którym ze wzrostem zarobków wzrasta odpowiedzialność za stan finansów publicznych. Ostatnimi Mohikanami są tutaj politycy, którzy tkwią w przekonaniu, że Polacy są strasznie antypodatkowi, dlatego podatki można tylko zmniejszać. Ktoś, kto odważy się przełamać to myślenie, rozbije bank. Liczę, że lewica mądrze rozegra tę sprawę.

JAROSŁAW SOJA,
doradca podatkowy i programista

Takie zwolnienie, nieobejmujące umów o dzieło i działalności gospodarczej, być

może w jakimś stopniu przyczyni się do promowania zatrudnienia na umowy-zlecenia oraz umowy o pracę. Mimo wszystko nie jest to szczególnie trafiony pomysł. System podatkowy warto zreformować całościowo, zamiast wpisywać w niego kolejne rozwiązania szczegółowe. Największą wadą planowanej ulgi jest jednak to, że będzie to kolejny instrument, który przysporzy więcej korzyści lepiej zarabiającym. Osoba na granicy drugiego progu podatkowego, zarabiająca ponad 7100 zł brutto, również będzie korzystała ze zwolnienia w pełnym wymiarze, dzięki czemu zaoszczędzi ponad 550 zł miesięcznie, natomiast osoba, która otrzymuje płacę minimalną – 133 zł.

KONRAD BORYCZKO,
czytelnik PRZEGŁĄDU



Jeśli już, to nie zwolnienie, tylko preferencyjna stawka, np. 10%. W przeciwnym razie wychowamy kolejne pokolenie narzekające na państwo, które je okrada. Każdy dochód powinien być rozsądnie opodatkowany. Inaczej młody człowiek po tych kilku ulgowych latach wyjedzie z Polski.

Not. Michał Sobczyk

POLACY ZA KIEROWNICĄ zabójcy czy samobójcy

Lipiec – obok maja i października – to czas, kiedy dochodzi do największej liczby wypadków

Ewa Smolińska-Borecka

9 czerwca, niedziela, około godz. 13. Piękna, słoneczna pogoda. Na autostradzie A6 w kierunku Świnoujścia sznur samochodów. Pomiędzy węzłami Szczecin Dąbie i Szczecin Kijewo tir najeżdża na auto osobowe. Popchnięta osobówka uderza w samochód przed nią, ten w poprzedzający, tamten w kolejny... W sumie w karambolu bierze udział sześć samochodów osobowych i tir. Jeden samochód zaczyna płonąć, potem pożar zajmuje kolejne auta. Zanim zjawiają się służby, kierowcy innych samochodów ratują ludzi zakleszczonych w płonących wozach. Nie wszystkich udaje się w porę wyciągnąć. Na miejsce katastrofy przyjeżdżają strażacy, karetki pogotowia, śmigłowiec Lotniczego Pogotowia Ratunkowego. Bilans katastrofy: sześć osób zabitych, 11 rannych. W jednym z samochodów ginie niemal cała rodzina: troje dzieci, ich mama i babcia. Prokurator zarzuca kierowcy tira spowodowanie katastrofy w ruchu lądowym. Grozi mu od dwóch do 12 lat więzienia. Zostaje przewieziony do aresztu. Po blisko miesiącu wychodzi za kaucją w wysokości 5 tys. zł.

To był bodaj najtragiczniejszy wypadek na polskich drogach w tym roku. Ale nie ma dnia, by media nie przyniosły wiadomości o kolejnych ofiarach drogowych piratów. Od rozpoczęcia wakacji codziennie na naszych drogach ginie co najmniej sześć ofiar. Często, tak jak w przypadku karambolu na A6, dochodzi do staranowania samochodu osobowego przez tira. Krucha osobówka nie ma szans w starciu z 40-tonową ciężarówką.

24 czerwca w Myszyńcu Starym (województwo mazowieckie) tir marki Scania najeżdża na stojącego citro-

ëna. Auto zostaje wciśnięte w naczepę stojącą przed nim ciężarówką marki DAF. Na miejscu giną 49-letnia kobieta kierująca autem i 80-letnia pasażerka. Dziewięcioletni chłopiec śmigłowcem zostaje przewieziony do szpitala w Olsztynie. Po dwóch dniach umiera. Kierowca tira trafia do aresztu.

Wczesnym rankiem 3 lipca na drodze krajowej nr 10 w Emilianowie między Toruniem a Bydgoszczą kierowca chevroleta widzi, że wprost na niego jedzie fiat ducato, który nieprawidłowo wyprzedza tira. Aby uniknąć zderzenia, kierowca chevroleta odbija w lewo, uderza w bok ciężarówkę, a następnie zostaje pod nią zakleszczony. Auto zapala się, ogień obejmuje też ciężarówkę. Po ugaszeniu pożaru strażacy wyciągają spod tira chevroleta. Kierowca nie daje oznak życia.

Niedziela, 23 czerwca, godz. 17.50, Kolonia Stanisławów w powiecie mińskim. Kierujący hondą 28-letni mężczyzna z gminy Dobre na łuku

pas ruchu i zderza się z fiatem ducato, którym kieruje 22-letni Ukrainiec. Ginie 37-letnia pasażerka opla. Kierowca i dwoje dzieci z opla, a także dwóch pasażerów fiata trafia do szpitala. Sześć dni później, też na ul. Małkińskiej, tyle że w Ostrowi Mazowieckiej, 70-latką śmiertelnie potrąca 42-letniego pieszego.

Niebezpieczny czas

W 2018 r. na naszych drogach wydarzyły się 31 674 wypadki. Zginęły w nich 2862 osoby, a 37 359 zostało rannych. Pod względem liczby wypadków jesteśmy w połowie europejskiej stawki i jest tu tendencja malejąca. W latach 2009-2017, z wyjątkiem jednego roku, liczba wypadków, rannych i zabitych malała. – Rok 2018 częściowo utrzymał te tendencje, bo było mniej wypadków i mniej rannych niż rok wcześniej, ale o 31 wzrosła liczba ofiar śmiertelnych – informuje podinsp. Radosław Kobryś,

W 2018 r. w wypadkach drogowych zginęły w Polsce 2862 osoby, a 37 359 zostało rannych.

traci panowanie nad pojazdem, wypada z drogi i dachuje. Reanimują go policjanci i strażak OSP. Lotnicze Pogotowie Ratunkowe zabiera go w stanie ciężkim do szpitala. Po kilku godzinach mężczyzna umiera. Dwa dni później, po południu, w Nunie w gminie Nasielsk 56-letni kierowca opla astry próbuje wyprzedzić ciężarowego mercedesa. Kierowca ciężarówki już rozpoczął skręt w lewo do posesji. Dochodzi do zderzenia. Kierowca astry ginie na miejscu.

24 czerwca po godz. 16 na ul. Małkińskiej w oddalonym o 90 km od Warszawy Broku 37-letni mieszkaniec powiatu ostrowskiego kierujący oplem zafirą zjeżdża na przeciwny

radca Wydziału Opiniodawczo-Analitycznego Biura Ruchu Drogowego Komendy Głównej Policji. Niestety, jak podaje opracowanie „Wypadki drogowe w Polsce w 2018 r.” przygotowane przez KGP, skutki wypadków na polskich drogach są znacznie tragiczniejsze niż w innych krajach. Pod względem liczby ofiar wypadków śmiertelnych Polska zajmuje bowiem czwarte miejsce w Europie. Więcej śmiertelnych ofiar było tylko we Francji, Włoszech i w Niemczech. Najgorsze jest to, że jesteśmy niechlubnym europejskim liderem liczby zabitych na 100 wypadków. W Polsce wskaźnik ten wyniósł 8,6, w zajmującej drugie miejsce Grecji – 6,7, w Rumunii

W tym wypadku na miejscu zginęły cztery osoby, dwie w ciężkim stanie trafiły do szpitala.



Pod względem liczby ofiar śmiertelnych wypadków Polska zajmuje czwarte miejsce w Europie. Więcej śmiertelnych ofiar było tylko we Francji, Włoszech i w Niemczech.

– 6,3. Najniższy wskaźnik – 1,1 – miały Niemcy i Austria.

Najwięcej osób – 448 – zginęło na drogach województwa mazowieckiego, łącznie z Warszawą. Żadne inne województwo nawet nie zbliża się do tego tragicznego rekordu. Drugie miejsce w rankingu śmierci ma Wielkopolska – 261 osób, a trzecie – województwo łódzkie z liczbą 229 śmiertelnych ofiar. O tym, ile tragedii dzieje się na drogach, świadczy liczba zgonów na 100 wypadków. Najgorzej jest w województwach zachodniopomorskim (wskaźnik 17,6), podlaskim (15,2) i lubelskim (14,7).

Lipiec – obok maja i października – to czas, kiedy zdarza się najwięcej wypadków. W 2018 r. w tych trzech miesiącach doszło do niemal jednej trzeciej wypadków. Najwięcej osób zginęło w październiku (11,1%).

Do 27 556, czyli aż 87% wypadków doszło z winy kierującego. Śmierć poniosło w nich 2177 osób. Główną przyczyną wypadków jest zazwyczaj nieustąpienie pierwszeństwa przejazdu. Ale jeśli chodzi o liczbę zabitych, to w zeszłym roku więcej osób zginęło z powodu niedostosowania prędkości do warunków ruchu, czyli po prostu zbyt szybkiej jazdy. Z tego powodu zginęło 167 osób.

Do niemal trzech czwartych wypadków (71,2%) doszło w obszarze zabudowanym. Tu do przyczyn wypadków dochodzi nieustąpienie pierwszeństwa pieszemu.

Brawura młodych

Dlaczego, skoro jest mniej wypadków, więcej osób w nich ginie? – Winna jest prędkość – od razu wyjaśnia podinsp. Kobryś. – Liczymy, że rozszerzająca się siatka dróg szybkiego ruchu wpłynie na dalsze zmniejszenie liczby wypadków. Najbardziej śmiertelne są drogi z jedną jezdnią dwukierunkową, gdzie są skrzyżowania i przejścia dla pieszych. A tak przecież wyglądają drogi krajowe łącznie nawet duże miasta.

Na koniec zeszłego roku mieliśmy 3811 km dróg ekspresowych i autostrad. Według danych prezentowanych na portalu Skyscrapercity, w bardzo dobrym stanie było niespełna 3% polskich dróg, w przeważająco dobrym – 39%, przeciętnym – 45%, przeważająco złym i fatalnym – ponad 13%.

Nadmierna prędkość wynika z brawury kierowców, a ta bardzo często wiąże się z jazdą po spożyciu alkoholu, a ostatnio coraz częściej też

narkotyków. W 2018 r. policja przyłapała 105 tys. pijanych uczestników ruchu drogowego, połowa z nich miała ponad 0,5 promila alkoholu we krwi. Co jeszcze gorsze, wzrosła liczba spowodowanych przez nich wypadków. W 2018 r. nietrzeźwi kierowcy spowodowali 1614 wypadków (w 2017 r. – 1603), w których zginęły 203 osoby (w 2017 – 198), a rannych zostało 1965 osób (w 2017 r. – 1936).

Inna przyczyna wypadków to brak umiejętności. Zaczyna się już od błędów w szkoleniu. Ekspresowy kurs na prawo jazdy w indywidualnym toku można zrobić w kilkanaście dni. W normalnym trybie trwa to dłużej, ale na najbardziej popularne prawo jazdy kategorii B, czyli uprawniające do prowadzenia samochodu osobowego, wystarczy odbyć co najmniej 30 godzin lekcyjnych szkolenia teoretycznego i co najmniej 30 godzin szkolenia praktycznego. Czy w tym czasie można się nauczyć dobrze jeździć? Wątpliwe. W dyskusji na portalu motoryzacja/interia.pl sami instruktorzy nauki jazdy zwracają uwagę, że cały system szkolenia nastawiony jest na zdanie egzaminu, a nie nauczanie się jazdy. Tego zresztą oczekują kursanci. Najlepiej, żeby zdać na prawo jak najtaniej, jak najszybciej i bez

► zbędnego wysiłku. „Mało który człowiek ma tak rozwiniętą świadomość, by wiedzieć, że uczy się bezpiecznej jazdy nie tylko dla uzyskania papierka o nazwie prawo jazdy, ale przede wszystkim dla siebie. Mało kto rozumie, że chodzi tu o jego własne bezpieczeństwo, a także bezpieczeństwo innych ludzi, którzy znajdują się na jego drodze – pisze pan Artur. – Co więcej, wielu młodych kandydatów na kierowców jest przekonanych, że mają wybitny talent, znakomity refleks i szczególne predyspozycje do kierowania pojazdem. Wzorcem dla nich są: starszy brat, kumpel, koleś

Jak informuje instytut Samar, monitorujący rynek motoryzacyjny, od początku tego roku do końca czerwca sprowadzono do Polski 442 tys. używanych samochodów, przy czym prawie 70% z nich miało więcej niż 10 lat. W 2017 r. Najwyższa Izba Kontroli alarmowała, że średni wiek samochodu w Polsce to 15 lat, a ponad połowa aut poruszających się po polskich drogach ma usterki zagrażające bezpieczeństwu. Te auta muszą być co roku badane w stacji kontroli pojazdów. Mikołaj Krupiński z Instytutu Transportu Samochodowego zwraca uwagę na bardzo istotny problem.

samochód nie jest wyposażony w klimatyzację. Wówczas konieczne są częstsze przerwy w podróży. Zalecają je funkcjonariusze drogówki i lekarze. Ale kierowcy, którzy się śpieszą, lekceważą te porady. Choć ryzykują życiem i zdrowiem swoim i innych.

Przeciętny kierowca nawet nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo na styl jazdy wpływają jego kultura i stan psychiczny. Czy np. jest człowiekiem zakompleksionym, który – żeby dodać sobie animuszu – na drodze staje się demonem prędkości. Dr Andrzej Markowski od wielu lat zajmuje się psychologią transportu, jest honorowym przewodniczącym Stowarzyszenia Psychologów Transportu. Analizuje zachowania polskich kierowców, którzy za granicą są postrzegani jako nieodpowiedzialni. – Funkcjonowanie w jakiegokolwiek sytuacji zadaniowej, a prowadzenie samochodu jest właśnie taką sytuacją, wymaga spełnienia kilku warunków: trafnej samooceny, podjęcia właściwej decyzji i sprawnego jej wykonania – mówi Markowski. – A do tego konieczna jest stabilność intelektualna. Jak wskazuje m.in. badanie przeprowadzone w 1995 r. przez Instytut Transportu Samochodowego, a potem potwierdzone przez wiele kolejnych badań, kierowcy do 25. roku życia powodują wypadki trzy razy częściej niż osoby w wieku 26-60 lat. Młodzi ludzie bowiem jeżdżąc brawurowo, chcą potwierdzić swoją pozycję w grupie rówieśników, jeśli nie są jej pewni. Osoby w dojrzałym wieku w przeciwieństwie do nich nie

Jesteśmy niechlubnym europejskim liderem liczby zabitych na 100 wypadków.

z osiedla. Oni przecież wspaniale jeżdżą, cisną gaz do dechy, gdzie tylko się da, przepisy mają głęboko gdzieś. (...) Ja mam być od nich gorszy? I to jest wzorzec do naśladowania, a nie jakiś jeżdżący bezpiecznie kierowca o bogatej wiedzy. Ktoś taki to naiwniak i cykor, który boi się jeździć szybko i ryzykancko”. Instruktorzy zwracają też uwagę, że martwym przepisem jest obowiązek przeprowadzenia egzaminu wewnętrznego na koniec kursu. „Proszę mi wskazać szkołę kat. B, w której instruktor oblewa kursanta na egzaminie wewnętrznym i nakazuje dokupić dodatkowe cztery, sześć czy osiem godzin dodatkowych jazd? Już widzę te »życzliwe« komentarze w internecie”, zauważa pan Artur.

Kolejnym martwym przepisem jest obowiązek odbycia co najmniej czterech godzin szkolenia praktycznego poza obszarem zabudowanym. „W dużych miastach samo wyjechanie poza obszar zabudowany zajmuje często co najmniej pół godziny. Który instruktor ma na to czas? Czy można się dziwić, że Polacy nie potrafią jeździć po autostradach? A kto ich tego uczy?”, pyta Polski Kierowca, autor felietonu na portalu Motoryzacja/interia.pl.

Złomowisko Europy

Na bezpieczeństwo ruchu wpływa też stan techniczny pojazdów, przede wszystkim układu hamulcowego i układu kierowniczego. Tymczasem Polska stała się złomowiskiem Europy. Co roku sprowadzanych jest około miliona używanych samochodów.

– Jak się ocenia, ok. 70% tych samochodów ma cofnięte drogomicze, i to nawet bardzo znacznie. Tak więc wydaje nam się, że kupujemy samochód o przebiegu 200 tys. km, a faktycznie przejechał on 400 tys. I to jest niezwykle niebezpieczne, bo nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo wyeksploatowane są poszczególne elementy auta. Nie wiemy też, że należy wymienić jakiś element, który po określonym przebiegu trzeba zastąpić nowym. W tej sytuacji w każdej chwili może zawieść np. przewód układu hamulcowego. A kierowca nie ma świadomości, że może to się stać, bo jego części są dwa razy bardziej zużyte, niżby to wynikało ze wskazań licznika. Ocenia się, że zły stan techniczny pojazdów jest przyczyną zaledwie kilku procent wypadków w Polsce.

Najbardziej śmiertelne są drogi z jedną jezdnią dwukierunkową, gdzie są skrzyżowania, przejścia dla pieszych.

Ale specjaliści uważają, że to liczba bardzo zaniżona. Bo jeśli ktoś zjechał na przeciwległy pas drogi i zderzył się z innym samochodem, zazwyczaj jako powód wypadku podaje się niedostosowanie prędkości do warunków jazdy. Tymczasem przyczyną może być np. awaria systemu kierowniczego. Jeśli w wyniku wypadku samochód został znacznie zniszczony, to ze względu na wysokie koszty nie jest on badany przez eksperta, który mógłby znaleźć faktyczny powód wypadku.

W wakacje życia kierowcom nie ułatwiają upały. Szczególnie jeśli

muszą nikomu niczego udowadniać. Poza tym zachowanie na drodze jest zależne od aspektu kulturowego. Istotne jest, jaki jest system wartości w danym kraju, jaki jest stosunek do drugiego człowieka. Tam, gdzie drugi człowiek jest traktowany jako podmiot, gdzie interes innych jest tak samo ważny jak mój, istnieje większa skłonność do przestrzegania norm. Prawdziwe jest powiedzenie: „Pokaż mi, jak jeździsz, a powiem ci, kim jesteś”. Na żadnym polu działalności człowieka ta zależność nie jest tak bardzo widoczna.



Z tego peugeot'a po zderzeniu z domem w Zielonej Górze niewiele zostało. Na szczęście nikt nie zginął, ranna została pasażerka.

nad chodzeniem po drodze. Chcielibyśmy, by efektem tej refleksji była zmiana sposobu jazdy kierowców na bardziej bezpieczny. Ale także skłonienie pieszych do uważniejszego poruszania się, bo przecież w wielu tych wypadkach ofiarami są właśnie piesi, którzy są niechronionymi uczestnikami ruchu drogowego. Na przykład w niedzielę, 30 czerwca, na osiem wypadków ze skutkiem śmiertelnym, trzech zabitych to byli piesi.

Na ubiegłorocznej mapie wypadków śmiertelnych widać wyraźnie, że choć wakacyjne podróże wiodą głównie nad morze, na Mazury lub w góry, to wcale nie tam było najwięcej wypadków, lecz w centralnej Polsce. Podinsp. Kobryś uważa, że to może być zaskakujące dla kierowców

A co z seniorami na drodze? Kierowcy starsi, powyżej 60. roku życia, powodują 2,5 razy częściej wypadki niż osoby w wieku 26-60 lat. Na początku roku Unia Europejska zapowiedziała, że zamierza wprowadzić zmiany dotyczące kierowców powyżej 60. roku życia. Chodziłoby o obowiązkowe badania. Ministerstwo Infrastruktury zdecydowało jednak, że na razie nie wprowadzi obowiązkowych badań psychologicznych i medycznych dla seniorów. Jedynie zachęca się starszych kierowców, by sami poddawali się takim badaniom, żeby mieć świadomość, czy nie stanowią zagrożenia na drodze z powodu obniżonej kondycji psychicznej czy chorób.

Mapa śmierci

Mogłyby być czarne krzyże, bo wyglądałyby dramatyczniej. Ale są pulsujące czerwono-żółte kółeczka i czarne żałobne kropki. Pulsujące kółeczka to liczba wypadków ze skutkiem śmiertelnym z ostatniej doby, czarne kropki to liczba tych wypadków od początku wakacji, czyli w tym roku od 19 czerwca. Po raz pierwszy Komenda Główna Policji zdecydowała się tworzyć taką wirtualną mapę dzień po dniu. W poniedziałek, 1 lipca, przybyło osiem czerwono-żółtych kółeczek, czyli osiem wypadków, w których w niedzielę zginęli ludzie. We wtorek

Kierowcy do 25. roku życia trzy razy częściej powodują wypadki niż osoby w wieku 26-60 lat.

na mapie pojawiło się siedem czerwono-żółtych kółek, w środę – dziewięć, w czwartek – pięć. W takim tempie prawdopodobnie będzie ona rostać aż do końca wakacji. Do 4 lipca liczba wypadków z ofiarami śmiertelnymi wyniosła 108 osób. I nie można wykluczyć, że się zwiększy, bo część uczestników innych wypadków trafiła do szpitali. A jeśli śmierć nastąpi do 30 dni od wypadku, jest klasyfikowana jako śmierć poniesiona w wyniku wypadku.

Kropki będą pokrywać mapę Polski coraz gęściej. Policjanci mają nadzieję, że te wakacje będą mniej tragiczne od ubiegłorocznych, kiedy od 22 czerwca do 1 września doszło do 592 wypadków ze skutkiem śmiertelnym.

– Mapa ma być jednym z elementów prewencji – mówi podinsp. Radosław Kobryś. – Niemal każdy dorosły człowiek posługuje się smartfonem, w każdej chwili może wejść na stronę policja.pl i zapoznać się z aktualnym stanem wypadków śmiertelnych. Teraz wszyscy oczekują szybkiej informacji. My oczywiście przygotowujemy też pogłębione analizy, ale w tym przypadku chodziło nam o to, by był to bodziec, impuls do refleksji: nad sposobem prowadzenia pojazdu,

udających się na wakacje. Ale jest też inna zdumiewająca informacja. – Ponad 76% wszystkich wypadków, do których doszło podczas ubiegłorocznych wakacji, zdarzyło się przy dobrych warunkach atmosferycznych, 84% na suchej nawierzchni, 85% przy świetle dziennym, a 78% na prostych odcinkach dróg – mówi podinsp. Kobryś. – Zatem nie noc, nie deszcz czy zawierucha są najgroźniejsze dla kierowców, ale dobra pogoda.

Spoty uczą

Każdego roku pojawiają się nowe kampanie uświadamiające, jak zachować bezpieczeństwo na drodze. Edukują i kierowców, i pieszych. Niby proste, a jednak nie. Prawie połowa wypadków z udziałem pieszych zdarza się na zebrawach. I nie zawsze winny jest kierowca. W co trzecim winę ponoszą piesi, którzy wbiegają na jezdnię, chcąc zdążyć do autobusu, lub ignorują sygnalizację świetlną. Nierzadko są to ludzie starsi, poruszający się o lasce.

– Kiedy pieszy zbliża się do pasów, włącza mu się opcja nieśmiertelność – uważa podinsp. Kobryś. – Zakłada: mam pierwszeństwo, więc idę. Tylko że my w ruchu drogowym mamy

► takie brutalne stwierdzenie: tych, co mieli pierwszeństwo, jest mnóstwo na cmentarzu. Co obserwujemy? Z lewej strony przejścia zatrzymuje się samochód. Pieszy idzie jak koń z kłapkami na oczach, przed siebie. Nie sprawdza, co się dzieje z prawej strony ani czy jakiś samochód nie omija tego stojącego. I czasami zostaje z całym impetem potrącony na lewej części drogi. Oczywiście wina jest tego, który omijał stojący pojazd. Ale jakie to ma znaczenie dla pieszego, który zginął?

W telewizji można teraz zobaczyć spot „Żyj i pozwól żyć innym”, zachęcający do przestrzegania pierwszeństwa przejazdu, zamówiony przez Ministerstwo Infrastruktury i Krajową Radę Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego. Młody mężczyzna prowadzi samochód. Skrzyżowanie. Z prawej strony nadjeżdża inny pojazd. Ma pierwszeństwo. Ale mężczyzna go nie przepuszcza, bo się śpieszy. Głos siły wyższej mówi, że ma wybrać, kogo zabił: dziadków, którzy jadą do wnuka na urodziny, matkę wracającą z córką z przedszkola czy świeżo upieczonego ojca jadącego do szpitala po noworodka. Zanim kierowca odpowie, głos – Bóg, siła wyższa – decyduje za niego, bo jego czas minął. Glinie matka wracająca z córką z przedszkola. Koniec spotu.

Czy ta kampania przemawia do wyobraźni? Może nie do każdej. Dla mnie jest poruszająca. Bardziej niż ubiegłoroczna „Nie skreślaj życia tak prędko”, uznana przez blogerów motoryzacyjnych za nudną. Niedostępnym wzorem są spoty robione w Nowej Zelandii i Australii, które można odnaleźć na YouTube. Na przykład: mężczyzna siedzi w fotelu, jest smutny. Na ścianach pokoju w zamożnym domu mnóstwo fotografii. Ogląda zdjęcia w albumie. Inny pokój w innym domu. Kobieta. Też jest smutna. Też ogląda zdjęcia. Kolejny pokój i kolejny. Do tego muzyka, która wzmacnia dramatyzm. A potem każdy z bohaterów pokazuje zdjęcie najbliższej osoby, a napis informuje, że miała tyle i tyle lat, kiedy zginęła w wypadku. A choć nasze spoty w pewnym stopniu na nich się wzorują, jednak tamte są doskonałe, zrobione z dbałością o każdy szczegół: obraz, muzykę. Mamy od kogo się uczyć. I robienia spotów. I zachowania na drodze.

Ewa Smolińska-Borecka

Kto z kim? I dlaczego?

Robią parówki na naszych oczach, czyli anty-PiS
szykuje się do wojny z Kaczyńskim

Robert Walenciak

Po wyborach europejskich polska polityka przez kilka tygodni była w szoku. Przede wszystkim Platforma Obywatelska i grupa publicystów, która ją wspierała. Bo okazało się, że projekt Koalicji Europejskiej, czyli zjednoczenia wszystkich sił anty-PiS (poza Wiosną Roberta Biedronia) nie wypalił. Koalicja przegrała z PiS wynikiem 38:45. Zaczęto więc szukać przyczyn porażki, winnych, w końcu pomysłu na dalszą walkę.

Ale ten szok mija. Partie szykują się do jesiennej rozgrywki. Co ciekawe, najwięksi optymiści sprzed wyborów europejskich, ci, którzy wieszczili triumf Koalicji Europejskiej, dziś tak samo autorytarnie twierdzą, że PiS ma już wygraną w kieszeni, że wszystkie karty są już rozdane. Nie zgadzam się z tą opinią. Nic nie jest rozdane. Specyfika polskich wyborów polega na tym, że mamy dużą grupę wyborców

ona ostateczna. Że sprawy jeszcze przez jakiś czas będą się domykać.

Nauka z eurowyborów

Dlaczego tak? A dlatego, że politycy opozycji, po pierwsze, muszą wiedzieć, dlaczego przegrali z PiS, a po drugie, muszą tak ułożyć koalicję i listy wyborcze, żeby zadowolić swój aparat. Bo to partyjne aparaty mają w tej chwili najwięcej do powiedzenia i ich interes jest najszerzej uwzględniany. Reszta, czyli plan kampanii, jej hasła, program itd., przyjdzie później.

Ale zacznijmy od sprawy numer 1. Otóż coraz mocniej przebija się teza, że Koalicja Europejska przegrała dlatego, że była za szeroka. Że wepchnięcie do jednego worka antyklearyków i konserwatystów nie mogło się udać. Że tak można połączyć partyjne aparaty, ale nie wyborców. Poza tym szeroka koalicja nie dość, że zniechęca wyborców, to jeszcze prowadzi na manowce polityków.

**Dla tych, którzy chcą hamować klerykalizację Polski,
Platforma jest niewiarygodna.**

niezdeklarowanych, którzy decyzję podejmują w ostatniej chwili, przeważnie pod wpływem impulsu. Jaki to będzie impuls – nikt dziś tego nie wie. Innymi słowami – ponieważ wiele jeszcze może się zdarzyć, a siły PiS i anty-PiS są zbliżone, wynik wyborczy może być różny. Zależać on będzie i od przypadku, i od tego, jak partie przygotowują się do jesiennej batalii. I jak ją rozegrają.

W najbliższych dniach te przygotowania zostaną sfinalizowane. Ba, piszę ten tekst w piątek, ukaże się on w poniedziałek, a w weekend partie będą decydować, w jakich koalicjach pójdą do wyborów. Wielkie znaczenie będzie miała tu decyzja PSL. Nie przesądzając – myślę, że i tak nie będzie

Wiele mówiąca była tu reakcja liderów Platformy na wydarzenia związane z Kościołem. Najpierw, 4 czerwca, mieliśmy mocne, antyklerykalne wystąpienie Leszka Jażdżewskiego podczas platformerskiej imprezy zorganizowanej na Uniwersytecie Warszawskim. Liderzy PO najpierw nic o tym nie mówili, a potem jeden po drugim zaczęli się dystansować od tego wystąpienia. Ale za chwilę mieliśmy film braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu”, więc PO zrobiła kolejny zwrot i jej politycy zaczęli machać dziecięcymi bucikami. Nawet w Sejmie, gdzie duchownych nie ma.

Ten brak powagi w obliczu poważnego tematu, miotanie się od ściany



Czy PO, PSL i SLD
jeszcze raz wystartują
wspólnie w wyborach?

do ściany, nie mogły dla PO dobrze się skończyć. Dla tych, którzy chcą hamować klerykalizację Polski, Platforma jest niewiarygodna. Z kolei wyborcy konserwatywni, z mniejszych miejscowości, podejrzewają, że PO podejmie walkę z Kościołem. Tę sytuację podsumował trafnie Jarosław Flis, mówiąc, że im szersza koalicja, tym większe ryzyko utraty głosów na skrzydłach, co niweluje zyski ze zjednoczenia.

W ostatnich tygodniach zaczęła więc zwyciężać koncepcja dwóch list antypisowskiej opozycji. Pytanie tylko, jak te listy miałyby wyglądać. A konkretnie – kto miałby iść do wyborów samodzielnie – PSL czy lewica?

PSL narzuca ton

Jeśli chodzi o koncepcję dwóch list opozycji, to najmocniejszy sygnał przyszedł ze strony PSL. Ludowcy jako pierwsi ogłosili, że Koalicja Europejska przestała istnieć, i powołali do życia Koalicję Polską, do której zaczęli zapraszać i polityków, i osobistości o przekonaniach centrowych i prawicowych. I tak w ich gronie znaleźli się Władysław Teofil Bartoszewski i niedawny poseł PO Marek Biernacki.

– Skorzystałem z propozycji, by budować Koalicję Polską i skończyć plemienną wojnę. Wyrzucono mnie z PO, a przez ten czas partia zdążyła porozumieć się z Barbarą Nowacką

i rozmawia z Wiosną. Trudno sobie wyobrazić mnie w tym towarzystwie. Ja jestem wierny swoim poglądom. Wyobrażam sobie koalicję PO-PSL do Sejmu – to słowa Biernackiego w rozmowie z „Gazetą Wyborczą”. A, dodajmy, wyrzucono go, gdy zagłosował za odrzuceniem projektu „Ratujmy kobiety” już w pierwszym czytaniu, a także za skierowaniem do dalszych prac restrykcyjnego projektu „Zatrzymaj aborcję”, który zakazywał przerywania ciąży w przypadku ciężkiego i nieodwracalnego uszkodzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu.

Teraz Biernacki znalazł swoje miejsce w klubie PSL, gdzie został przyjęty z otwartymi rękami. Skąd ten zwrot ludowców? Jeszcze parę miesięcy temu rozmawiali z SLD o wspólnej koalicji, a teraz wchodzi w rolę partii przykościelnej?

Powód jest oczywisty. PSL toczy twarde boje z PiS na wsi i w małych miastach. A to są środowiska raczej konserwatywne, zatem i uczulone na antyklerykalne filipiki polityków PO i lewicy. Władysław Kosiniak-Kamysz stanął więc przed dylematem wyboru sposobu ratowania wpływów PSL. A każde rozwiązanie łączy się z ryzykiem. Pozostanie w wielkiej koalicji z PO, razem z lewicą, to dalszy spadek wpływów PSL w jego tradycyjnych bastionach. A w perspektywie – stop-

niowe zanikanie. Wyjście – to ryzyko rozbicia się o próg 5%. I katastrofa. I tak źle, i tak niedobrze. Aparat PSL, działacze z pierwszej linii frontu muszą zdecydować, świadomi, że twarde bój przed nimi.

Pisząc te słowa, nie znam sobotniej decyzji PSL o wyborczej koalicji – czy idzie do wyborów samo, czy z PO. W każdym razie, ponieważ jest to dla PO partner pierwszego wyboru, decyzja ludowców zaważy też na losach lewicy.

Lewica, czyli wola aparatu

Lewica także znalazła się w schizofrenicznej sytuacji. Bo z jednej strony, poparcie dla partii lewicowych, jest w sumie kilkunastoprocentowe, czyli daje możliwość dobrego wyniku. Z drugiej – lewica jest podzielona i szanse na to, że animozje zostaną odłożone na bok i powstanie wspólna lista, są bliskie zeru.

Podział lewicy wynika z wielu względów. Nie tylko historii i stosunku do PRL oraz osobistych pretensji. Ostatnio ważny się stał stosunek do PO. Mamy więc z jednej strony Barbarę Nowacką, która jest już *de facto* częścią PO, lewicową paprotką w partii Schetyny. Z drugiej strony jest Partia Razem, która mówi, że z liberałami na pewno nie pójdzie do wyborów. Pośrodku jest SLD, który bardzo chce

► iść z Platformą, tylko Platforma jeszcze nie wie, czy tego chce. Potem mamy Wiosnę, która nie wie, czy chce, no i Unię Pracy, która też zachowuje dystans do PO i wołałaby wspólną listę lewicy.

Najciekawszy jest los SLD. W wewnętrznym referendum 87% działaczy partii poparło ideę pójścia do wyborów w koalicji, w domyśle – koalicji z PO. Można tę decyzję łatwo zrozumieć – SLD balansuje na granicy progu 5%, a w zasadzie jest pod progiem. Wspólny start z PO jest gwarancją, że 10-15 polityków Sojuszu dostanie się do Sejmu. Można będzie

mówi: „Daję ci pięć-sześć miejsc biorących. A jeśli uważasz, że to za mało, to możesz sobie iść”. I co wtedy może zrobić przewodniczący SLD?

W innej sytuacji jest Wiosna. Jeszcze dwa miesiące temu Robert Biedroń oferował Schetynie stanowisko wicepremiera w swoim rządzie. Już wiadomo, że jest to propozycja nieaktualna. I że sytuacja się odwróciła – to Biedroń puka grzecznie do drzwi Schetyny, by negocjować wejście do koalicji z PO. Skąd ta wolta? Wiosna w ostatnim czasie ma ich zresztą na koncie więcej, a główną jest decyzja Biedronia, że nie rzeka się mandatu

bardziej niebezpiecznym. Bo Wiosna ma większe poparcie niż Sojusz i wyborców, którzy sami z siebie nie przejdą do PO. Bo żadne „mniejsze zło” do nich nie przemawia.

Jak wyciszyć lewicę

Jest jeszcze jeden element, który liderzy PO muszą uwzględnić. Otóż Biedroń trzyma w rękach wytrych do głównego wyborczego problemu Platformy, czyli do niefunkcjonalności wielkiej, antypisowskiej koalicji. Wspominałem o tym wcześniej – Koalicja Europejska okazała się niefunkcjonalna, utrata głosów na skrzydłach niwelowała premię za zjednoczenie. A dlaczego koalicja traciła na skrzydłach? Dlatego,

że Wiosna postawiła w publicznej debacie sprawy, które zaburzyły narrację PO. Bo nagle pojawiły się sprawy Kościoła, klerykalizacji życia publicznego i Platforma nie potrafiła na nie zareagować. Bo gdy milczała – traciła głosy na rzecz Biedronia, gdy zabierała głos – zrażała sobie część konserwatywną, a także tę głosującą na PSL.

Gdyby natomiast Biedroń został spacyfikowany, gdyby się nie odzywał, te tematy zostałyby wyciszone w debacie publicznej. Platforma przez inne morza by płynęła, najpewniej z lepszym rezultatem. Dlatego Wiosna na listach PO, jacyś jej przedstawiciele, jest tak cenna. Bo rozbiłoby to obóz tworzącej się nowej lewicy, wyciszyłoby ją w publicznej debacie. I w ten sposób spełniłoby się marzenie liberalnych publicystów – żeby lewica głosowała na PO, nic w zamian nie żądając. No może paru miejsc biorących, ale tego żądać będzie partyjny aparat, nie wyborcy.

Wybór Grzegorza

Można więc powiedzieć, że Grzegorz Schetyna ma komfortową sytuację. Przegrał majowe wybory, a jest silniejszy. Skonsumował Nowoczesną – tej partii już nie ma. Wypchnął z polityki krajowej Donalda Tuska, który chyba zrozumiał, że w coraz większym stopniu odgrywa rolę byłego. No i teraz może wybierać koalicjanta –

PSL toczy twarde boje z PiS w środowisku wiejskim i małych miast.

założyć własne koło, a może i klub, i przeżyć. Tyle że jako wasal PO.

Ten wspólny start jest dla działaczy SLD tym łatwiejszy, że coraz mniej ich od PO różni, bo jedno i drugie ugrupowanie jest coraz mniej ideowe i nie przykłada się tam większej wagi do spraw programowych. A łączy ich niechęć do PiS. No i apetyt na owoce władzy...

Problem polega na tym, że na kolejną koalicję z SLD działacze PO kręcą nosem. Z kilku względów – że to komuna, że lewica, że dali już, co mieli najlepszego – czyli trzech premierów – na listy wyborcze do europarlamentu i już nie mają kogo dać. Ale główny powód jest jeden – aparat PO nie chce SLD-owskich kandydatów na listach, bo w ogóle nie chce się posunąć. Działacze Platformy uważają, że bez SLD zdobędą tyle samo głosów, co z SLD, albo i więcej. Po co więc brać zbędny balast? Ich stosunek do Sojuszu jest zatem mniej więcej taki, jaki Sojusz miał do innych partii lewicowych w ramach koalicji Lewica Razem.

A to jest sytuacja, która zmusza Grzegorza Schetynę do powściągliwości wobec załotów SLD. Można zresztą powiedzieć, że daje mu dużą swobodę manewru. Bo wyobraźmy sobie taką sytuację – przychodzi Czarystas do Schetyny, a ten mu

europośta (co obiecywał), tylko zostaje w europarlamencie. Odebrane to zostało jednoznacznie i bardzo źle.

Wydawać by się mogło, że po takich woltach Wiosna powinna szorować po dnie w sondażach, mieć 2% albo i mniej. Tymczasem w dwóch kolejnych zanotowała 8%! Jak to rozumieć? Może tak, że Wiosna ma swoich wyborców? Skłonnych przekonać wpadki lidera, wierzących, że w innych sprawach, dla nich bardzo ważnych – Kościoła, aborcji, LGBT, kolejnych lewicowych postulatów – jest wiarygodny? A przynajmniej dużo bardziej wiarygodny niż PO i SLD.

Jeżeli tak jest, to Robert Biedroń jest dla PO koalicjantem dużo atrakcyjniejszym niż SLD, choć też dużo



Polska
Rzeczywistość
Ludowa

POMOŻECIE?

NOWA SERIA KSIĄŻEK „PRZEGLĄDU”

Odpowiadając na apele Czytelników, wydajemy serię książek o Polsce Ludowej. Pokażemy jej obiektywny i wyważony obraz. Jesteśmy to winni młodemu Polakom, którym zamiast prawdy serwuje się kłamstwa. Zainteresowanych tą serią prosimy o wsparcie. Każda wpłata na poniższe konto ma znaczenie.

Fundacja Oratio Recta
ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl fcc32f1861



Jarosław Kaczyński zbudował skuteczną koalicję. Opozycji będzie znacznie trudniej.

albo ludowców, albo lewicę. I to na swoich warunkach.

Te możliwości tworzą jednak dla PO poważne zagrożenia. Koalicja Europejska nie była dla PO niebezpieczna, bo była obła, i gdyby nie Biedroń oraz film Sekielskich, w europejskiej kampanii nie byłoby niczego, co poza ową obłóć wychodziło.

Tymczasem teraz takiej koalicji wszystkich w imię objęcia foteli w Sejmie stworzyć już się nie da. PO musi wybrać, czym chce być. Gdy pójdzie do wyborów z PSL – wybierze drogę umiarkowanej chadecji i będzie musiała pozostawić lewicy wyborców wielkomiejskich i antyklerykalnych. A z nimi jest emocjonalnie związana.

Inny wariant – pójście z lewicą i zostawienie w centrum PSL, również nie jest dla Platformy wygodny. Bo oznaczałby bardzo mocne przesunięcie Schetyny w lewo. Tym wyraźniejsze, że PO nie ma własnych poglądów. Ale to będzie też oznaczać dla PO odpuszczenie, raczej trwałe, wyborców centrowych i konserwatywnych. Czyli oddanie znacznej ich części PiS. A przecież o tym, kto wygrywa w wyborach, decyduje zdolność przejścia centrum, przejścia niezdecydowanych.

I jest jeszcze wariant numer 3 – Platforma idzie do wyborów sama, zostawia PSL i lewicowe partie swojemu losowi. Podbierając im, zwłaszcza Wiośnie i SLD, co ciekawszych polityków i dając im miejsce na swo-

ich listach. To jest wariant na dobiecie lewicy, na absolutną hegemonię po stronie anti-PiS. No i na przegranie wyborów w nadziei, że już w następnych pójdzie świetnie.

Platforma stoi więc przed potężnym dylematem, wyborem politycznej drogi. A wybrać musi.

I jeszcze jedno – gdy już wybierze, gdy zostanie określone, jak będą wyglądać wyborcze koalicje anti-PiS, trzeba będzie bardzo pilnować, by ta mniejsza koalicja dostała jak najwięcej głosów. System d'Hondta tnie mniejsze ugrupowania do bariery 10-11%. Powyżej już mandatów nie zabiera. Łatwo więc się domyślić, że głównym obiektem ataku PiS będą ci mniejsi. Żeby zepchnąć ich pod próg 10%, a najlepiej 5%.

Lewica z lewicą

W każdym z tych wariantów będziemy świadkami bratobójczej walki polityków lewicy. On zresztą już trwa. Barbara Nowacka, która w PO jest już na stałe i znalazła się w jej Komitecie Wyborczym, przy każdej okazji atakuje byłych kolegów. Włodzimierz Czarzasty nie szczędzi uszczypliwości Robertowi Biedroniowi. Adrian Zandberg też swego czasu powiedział parę słów za dużo.

Te różne ataki padały w przestrzeni publicznej, docierały do działaczy, do wyborców. Jak więc teraz im tłumaczyć, że politycy lewicy znów się ko-

chają? Cztery lata temu, gdy mieliśmy wspólny start SLD i palikotowców, to się nie udało.

Oczywiście inaczej będzie, gdy powstanie koalicja lewicowych partii z PO. Ona w naturalny sposób zmusi polityków lewicy do milczenia. Niby będą razem, ale nie będą. Inna sprawa, że ich wejście do koalicji z PO oznaczać będzie ich wasalizację. Che Guevara mówił – lepiej umrzeć na stojąco, niż żyć na kolanach. W tym przypadku związek z PO oznaczać będzie życie na kolanach. Przehandlowanie wyborców za mandaty.

Z kolei wariant koalicji lewicowej na papierze wygląda bardzo interesująco. Ale w rzeczywistości jest szalenie trudny do zrealizowania. Bo taka koalicja nie miałaby pieniędzy, wpływów w mediach, skazana byłaby na rywalizację, na ciągłe animozje.

A jeśli jedni wskoczą do koalicji z PO, a drudzy pójść do wyborów samodzielnie? O! Łatwo sobie wyobrazić, co będzie się działo...

Uff... Wygląda to okropnie. Bismarck mówił, że ludzie nie powinni oglądać dwóch rzeczy – jak się robi parówki i jak się robi politykę. A właśnie ten etap, robienia parówek, obserwujemy. Na szczęście za chwilę się skończy, ułoży się to, co miało się ułożyć, i ruszy kampania. I wtedy będziemy mogli porozmawiać, jakie z tego wyszło danie.

Robert Walenciak

Rozmawia Małgorzata
Szczepańska-Piszcz

Noteć wysycha, jeziora się kurczą

Wszystko, co trafia do rzek, pochodzi z wód opadowych. A tych na Kujawach i we wschodniej Wielkopolsce jest niewiele

Noteć wysycha. Ekolodzy twierdzą, że to przez kopalnię odkrywkową węgla brunatnego Konin w Tomiśławicach*. W rezultacie Noteć miejscami zamieniła się w bagno, a są miejsca, gdzie po drugiej co do wielkości rzece Wielkopolski zostało tylko suche koryto. Kopalnia do winy się nie przyznaje i zrzuca całą winę na globalne ocieplenie. Kto ma rację?

– Sprawa nie jest prosta. Po pierwsze i najważniejsze – trzeba pamiętać, że zlewnia Noteci znajduje się na obszarze najmniej zasilanym opadami atmosferycznymi w całej Polsce. A woda w rzece pochodzi przecież z opadów atmosferycznych. **A wody gruntowe?**

– Też są z opadów. Jedynie wody głębokie, juwenilne, w warstwach kredowych i starszych, pojawiające się po raz pierwszy na powierzchni Ziemi, zresztą z pomocą człowieka, są niezależne od deszczów. Czyli wszystko, co trafia do rzek, pochodzi z wód opadowych. A tych na Kujawach i we wschodniej Wielkopolsce jest niewiele.

Na skutek działalności człowieka?

– Nie. To są głównie anomalie klimatyczne. Polska leży w strefie klimatu umiarkowanego, zwanego przejściowym, bo pomiędzy klimatem kontynentalnym na wschodzie i morskim na zachodzie. Stąd te nasze częste zmiany pogodowe. Wilgotne masy z zachodu tracą oddziaływanie i opadów jest mniej, a ze wschodu działa klin wysokiego ciśnienia, który nie podwyższa wilgotności powietrza. Od północy wpływ Bałtyku, który jest małym morzem, kończy się na Pojezierzu Pomorskim i wilgoć nie dociera dalej. Więcej opadów mamy na północy, również na południu, zwłaszcza w rejonach górskich. A deszcze w środkowej Polsce są bardzo skromne, średnio poniżej 500 mm rocznie. To bardzo mało. Najmniejsze zaś opady występują w zlewni Noteci.

W rezultacie średnio w ciągu sekundy z kilometra kwadratowego w zlewni Noteci odpływają ku morzu tylko 2 litry wody. Średnia dla Polski wynosi 5,5 litra. Na obszarach górskich jest powyżej 15 litrów. A wy-

soko w górach – więcej niż 30 litrów. I tak było wcześniej, gdy nie działała tam żadna kopalnia odkrywkowa.

Czyli kopalnia nie jest niczemu winna?

– Kopalnia doskonale zdaje sobie sprawę z negatywnego oddziaływania i prowadzi stały monitoring, m.in. glebowy, hydrologiczny i hydrogeologiczny. Płaci duże odszkodowania rolnikom, gdy kiepskie plony wynikają z obniżającego się poziomu wód gruntowych.

Jednak w sprawie Noteci kopalnia zrzuca winę na globalne ocieplenie.

– Badania Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej – Państwowego Instytutu Badawczego oraz innych jednostek, np. uniwersyteckich, wykazują, że od połowy lat 80. XX w. zmieniły się w Polsce warunki klimatyczne. O ile wcześniej dominowały lata chłodne, o tyle po 1987 r.

Deszcze w środkowej Polsce są bardzo skromne, poniżej 500 mm rocznie. Najmniejsze opady występują w zlewni Noteci.

dominują lata ciepłe. A to głównie od temperatury powietrza zależy wielkość parowania wody. W latach chłodnych i wilgotnych parowanie jest niskie i wynosi 600-700 mm rocznie, a w ciepłych i suchych, bo tak zwykle to się układa, przekracza 1100 mm. Opady w rejonie Kujaw wynoszą zaś średnio ok. 500 mm. Czyli w latach chłodnych jest niewielka nadwyżka dzięki podziemnemu zasilaniu rzek, a w latach ciepłych, a takie teraz dominują, mamy wyraźnie ujemny bilans wodny. I to potężny.

Skąd się zatem bierze woda w rzekach w tych ciepłych latach?

– Tylko z zapasów wód gruntowych, które także systematycznie się zmniejszają.

Z badań IMiGW-PIB wyraźnie widać, że od 2006 r. – z wyjątkiem 2010 r. – stan wód gruntowych w zlewni Noteci musiał maleć. Co nie znaczy, że ekolodzy nie mają racji, mówiąc o wpływie odkrywek węgla brunatnego na obniżanie się poziomu wód gruntowych.

– Byłoby lepiej, gdyby ekolodzy bardziej opierali się na obiektywnych badaniach, a nie na emocjach, i brali pod uwagę obiektywne uwarunkowania oraz zrezygnowali z agresywnych wystąpień. Wtedy wszyscy traktowaliby ich poważnie.

A co się dzieje, kiedy kopalnia przystępuje do odkrywek, czyli inaczej mówiąc, kopie wielki dół?

– Kilkusethektarowy dół dodajmy, wtedy oczywiście napływa do niego woda, którą kopalnia musi odpompować, żeby móc eksploatować złoża.

A wtedy wokół tego dołu obniża się poziom wód gruntowych.

– I to nazywamy leżem depresji. Ze względu na kształt. Bo najgłębiej sięga on bezpośrednio pod odkrywką, a potem im dalej od niej, tym oddziaływanie na stosunki wodne się zmniejsza. Czyli wokół eksploatowanego miejsca obniża się poziom wód podziemnych. A to może prowadzić do obniżania poziomu wód powierzchniowych, czyli rzek, jezior i wysychania mokradeł.

Czyli odkrywki w Tomiśławicach mogą być przyczyną wysychania Noteci?

– I tak, i nie. Trzeba bowiem zauważyć, że Noteć bierze początek w jeziorach: Brdowskim, Modzerowskim i Przedecz. Na starych mapach,



DR HAB. WŁODZIMIERZ MARSZELEWSKI

– hydrolog, profesor UMK w Toruniu

sprzed 60 lat, były jeszcze zaznaczone mokradła wokół nich. Dziś nie ma już mokradeł. W ostatnich latach niski stan wody w tych jeziorach znacznie ograniczał zasilanie w wodę wypływającej z niej rzeki. A przecież w pobliżu tych jezior nie ma oddziaływania lejów depresji. Czyli za niski stan odpowiedzialne były niewielkie opady atmosferyczne charakterystyczne dla tego regionu plus wysokie temperatury powietrza, czyli silne susze widoczne dobrze w ostatnich latach. Przecież nikt nie powie, że na Toruń oddziałują leje depresji, skoro w 2015 r. można było przejść tam Wisłę na własnych nogach. A poziom wody był wtedy o prawie 20 cm niższy od najniższego zanotowanego w czasie 200 lat obserwacji rzeki.

Ale Komisja Europejska od lat bardzo interesuje się tomistawicką odkrywką. I zarzuciła, że decyzja o jej uruchomieniu została wydana na podstawie nieaktualnych planów hydrologicznych, a efektem uruchomienia wydobycia jest większy ubytek wód gruntowych, niż zakładano.

– Tak. Komisja Europejska interesuje się oddziaływaniem kopalni na środowisko i reaguje w przypadku otrzymania alarmujących informacji na temat negatywnych zmian w przyrodzie. Niestety, dane dochodzące

do KE nie zawsze są rzetelne. Jednak Komisja Europejska musi reagować na każdą informację i stawia zarzuty, tak jak to było w przypadku rzekomo nieaktualnych planów. Informacje te zainteresowały prasę i wywołały sensację. Po wyjaśnieniu wątpliwości i wydaniu obiektywnego komunikatu przedstawiciele KE skończyli pracę, ale ich opinia nie trafiła do prasy. Bo pozytywny news jest mniej atrakcyjny niż negatywny. Z tego, co wiem, przewidywania co do zmian hydrogeologicznych w rejonie odkrywki Tomistawice były sformułowane poprawnie i odkrywka nie powoduje większych strat, niż przewidywano. A działania kopalni odbywają się pod stałą kontrolą m.in. Regionalnych Dyrekcji Ochrony Środowiska czy Wojewódzkich Inspektoratów Ochrony Środowiska.

Jak oszacowałby pan wpływ odkrywki na Notec?

– Czy jest to wpływ 5-, 10- czy 20-procentowy, nie potrafię powiedzieć. Raczej niewielki w porównaniu ze skutkami ocieplenia klimatu. A wynika to z bilansu wodnego, o którym ekolodzy powinni sobie poczytać. Bilans wodny, czyli obliczenie, ile wody zostaje nam w terenie, jeśli uwzględnimy opad atmosferyczny, parowanie, zużycie na pielęgnację

roślin oraz to, co nam odpłynie. Ten bilans dla Kujaw, obliczany różnymi metodami, jest prawie zawsze ujemny, czyli wody pozostaje mniej i mniej. A więc rzeki, jeziora i mokradła wysychają.

To znaczy, że na Kujawach wysycha nie tylko Notec?

– Oczywiście. Skoro dotyczy to nawet największej Polskiej rzeki – Wisły. Ale Notec jest szczególnie na to podatna, również dlatego, że jest niewielką i płytką rzeką, a ponadto na kujawskim odcinku płynie poprzez obszary rolnicze, prawie całkowicie bezleśne. Niekorzystne wpływy atmosferyczne silnie więc na nią oddziałują.

Kujawy będą stepowieć?

– Na razie mamy na Kujawach okresowe deficyty wody, z czasem – wszystko na to wskazuje – będą występować okresowe braki wody. Kiedyś rzeczywiście może tam w ogóle jej zabraknąć.

Może zamknięcie odkrywki pomołoby Noteci i Kujawom?

– Nie pozamykamy kopalni, choć szkoda środowisku, bo węgiel brunatny to tanie źródło energii. Pracujące na węglu brunatnym elektrownie Bełchatów, Turoszów i Konin to podstawa polskiej energetyki. Dopóki nie wybudujemy elektrowni atomowej (a budujemy ją już prawie pół wieku bez większych efektów), jesteśmy skazani na węgiel brunatny. Gdybyśmy zamknęły te elektrownie, musielibyśmy kupować energię za granicą. A to z kolei jest drogie rozwiązanie.

Ale żeby nie patrzeć na kopalnie odkrywkowe wyłącznie jak na szkodnika, warto podkreślić, że one nie tylko zabierają, ale również dają wodę. Od końca lat 90. z odkrywki koło Sompolna woda była pompowana do Noteci. Z odkrywki Tomistawice wodę odprowadza się m.in. do rzeki Pichny, a ta wpływa właśnie do Noteci. Z regionu Turku – do Warty itd. Natomiast po zakończeniu prac górniczych wyrobiska są zalewane, teren zostaje przez kopalnię zrehabilitowany, powstają sztuczne akweny, których brzegi chętnie są zasiedlane przez ludzi. Poza tym takie zbiorniki przyczyniają się do poprawy warunków wilgotnościowych. Na suchych Kujawach bardzo poprawiają lokalny klimat. I – oczywiście – sączą wodę i wilgoć do przylegającej ziemi. ▶

► **Nie tylko na Kujawach jest źle. Przez ostatnie sto lat w całej Polsce zmniejszyła się powierzchnia jezior – jak wyczytałam – o ponad 40%.**

– W XX w. zniknęło sporo jezior. Z przyczyn naturalnych i antropogenicznych, czyli w wyniku działań człowieka. Badałem niedawno jeziora mazurskie. Udokumentowaliśmy, że kilkaset zmniejszyło się o 20, 30, 40%. Spłyły się, a niektóre nawet podzieliły się na dwa, trzy mniejsze akweny. **Kto bardziej zawinił, natura czy człowiek?**

– Trudno precyzyjnie zmierzyć. Wydaje się, że na początku bardziej człowiek. Koniec XIX w. i początek XX w. to okres wielkich melioracji, czyli zabiegów trwale polepszających rolnicze właściwości gleb. Nastąpił

dy z jeziora zmienia środowisko, że melioracja niekorzystnie wpływa na środowisko, w tym na jeziora i rzeki.

Kiedy to zrozumieliśmy?

– Ze świadomością ekologiczną długo było u nas nie najlepiej. Jeszcze w połowie XX w. np. podczas obchodów 1 Maja chwalono się wskaźnikiem melioryzacji! W drugiej połowie XX w., przede wszystkim dzięki rozwojowi nauki, zaczęto powoli zdawać sobie sprawę ze szkód, jakie karczowanie, osuszanie i przemysł wyrządzają środowisku, a od lat 80. na szczęście świadomość jest już zupełnie inna. Dzisiaj nie spuszcza się wód z jezior, nie wprowadza się do nich żadnych ścieków, nie gospodaruje się wodą w sposób ra-bunkowy. Ale mniej więcej wtedy,

Mówią o dalszym i coraz szybszym wzroście temperatury powietrza, zmniejszaniu opadów atmosferycznych. W efekcie będzie coraz mniej powodzi i strat z nimi związanych. Za to będzie coraz więcej susz i strat z tego powodu. Czyli będziemy mieć droższą wodę, droższą żywność, wyższe koszty życia, co może doprowadzić do załamania gospodarki, a na pewno rolnictwa.

Co możemy zrobić?

– Musimy, i to jak najszybciej, zwiększyć retencjonowanie wody, czyli przetrzymywać ją jak najdłużej na powierzchni w zlewniach i dorzeczach, zanim odpłynie do morza. Czyli budujemy od małych zbiorników rolniczych po duże na rzekach, np. w ramach kaskady na Wiśle. Najgorzej, że o tym wiele się mówi, ale niewiele robi. Już dawno temu województwa opracowały tzw. plany małej retencji. Zakładały one wybudowanie niewielkich zbiorników na poziomie gmin i powiatów, udrażnianie rowów melioracyjnych, spowalnianie odpływu wody poprzez budowę progów w strumieniach itp. I niewiele się zmieniło. Może dlatego, że ludzie uważają, że takie drobne działania nic nie zmieniają? Bo progi w strumieniach dadzą efekt tylko na 10 m wokół. Co to jest? Ale jeśli zbudujemy progi na stu strumieniach, to nasycimy wodą kilometr. Trudno u nas się przebija także idea zielonych dachów.

Jak to działa?

– Zielone dachy mają za zadanie jak najdłużej przetrzymać wody opadowe i nie pozwolić im szybko spłynąć rynną do kanalizacji. Pozwalają nasaczyć materiał rozsypany na płaskim dachu, w którym rosną rośliny. Powoduje to wzrost wilgotności powietrza i jest korzystne dla naszego zdrowia.

Co jeszcze możemy zrobić?

– Jak najmniej asfaltować i betonować. Zakładać fontanny, sadzawki, sadzić jak najwięcej roślin i dbać o nie. Jak najmniej wody odprowadzać do kanalizacji. Po prostu przechwytywać i przetrzymywać wodę, jak najdłużej się da. Powoli zaczynamy to rozumieć.

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

*Odkrywka w Tomistawicach należy do spółki akcyjnej PAK Kopalnia Węgla Brunatnego Konin w Kleczewie.



**CHYBA ZAPOMNIAŁEŚ
ZAMÓWIĆ
SUBSKRYPCJĘ
PRZEGLĄDU
PRZED PODRÓŻĄ!**

**WEJDŹ NA WWW.SKLEP.TYGODNIKPRZEGLAD.PL
I NAPRAW SWÓJ BŁĄD**

Przeгляд

wzrost liczby ludności, a co za tym idzie, zwiększył się popyt na płody rolne i człowiek potrzebował coraz więcej miejsca na uprawy. Karczowano więc na potęgę lasy, osuszano obszary podmokłe. Spowodowało to obniżenie poziomu wód podziemnych i w konsekwencji doprowadziło do wysychania jezior. Te mniejsze zarastały i zanikały. Znamy również w Polsce przypadki spuszczenia całej wody z jezior.

Gospodarka rabunkowa.

– 150-120 lat temu świadomość ekologiczna była zupełnie inna, a w zasadzie prawie jej nie było. Dominował pogląd, że lasów i wody jest tak wiele, że można nimi gospodarować dowolnie. Nikt nie zdawał sobie sprawy, jak spuszczenie wo-

kiedy oprzytomnieliśmy, zaczęły się zmieniać warunki klimatyczne, które w sposób naturalny powodują zmniejszenie zasobów wodnych. Nie tylko w Polsce. Nie tylko małe jeziora (kilku-, kilkunastohektarowe), ale także te duże i płytkie zaczęły szybko zanikać.

Czy w Polsce brakuje już wody?

– W Polsce mamy okresowe deficyty wody w czasie lat suchych. Coraz częściej pojawiają się deficyty wody ocierające się o brak wody w niektórych regionach środkowej Polski, m.in. właśnie na Kujawach i we wschodniej Wielkopolsce.

Jakie są prognozy hydrologiczne dla Polski na najbliższe pół wieku?

– Wszystko zależy od scenariuszy klimatycznych. A te są bardzo złe.

Z Galicji



Jan Widacki

Chamstwo, podłość i głupota

Dobre wychowanie wynosi się na ogół z domu. Czasem braki domowego wychowania mogą nadrobić szkoła, harcerstwo albo jakaś inna instytucja społeczna. Jeśli ktoś się nie dowiedział we własnym domu, że zupę je się łyżką, a mięso na ogół nożem i widelcem, ma szansę podpatrzeć to w domu kolegi albo ostatecznie w kinie. Może też wyczytać w specjalnych książkach. Są to rozmaite poradniki dobrego wychowania. To tam można przeczytać, że starszy pierwszy wyciąga rękę do młodszego, kobieta do mężczyzny, że przez drzwi pierwszą przepuszcza się kobietę (chyba że rzecz się dzieje w Japonii – tam kobieta przepuszcza w drzwiach mężczyznę). Także to, że ubierając się w szorty, nie wiąże się pod szyją muchy, a krawata nie wiąże do dresu. Obok dziesiątek takich zasad szczegółowych, dotyczących zachowania w różnych sytuacjach, ubioru itp. są w takich podręcznikach zasady ogólne. Takie że swoim zachowaniem, ubiorem, kulturą staramy się nie sprawić nikomu przykrości, że nikomu nie przeszkadzamy, nie wyrażamy głośno krytycznych opinii co do czyjejś urody, nie przekreślamy złośliwie nazwisk, nie wyśmiewamy się z nich, nie pokazujemy nikogo palcem, nie wyśmiewamy się z kalektwa itp.

Do podstawowych zasad dobrego wychowania należy też niewyśmiewanie się publiczne z czyichś uczuć, poglądów, religii. Krótko mówiąc, staramy się nie obrażać czyichś uczuć. Obraża uczuć religijnych w Polsce może być nawet potraktowana jako przestępstwo. Ale oprócz uczuć religijnych są inne jeszcze uczucia wzniosłe, do których człowiek ma prawo, a otoczenie, nawet jeśli ich nie podziela, winno je uszanować. Dlatego kiedy wchodzimy do synagogi lub na żydowski cmentarz, zakładamy nakrycie głowy. Kiedy wchodzimy do meczetu, zdejmujemy buty. Oczekujemy też, że każdy mężczyzna, bez względu na wyznanie, gdy wchodzi do chrześcijańskiej świątyni, zdejmie z głowy czapkę lub kapelusz. Jeśli wchodząc do meczetu, zdejmujemy buty, to nie dlatego, by nie obrazić Allaha i jego proroka Mahometa, ale po to, by okazać szacunek ich wyznawcom. Od wchodzącego do kościoła nie żądamy, aby – jeśli jest niewierzący – natychmiast się nawrócić, tylko by zdejmując czapkę lub kapelusz, okazał szacunek naszym przekonaniom i nam samym.

Jeśli ktoś takich zasad nie zna lub tylko nie stosuje się do nich, mówimy o nim, że jest źle wychowany, albo krócej: że jest po prostu chamem.

Do elementarnych zasad dobrego wychowania należy też okazywanie szacunku hymnom, sztandarom, barwom narodowym. Nie dlatego, że akurat te konkretne są nam drogie, ale dlatego, że są drogie innym. Nawet kibole, nieraz agresywnie i po chamsku obrażający drużynę przeciwnika, gdy na meczach państwowych grane są hymny, na chwilę tłumią swoje wycie i stają w postawie bardziej lub mniej zbliżonej do zasadniczej.

Niewstanie w czasie grania hymnu jest chamstwem do kwadratu, jest obrazą wszystkich, którym hymn ten jest drogi. Chamstwem i dowodem zdżiczania.

Jak nazwać zachowanie byłego ministra spraw zagranicznych Waszczykowskiego i byłej minister edukacji Zalewskiej, którzy dziś, jako europosłowie, demonstracyjnie nie wstają, gdy w Parlamencie Europejskim grany jest hymn Unii? Chamstwem? Na pewno. Niestety, nie tylko chamstwem!

Po co odkrywca San Escobaru i twórczyni deformy edukacji pchali się do europarlamentu? Po pieniądze tylko?

Co – poza ogólnym brakiem wychowania – chcieli zademonstrować byli ministrowie, dziś europosłowie, Waszczykowski i Zalewska, nie wstając podczas hymnu? Lekceważenie dla kogo? Dla innych europosłów, którzy szanują Unię i jej hymn? Dla samej Unii? Dla milionów jej obywateli, którzy uważają Unię za swoje wspólne dobro? Dla Parlamentu Europejskiego? Jeśli budzą w nich taką niechęć, to po co tam się pchali? Po pieniądze tylko? Niemale zresztą. Brać od kogoś pieniądze i jeszcze publicznie okazywać mu pogardę, obrażać go, to już nie tylko chamstwo, ale jeszcze podłość.

Ale okazywanie chamstwa i podłości w Parlamencie Europejskim to dodatkowo głupota. Jak pogodzić taką demonstrację z zapewnieniami swojego obozu politycznego, że popiera uczestnictwo Polski w Unii Europejskiej, że szanuje tę wspólnotę, choćby nawet uważało ją tylko za „wymyśloną wspólnotę”?

Odkrywca San Escobaru i twórczyni deformy edukacji za jednym zamachem zademonstrowali chamstwo, głupotę i podłość.

Fajną mamy reprezentację w Parlamencie Europejskim.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Krynickie lato w cieniu przekopu

Mieszkańcy w zdecydowanej większości są przeciwni budowie kanału. Turyści zdania nie mają



Helena Leman

20 czerwca, początek pierwszego letniego weekendu. Na przystani w Tolkmicku grupa ludzi czeka na statek do Krynicy Morskiej. Przeważają rodziny z dziećmi i emeryci, jest też spalony na brąz cyklista z Wielkopolski, który na rowerku Wigry 2 z przyczepką przejechał 1100 km, aż pod klasztor kamedułów nad jeziorem Wigry na Suwalszczyźnie. Jego wyprawa ma cel: promuje odbudowę starej średzkiej kolei powiatowej. – Jeden parowóz już się udało przywrócić do ruchu, teraz zbierane są pieniądze na renowację drugiego – tłumaczy. Statek sunie w kierunku zielonego paska Mierzei Wiślanej, po prawej stronie powoli rozmywają się wieże fromborskiej katedry, a czerwona latarnia morska w Krynicy jest coraz bliżej. Z głośnika lecą szanty, co nie podoba się tym, którzy chcieliby posłuchać głosów natury. Bilet normalny w dwie strony kosztuje 42 zł, ulgowy dla dzieci 30 zł, na rower w jedną stronę 15 zł, a kawa w kajucie na dole jest od 6 zł. Można też kupić słodycze, lody, pizzę.

O kanale nikt nie rozmawia. Rowerzysta od wigier też nie daje się wciągnąć w dyskusję, tłumaczy, że śpieszy się do Kątów Rybackich do znajomego.

A niech budują

Wczasowa Krynica wstaje późno. Z rana w święto Bożego Ciała na chodnikach ludzi niewiele. Nie otwarto jeszcze sklepików z pamiątkami, barów, budek z goframi i lodami. Melksy rozwożące turystów za 5 zł od osoby jeszcze nie ruszyły w trasę po mieście. Sennie. Duszno upału nie łagodzi nawet bliskość morza. Przy ul. Gdańskiej, głównej w miasteczku, na wielu domach wiszą odręcznie wykonane banery z napisami: „Mierzeja bez przerw”, „Przekopu nie będzie”, „Przekop Stop”. Hasła wymyte przez deszcze, choć nadal krzyczą, są jak wspomnienie po minionej bitwie. Szosa, która prowadzi do miejsca, gdzie w lutym wycięto las pod kanał, jest wąska i połatana. Bez pobocza, chodnika czy ścieżki dla rowerów. Większe samochody mijają się z trudem na leśnych zakrętach. Za przystankiem PKS Przebrno

Za przystankiem PKS Przebrno odstaniają się gołe wzgórza. Ludzie wydeptali przez nie dróżkę na plażę, bo w pobliżu jest zejście Kąty Rybackie 41.

nagle odstaniają się gołe wzgórza. Ludzie wydeptali przez nie dróżkę na plażę, bo w pobliżu jest zejście Kąty Rybackie 41. Na prowizorycznej tabliczce napis ze strzałką: „Do punktu widokowego”. Nieliczni wspinają się na wzgórze, patrząc po prawej stronie na morze, a po lewej na szare wody zalewu. Robią zdjęcia smartfonami. Ale gdy pytam o kanał, słyszę: „To nie nasza sprawa”, „Nie interesuje mnie to”, „Nie jestem stąd”. Tylko Ola, która przyjechała z Kątów rowerem, jest zdecydowana.

– Bardzo dobrze, że będzie przekop – mówi – może coś tu w końcu się zmieni. Przegrywamy z Władysławowem, z Sopotem. Jaką tu mamy drogę? A po sezonie to już kompletne zadupie, jeden autobus dziennie do nas jeździ.

Nowy Świat – miejsce, w którym powstaje przekop, to nazwa historyczna, wieś istniała przed II wojną światową, po wojnie jej budynki rozebrano.

Wieczorem, po krótkiej burzy, tłumy wylewają się z krynickich pensjonatów, z hotelików i ciągną do centrum – do lokali, kafejek, barów, z których płyną taneczne rytmy. Panie w wieczorowych kreacjach, podmalowane, panowie jakby bardziej wyjęciowi. W altanie jednego z ośrodków akordeonista z Mrągowa wytrwale ćwiczy. To jego pasja na emeryturze.

– We wszystkim trzeba znaleźć umiar – gawędzi. – Z rana byłem z żoną w kościele, potem plaża, ale bez przesady, następnie obiad, a zaraz będzie kolacja i piwko, może też potańczyć się uda. Krynica zmienia się na lepsze. Widziała pani nadmorską promenadę?

W sprawie przekopu jest zdecydowany. Kocha przyrodę, lecz świat musi iść do przodu. A niech budują. Od Rosjan się uniezależnimy. A Krynica tylko na tym zyska, przyjedzie więcej turystów. Nawet swoją gospodynię prawie przekonał.

500 kartek do Brukseli

Jednak Janina Lew, z którą rozmawiam następnego dnia, na przekonaną nie wygląda.

– Kiedy w połowie października 2018 r. Jarosław Kaczyński z ministrem Markiem Gróbarczykiem przyjechał wkopać stupek geodezyjny na plaży, ominęli Krynice szerokim łukiem. To mówi samo za siebie. Więc jak w lutym zaczęto wycinać las, mimo odwołania marszałka województwa do Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska, co mieliśmy zrobić? Wieszać się na drzewach? Postanowiliśmy wysłać 500 kartek, zwykłych widokówek do Brukseli. Najbardziej boję się tego, że wszystko zostanie rozgrzebane na lata i nikt za to nie poniesie odpowiedzialności, a turyści zamiast do nas, pojedą gdzie indziej.

Janina Lew oprócz kierowania pensjonatem, jest też członkinią Stowarzyszenia Miłośników Krynicy, które niedawno obchodziło 20-lecie.

– Staramy się integrować nasze małe środowisko – mówi. – Krynica liczy ok. 1,2 tys. stałych mieszkańców. Zbieramy dawne historie, organizujemy wspólne imprezy – teatryki, sylwestry, święto dzika, wycieczki. Z naszej inicjatywy powstał pomnik rybaka w centrum.

Promujemy też projekt „Szlakami Joanny Chmielewskiej”. Pisarka przez długie lata mieszkała u Jadwigi Godkowskiej w Piaskach, tam powstało wiele jej książek.

2 czerwca stowarzyszenie już po raz drugi obchodziło Europejski Dzień Sąsiada. Pozostałością po nim są banery na płotach, każdy z innym mottem, które przykuwa uwagę przyjezdnych. „Sąsiedzie, z okazji Europejskiego Dnia Sąsiada ciągłej radości i szczęścia w miłości”, czytamy na jednym z nich. A na drugim: „Sąsiedzie, 100 lat, 100 uśmiechów, 100 wielbicieli i samych niedziel”.

Gdy w południe zachodzę do sklepu, przy którym suszy się drewno do wędzenia ryb, w środku pustki. Ani jednej bułki, lodówki wyczyszczone z nabiału i wędlin. – Wszystkie zjedli, dobrze, że nas oszczędzili – żartuje sprzedawczyni. – Zwykle sezon zaczyna się dopiero po Bożym Ciele, a w tym roku szok, od siódmej rano pełno ludzi.

Rybakom trudno

Przy domu, na którym wisi biały, płócienny transparent z napisem: „Przekop Stop”, starsza kobieta rozwiesza pranie w ogrodzie. Mówi, że niepewność jest, i odsyła do córki, która w sprawę przekopu bardzo się angażowała. Jest na przystani nad morzem. Jej pierwszy mąż zginął na zalewie.

Czy budowa falochronów nie spowoduje zanikania plaż, z których Krynica słynie?

– Nie chcę już o niczym słyszeć, nie chcę rozmawiać! Jestem zmęczona fizycznie. Jest godz. 9.30, ryba jeszcze niewybrana, a za chwilę muszę otworzyć bar. Zniszczą zalew, jak zniszczono Bałtyk – kwituje kobieta, wrzucając flądry do kontenerów.

Podchodzi do nas plażowicz i pyta: – A przekop będzie? Zapada pełna konsternacji cisza. Gdy speszony wycofuje się, słyszę komentarz: – Ludzie nic nie wiedzą, nie mają zielonego pojęcia, a gadają, jacy to będziemy szczęśliwi, gdy powstanie kanał.

Halina Zagórska, rocznik 1935, jedna z najstarszych mieszkanki miasteczka, tłumaczy, że rybakom żyje się trudno.

– Kiedyś to było główne zajęcie tutaj, niemal każda rodzina miała łódź. Mój ojciec też był rybakim. Pamiętam jeszcze, jak łodzie wyciągało się takim kieratem, który trzeba było kręcić. Dorsza było po same burty. W całej Krynicy pachniało smażonymi dorszem, z wątróbki dorszowej wytapiało się olej. A dziś jest katastrofa. Śledzia w tym roku nie było prawie wcale, dorsza malutko, do tego chudy i niewyrośnięty, trochę flądry przywiózł mi znajomy, ale też ryba była nie taka jak kiedyś. Rybacy narzekają, że z połowów nie starcza im nawet na paliwo do łodzi. Muszą się chwycić dodatkowych zajęć. Wielu członków ich rodzin zginęło na morzu. Znam wszystkie nazwiska, od 1949 r. zbiera się kilkanaście.

Na lotnisko do Krynicy

Halina Zagórska przyjechała do Krynicy w 1947 r. Jej ojciec, żołnierz AK z Wileńszczyzny, przez prawie dwa lata służył w Wojsku Polskim. Potem się zdemobilizował i jako osadnik wojskowy wybrał to miejsce.

– Tu była dzicz, świat deskami zabity. Używano jeszcze niemieckiej nazwy Kahlberg, tłumacząc ją na język polski Łysica. Objęliśmy posesję po Niemcu, Hermannie Wellmie. Wellm miał wędzarnię, obok niej stały dwa rozbite niemieckie czołgi. We wsi nie było sklepu, światła. Pamiętam, jak zanośiłam naftę kobiecie, której mąż zginął na morzu w 1948 r. Po zakupy chodziło się pieszo do

Katów Rybackich piaszczystą drogą, dzisiaj to ulica Gdańska. Potem ojciec oddał pół budynku pod sklep, żyje jeszcze w Krynicy jego pierwsza ekspedientka. Zimą szło się albo jechało saniami przez zamrożony zalew do Tolknicka, bo Krynica administracyjnie należała wtedy do tej gminy. Konno przez zalew przyjeżdżał do nas stamtąd ksiądz. Nas tu wtedy było malutko, moja mama знаła daty urodzenia wszystkich dzieci w Krynicy.

Pierwsi letnicy zaczęli przyjeżdżać do miejscowości w drugiej połowie lat 50.

– To byli ludzie z tzw. elity: dyrektorzy, naukowcy, dziennikarze, aktorzy – opowiada Halina Zagórska. – Każdy w miejscowości miał swoich letników. Powszechnie było

► wiadomo, kto jest od kogo. Na wypoczynek przyjeżdżało się wtedy na miesiąc, dwa. Ci goście nie mieli wymagań, odpowiadała im surowość życia tutaj. Mycie w misce, gotowanie na kuchni opalanej drewnem było czymś oczywistym. Później, w latach 80., zatrzymywał się u nas aktor Mieczysław Czecho-wicz. W Krynicy bywali Pola Raksa, Zbigniew Zapasiewicz. Piotr Fronczewski to raz chciał nawet u mnie zamieszkać, ale nie miałam wolnego pokoju. W latach 70. zaczęły się też wczasy zakładowe, gościliśmy prze-ważnie nauczycieli na dwa tygodnie. Tylko spali u nas, wyżywienie mie-li opłacone w Samancie. Obecnie

Śledzia w tym roku nie było prawie wcale, dorsza malutko, do tego chudy i niewyrośnięty.

ludzie żyją w biegu, wypoczywają tak samo. Wpadają najwyżej na tydzień, czasem na dwa dni, a dla wynajmującego to kłopot, na okrągło trzeba zmieniać pościel, robić pranie i porządki.

Podczas naszej rozmowy dzwoni telefon, ktoś chce pokój na cztery noce. Pani Halina przedstawia ofertę.

– W Krynicy jest więcej domów niż stałych mieszkańców, rdzen-nych kryniczan ubywa, jesteśmy na przyczepkę – mówi. – Przegrywamy z właścicielami dużych obiektów w centrum, mieszkającymi w wiel-kich miastach. Ich stać na reklamę, mają pieniądze, koneksje, przebicie i zabierają nam wczasowiczów.

Przekopowi jest przeciwna. – Sta-niemy się odciętą wyspą, nie wiado-mo jak będą działać mosty zwodzone, trudno też przewidzieć zmiany w przyrodzie – dodaje.

Obawy i plany

– W tej chwili możemy jedynie liczyć na to, że Komisja Europejska wstrzyma budowę kanału albo rzą-dzącym zabraknie pieniędzy na jego realizację. Już wiadomo, że całkowity koszt wykonania wszystkich etapów prac przekroczy zapewne 2 mld zł, a nie – jak planował rząd – 880 mln. Tych środków nie starczy nawet na pierwszy etap inwestycji, najtańsza złożona oferta została wyceniona na kwotę ok. 990 mln zł – podkreśla bur-mistrz Krynicy Krzysztof Swat.

Zaznacza, że obawy niezmiennie są takie same. Czy budowa falochro-nów nie spowoduje zanikania plaż, z których Krynica słynie? Do tego do-chodzi problem sztucznej wyspy na zalewie, zlokalizowanej w większości na granicy miasta, gdzie mają być składowane osady z pogłębionego toru wodnego.

– Obawiamy się – mówi burmistrz – czy te zanieczyszczenia nie wylądu-ją również na wybrzeżu zalewowym w Krynicy. Czynimy intensywne sta-rania, aby zaktywizować część miasta od strony zalewu, a zanieczyszczenie wód przez osady z wyspy może to zniweczyć. Mieszkańcy w zdecydo-wanej większości są przeciwni tej

inwestycji. Jedyne spotkanie z nimi i przedstawicielami Ministerstwa Go-spodarki Morskiej było ponad trzy la-ta temu. Do kolejnego, mimo deklara-cji pana ministra, nie doszło. Czujemy się wręcz pomijani przez przedstawi-cieli władzy rządowej w wojewódz-twie pomorskim przy podziale środ-ków np. na drogi lokalne. Tak jakby to była kara za nasze odrębne zdanie w sprawie kanału.

Jak informuje burmistrz, w najbliż-szych latach planowana jest dalsza rozbudowa mariny jachtowej oraz budowa parku zdrojowego. – Mamy wody solankowe i odpowiednie do-kumenty, które umożliwiają nam sta-ranie o nadanie statusu uzdrowiska. Może to jest odpowiedni kierunek rozwoju i przyszłość miasta? – zasta-nawia się.

W czerwcu 2017 r. mieszkańcy Krynicy opowiedzieli się w referen-dum przeciw uzdrowisku. Wśród kry-niczian powtarzają się też informacje o sprzedaży nieruchomości, nie po-twierdza ich burmistrz.

Każdy tu coś znajdzie dla siebie

Krynica, jak podkreśla burmistrz, składa się jakby z trzech dzielnic. Przebrno ma charakter wiejski, z usługami agroturystycznymi, cen-trum jest miejskie, a oddalone od niego o 11 km na wschód Piaski to bardziej osada rybacka.

W Piaskach najbardziej uderza ci-sza, taka, że słysząc śpiew ptaków.

Nawet turyści są wyciszeni. Granica z Federacją Rosyjską przebiega 3 km stąd. Można do niej dojść brzegiem morza. Plażę przecina po prostu druciany płot ze znakiem „Stop” na zardzewiałym słupku. Niedaleko na białym piasku samotny parawan ro-dziny z Białegostoku.

– Jesteśmy zachwyceni, spędzi-liśmy tu tydzień i wrócimy jeszcze. Wokół pusto, dziko, bez betonowych zejść. Nasz gospodarz mówi, że wszystkie działki są zajęte i nie po-wstanie tu na szczęście żaden wiel-ki hotel ani pensjonat. A przekop to manifestacja siły, budowanie sobie pomnika, który ekonomicznie nigdy się nie zwróci – dodaje mężczyzna, ekonomista z zawodu.

Wracając znad morza, zaglądam do Jadwigi Godkowskiej. Smaży ry-by dla turystów w rodzinnej restau-racji za kościołem. Jest pora obiado-wa, więc uwija się jak ukropie.

– Teraz nie mam czasu, bo zaraz dorsza spalę – woła. – Zapraszam je-sienią, wypijemy kawę i pogawędzi-my o pani Chmielewskiej, mieszkała u mnie 40 lat.

W Piaskach nad samym zalewem jest uliczka imienia znanej autorki kryminałów. Na tablicy poświadczo-nej pisarce fragment „Autobiog-rafi”: „*À propos* Piasków, muszą tam w ogóle mieszkać przyzwoici ludzie, co widać po zwierzętach. Takiej koeg-zystencji zwierząt i ludzi nie widziałam nigdzie. Koty przychodzą, dziki się plączą, na podwórzu bywa lis”.

Przy przystani pasażerskiej w cen-trum miasta ryk szybkich motoró-wek, śmigających z turystami po za-lewie, i małych quadów, na których szaleją dzieci, miesza się z muzyką z barów i krzykami z karuzeli. Hali-na Zagórska żartobliwie nazywa to miejsce piekłem, napotkane war-szawianki też przyznają, że jest za głośno.

– Ale wystarczy odejść trochę dalej i już jest spokój, bo w Kry-nicy każdy coś dla siebie znajdzie. Ta różnorodność jest jej siłą, a do tego jest taniej niż w Warszawie – mówią. O przekopie rozmawiać nie chcą.

Młody warszawiak, zwolennik ka-nału, który sprzedaje bilety na statek do Tolkmicka, przekonuje, że przekop to sprawa polityczna, a Krynica jest podzielona jak cała Polska.

Helena Leman

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Kiedy pierwszy raz trafiłem do Czeskiego Krumlova, onieamiałem z wrażenia. Bajkowe średniowieczne miasteczko, zamknięte w omedze (kształcie greckiej litery, nie w polskim jachcie) skrzyżowanej Wełtawy wydawało się jak opuszczone z powietrza, z innych czasów, sprzed wieków. Odmienne i zjawiskowo piękne. Zbyt mało zjeździłem świata, żeby zobaczyć to gdzie indziej, dla mnie pozostało jedynym znanym XIII-wiecznym stemplem odbitym na współczesności, blisko kraju, w którym sam żyję.

Przyszedł mi ten Krumlov do głowy, kiedy myślę o dzisiejszej Polsce, która mnie martwi, boli, przeraża, odstrasza, a na inną nie widać pomysłu, szansy, determinacji, odwagi. Polska oczywiście nie jest najgorszym miejscem do życia, ba, można nawet powiedzieć, że należy do najbezpieczniejszych, stabilnych, zamożniejszych miejsc świata. A jednocześnie rośnie, pęcznieje i nabrzmiewa w niej coś smrodliwego, ponurego, groźnego. Nigdy nie należała do wzorców, rzadko inspirowała, nazbyt często dawała żyć z trudem, oporami, chrzęstem. Równocześnie gębę miała pełną frazesów o swojej doskonałości, niezwykłości, wyjątkowości.

Polska źle traktuje ludzi, którzy są pracownikami. Także pracujących tu obcokrajowców, w szczególności Ukraińców i Ukrainców. I nie chodzi nawet o tak zwyrodniałe zachowania jak doprowadzenie do śmierci pracownika z Ukrainy w zakładzie produkującym trumny, którego po zasłabnięciu podczas upałów szefowa wywiozła do lasu 120 km dalej, ponieważ zatrudniając go na czarno, nie odważyła się wezwać karetki pogotowia. Chodzi o codzienne złe traktowanie, płacenie groszowych stawek lub niepłacenie wcale. I równoczesny lament, że „nie ma kto robić”.

Polska to kraj, w którym podejrzewanych o ukrywanie zbrodni i przestępstw seksualnych na dzieciach nawet nie wzywa się na przesłuchania i nie przeszukuje ich siedzib, ponieważ są biskupami. Równocześnie nękanie są ci, którzy mają odwagę protestować przeciw faszyzującej się Polsce.

Polityczna nagonka na wybrane koszty ofiarne – środowiska LGBT – przekłada się na realne akty agresji, pobicia i groźby. Nawoływanie do przemocy i śmierci (bo tym jest sugestia wieszania komuś kamienia młyńskiego u szyi) opatulone w religianckie frazesy staje się wyznaniem wiary i jako takie ma być objęte nietykalkością, ochroną uczuć religijnych. Jeśli takie mają być

Polska jako projekt nietrafiony

Polska, o którą się spieramy (Czy aby na pewno? Raczej mam głębokie przekonanie, że żaden istotny spór uczciwie tu się nie toczy, że monolog płynie obok siebie, ochoczo pluskając się we własnej płytkiej, błotnistej mazi samozadowolenia. Co tu gadać – Brzozowski opisał to doskonale ponad sto lat temu), jest tak zarządzana, jakby była samotną wyspą, którą nie nigdy nie była, nie jest i nie będzie. Jakby świat i jego wyzwania nie istniały, jakby problemy globu nie dotyczyły miejsca między Bugiem a Odrą, od źródeł do ujścia Wisły.

Polska dzisiejsza (nie tylko od 2015 r. – info dla formacji „Jedna prawda, jeden cel, odsunąć PiS od władzy i wszystko będzie cudnie”) źle traktuje przyrodę, tnie, rżnie drzewa na potęgę, dewastuje najcenniejsze połacie i powód do radości i nadziei: Puszcę Białowieską i Karpaty. Nie dba, o co ma dbać, niszczy to, co ma chronić, rozprzedaje to, co należy otoczyć opieką. Za nic ma głos naukowców, aktywistek i aktywistów, ludzi z przyrodą żyjących, międzynarodowe umowy.

W zamian wybrzmiewa donośnie głos denialistów klimatycznych, roznoszą go także media wydające się czasem więcej rozumieć z całego klimatycznego Armageddonu, który nie tyle nadchodzi, ile już tu jest.

O pozyskiwaniu energii, szukaniu nowych źródeł, postawieniu na odnawialność nie ma co marzyć – zwycięża krótkoterminowa taktyka polityczna chowania głowy w piasek i niedenergowania silnych grup społecznych, jak górnicy, którym trzeba by przedstawić realne i korzystne, dla nich i dla nas, alternatywy. Polska jest krajem, gdzie nie rozwiązuje się problemów, przed którymi stanął świat XXI w.

uczucia religijne, to lepiej, żeby ich w ogóle nie było (co zresztą dobrze wiadomo, od kiedy potrafimy nazwać mechanizmy mowy nienawiści).

Nigdy nie przypuszczałem, że zacytuję monarchę na wsparcie swoich tez, ale jednak... Król Norwegii mówi o Norwegii i Norwegach: „Norwegowie to mieszkańcy północy, środkowej Norwegii i południa. Norwegowie, to także imigranci z Afganistanu, Pakistanu, Polski, Szwecji, Somalii i Syrii.

Moi dziadkowie przybyli tu z Danii i Anglii 110 lat temu. Nie zawsze łatwo powiedzieć, skąd właściwie jesteśmy, do jakiej narodowości przynależymy. Domem nazywamy miejsce, w którym jest nasze serce – i nie zawsze jest to w granicach państwa. Norwegami są dziewczęta, które kochają inne dziewczęta. Chłopcy, którzy kochają innych chłopców. A także dziewczęta i chłopcy, którzy kochają się wzajemnie. Norwegowie wierzą w Boga, Allaha, we wszystko i w nic. Norwegowie lubią Griega, Kyga, Hellbillies i Kari Bremnes. Innymi słowy – Norwegia to wy. Norwegia to my. Kiedy śpiewamy nasz hymn *«Ja, vi elsker dette landet»* (Tak, kochamy ten kraj), powinniśmy pamiętać, że śpiewamy o sobie nawzajem. Bo to my tworzymy ten kraj. Dlatego hymn narodowy jest też wyznaniem miłości do narodu norweskiego. Moim największym marzeniem jest, byśmy o sobie nawzajem dbali. Żebyśmy potrafili budować ten kraj na fundamentach zaufania, solidarności i życzliwości”.

A Polska myśli o sobie, że jest bajkowym Krumlovem, bez kontaktu ze współczesnością, kiedy staje się brudnym (smogowym), egoistycznym, bezprzyszłościowym, mrocznym lochem.

Znów wielką Polskę wykuwają?

Prezydent maszerujący z narodowcami w jednym pochodzie
– to zaczyna być groźne

Rozmawia Małgorzata Kąkiel

*Falanga walczy,
Falanga czuwa,
Falanga nową
Polskę wykuwa.*

(hasła z okresu międzywojennego)

„Falanga. Ruch Narodowo-Radykalny” – ostatnio wydana pana książka – jest historyczna czy współczesna? Jak ma ją odbierać dzisiejszy czytelnik?

– Książka jest na pewno historyczna. Poza zamykającymi ją zdaniami nie odnosi się właściwie do współczesności, a te zdania sformułował pastor Martin Niemöller – podczas I wojny światowej dowódca łodzi

W Polsce sanacyjnej Obóz Narodowo-Radykalny był nielegalny, teraz mamy demokrację, więc został zarejestrowany.

podwodnej, nacjonalista, który zmienił później poglądy na pacyfistyczne i trafił do obozu koncentracyjnego: „Kiedy przyszli po komunistów, milczałem, nie byłem komunistą. Kiedy zamknęli socjaldemokratów, milczałem, nie byłem związkowcem. Kiedy przyszli po Żydów, milczałem, nie byłem Żydem. Kiedy przyszli po mnie, nie było już nikogo, kto mógłby zaprotestować”. To jest przestroga. Na pewno. Ale historia się nie powtarza, zmieniają się warunki i okoliczności... Chociaż, oczywiście, pewne sytuacje, potrzeby prowadzą do tego, co było w przeszłości. „Falanga...” o tyle jest nawiązaniem do współczesności, że w Polsce wciąż istnieje ruch o tej samej nazwie.

Kontynuacja?

– Jest różnica – w Polsce sanacyjnej Obóz Narodowo-Radykalny był nielegalny, teraz mamy demokrację, więc został zarejestrowany, chociaż można mu postawić te same zarzuty, co przed wojną, kiedy go zdelegalizowano. Tyle że do starych haseł dodał nowe. Ale przecież nie można

porównywać współczesnej Polski z tą z lat 30. XX w. Zresztą mówimy: ONR, a dziś to właściwie wierzchołek góry lodowej, podobnych organizacji istnieje wiele, ostatnio chociażby wypłynęła Konfederacja Korwin-Mikkego. Istnieje Młodzież Wszechpolska. Czym się różni od ONR? Nie umiem dokładnie odpowiedzieć na to pytanie, może tym, że jedna nawiązuje do Stronnictwa Narodowego, a druga do rozłamowców. A jeśli chodzi o kontynuację – oenerowcy nie ukrywają, że nawiązują do przedwojennej organizacji, do jej programu. To wzorzec dla nich. Swoją drogą w żadnym kraju europejskim nie zarejestrowano współcześnie jakiegokolwiek organizacji tego rodzaju pod przedwojenną nazwą. Na Węgrzech

nie ma strzałokrzyżowców, w Rumunii ani Legionu Michała Archanioła, ani Żelaznej Gwardii. Na Zachodzie też nie znajdziemy żadnej partii, która powtarzałaby nazwę faszystowskiej organizacji. U nas popełniono błąd, reaktywując ONR. Zresztą oenerowcy – sami chyba tego nawet nie wiedząc – nawiązują dziś raczej do Ruchu Narodowo-Radykalnego, zwanego popularnie Falangą. Idzie tu zarówno o program, zbliżony do deklaracji RNR z 1937 r., jak i o symbolikę – zielone opaski z falangą.

ONR to organizacja niedemokratyczna, kwestionująca istnienie partii politycznych. Jej rejestracja była błędem.

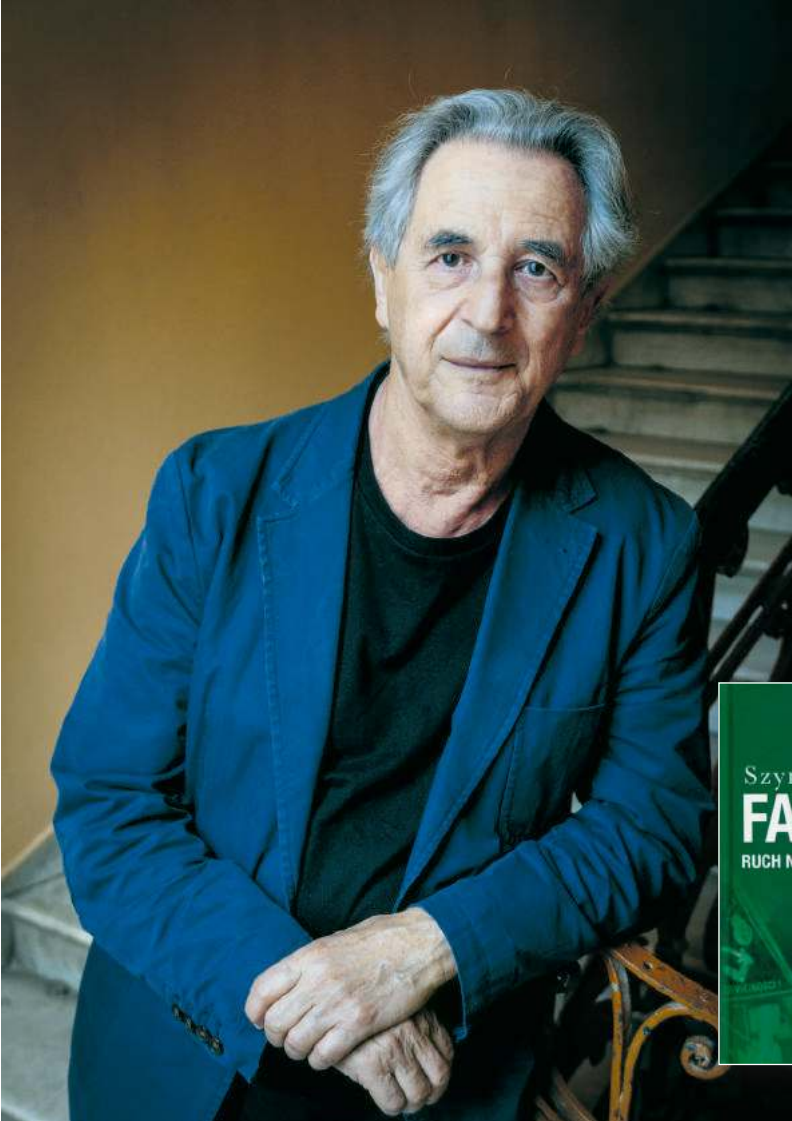
A jeśli chodzi o podobieństwa programowe z organizacjami przedwojennymi?

– Oba programy otwierają stwierdzenia, że Bóg stanowi najwyższy cel człowieka, a drogą do Boga jest praca dla Narodu. W programie Falangi potem szeroko omawia się strukturę i zadania Organizacji Politycznej Na-

rodu. W programie współczesnego ONR pisze się o OPN, ale skromnie, jakby chcąc ukryć jej faktyczną rolę. Tymczasem OPN to w założeniu organizacja, do której mają należeć wszyscy Polacy, hierarchiczna, zdyscyplinowana, wielostopniowa, z wodzem na czele. Taka organizacja ma rządzić całym państwem – mają jej podlegać wszystkie struktury państwowe. Ciekawa jest struktura obecnego ONR – składa się on z autonomicznych brygad pod wspólnym kierownictwem (dziś nie ma wodza, jest wybierany kierownik). Rozwiązanie jednej brygady nie rozwiązuje całego stowarzyszenia (bo dziś ONR jest stowarzyszeniem). Dlatego kiedy w 2009 r. Sąd Rejonowy w Opolu zdelegalizował ONR w Brzegu, dotyczyło to tylko tej konkretnej brygady. **Powiedział pan, że błędem była rejestracja pod przedwojenną nazwą. To chyba nie ma znaczenia. Istotny pozostaje program.**

– Oczywiście. Przede wszystkim jest to organizacja niedemokratyczna, kwestionująca istnienie partii politycznych. To jest naruszenie konstytucji, która broni systemu partyjnego, bo na nim opiera się demokracja. Ale co zrobić? To problem wszystkich demokratycznych państw: jak zwalczać organizacje niedemokratyczne, nie naruszając zasad demokracji. Chociaż istnieją pewne narzędzia prawne, np. Europejski Trybunał Praw Człowieka stwierdził, że wolność stowarzyszania nie jest

absolutna, zwłaszcza gdy stowarzyszenie poprzez swoje działania lub zamierzenia zagraża instytucjom państwa bądź prawom i obowiązkom innych ludzi. W art. 13 naszej konstytucji zapisano: „Zakazane jest istnienie partii politycznych i innych organizacji odwołujących się w swoich programach do totalitarnych metod



PROF. SZYMON RUDNICKI

– historyk, opublikował m.in.: „Obóz Narodowo-Radykalny. Geneza i działalność”, „Działalność polityczna polskich konserwatystów 1918-1926”, „Ziemiaństwo polskie w XX w.”, „Żydzi w parlamencie II Rzeczypospolitej” (Nagroda Klio w 2004 r.), w 2018 r. ukazała się „Falanga. Ruch Narodowo Radykalny” (nagroda miesięcznika „Nowe Książki” za Najlepszą Książkę Roku).

i praktyk działania nazizmu, faszyzmu i komunizmu, a także tych, których program lub działalność zakłada lub dopuszcza nienawiść rasową i narodowościową, stosowanie przemocy w celu zdobycia władzy lub wpływu na politykę państwa albo przewiduje utajnienie struktur lub członkostwa”. **A narodowcy bynajmniej nie są wolni od nienawiści narodowościowej czy rasowej...**

– Oni sami często dziś twierdzą, że nie są rasistami, a jednocześnie mówią o homogenicznej etniczności. Trudno to pogodzić, ale balansując na granicy prawa, wystrzegają się pewnych haseł. W swojej książce cytuję przedwojenne ulotki, w których

nawoływano nawet do morderstw, rozprawiano się z założeniami humanizmu, głosząc, że Żyd to nie człowiek. Dzisiaj środowiska narodowe są ostrożniejsze w publicznych wypowiedziach. Proszę też zwrócić uwagę, że narodowcy nie sformułowali teraz swojego programu w sprawach gospodarczych czy funkcjonowania państwa. Brak im refleksji teoretycznej; są wtórni w stosunku do przedwojennego ONR.

Wtórna jest też chyba reakcja – czy raczej brak reakcji – na rozmaite wybryki, jak pobicia „obcych”, hasła na demonstracjach. Bierność jest groźna. Tak jak przed wojną, tak i teraz.

– Mało – bierność. Mamy przypadki, gdy nikt nie chciał się zająć doniesieniami o ksenofobii, postępowaniu się faszystowskimi symbolami, które są przecież w Polsce zakazane. Władze nieraz albo udawały, że nie ma problemu, tłumaczyły na różne sposoby, albo wyraźnie tolerowały. Co tu zresztą dużo mówić, skoro prezydent maszerował z narodowcami w jednym pochodzie. To zaczyna być groźne. Proszę też zauważyć, że niektóre postulaty są zbieżne z postulatami rządzącej partii. Chociażby ksenofobia czy straszenie najazdem islamistów. Hasła narodowców wpisują się w pewien nurt i władza niekiedy nimi gra, nie chcąc mieć z prawej strony przeciwnika. Przed wojną była jednak demonstracja stanowiska państwa – ONR został zdelegalizowany. Chociaż to nie jest rozwiązanie, bo zaczął działać pod inną nazwą. Ale władza musi egzekwować to, co na obywateli nakłada prawo. Odwoływałem się już do stanowiska Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w sprawie naszej konstytucji, jest też Kodeks karny, a w nim np. art. 257: „Kto publicznie znieważa grupę ludności albo poszczególną osobę z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości lub z takich powodów narusza nietykalność cielesną innej osoby, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”. To znaczy, że są narzędzia do przeciwdziałania niebezpieczeństwu.

W majowych wyborach do Parlamentu Europejskiego Konfederacja KORWiN zdobyła 4,5% głosów – najwięcej zwolenników miała wśród młodych, w wieku 18-29 lat. Dlaczego? Co zrobiliśmy źle – starsze i średnie pokolenie – że młodych przyciągają takie faszyzujące poglądy?

– Motywy przystąpienia do wybranego ruchu politycznego są najróżniejsze. Aleksander Hertz utrzymywał, że w momentach paniki z myślenia ludzkiego znikają elementy racjonalne. A irracjonalne trudno zdefiniować. Być może dziś ONR i zbliżone do niego środowiska dają poczucie wspólnoty? Zaspokajają jakieś frustracje młodych. Jakich potrzeb nie zaspokaja nasze państwo? To jest pytanie.

► Czyli jeśli nie mam pracy, mieszkania, pomysłu na dalsze życie, to się schowam we wspólnocie?

– To jest myślenie szeregowych członków. Tak było w przedwojennej Falandze – grupa dobrze wykształconych, zdolnych młodych ludzi prowadziła dyskusje, snuła refleksje, a masom wystarczyły proste hasła. Na marginesie dodam, że w dzisiejszym ONR nie ma ani jednego człowieka takiego formatu intelektualnego jak kiedyś, nie ma też charyzmatycznego przywódcy. Ale to nieważne, masy lubią mieć kogoś, kto pokieruje, wyjaśni jednoznacznie. Być może młodzi Polacy czują się zagubieni we współczesnym świecie, zagrożeni. Poczucie zagrożenia to element wszystkich ruchów narodowych. I to łączy je z PiS. Ileż to razy Jarosław Kaczyński mówił: przyjdą tutaj, oni, obcy! Szukanie winnego własnej niezadowolającej sytuacji zawsze przynosi trochę ulgi. Jest nam źle, bo rządzą Żydzi, demokraci, ktokolwiek inny. To przez nich – przez te mniejszości, różne, wcale nie narodowe.

Bo ich nie ma.

– Nie ma, spełniła się idea narodowej demokracji państwa narodowego. Ale spisek żydowski zawsze może zaistnieć. Albo inny. Wracając do przyczyn fascynacji młodych Polaków prostymi narodowościowymi hasłami – pokolenie w sensie biologicznym zmienia się co 20 lat,

Oenerowcy nawiązują do Ruchu Narodowo-Radykalnego, zwanego popularnie Falangą.

ale żeby zaistnieć jako pokolenie, trzeba mieć wspólne przeżycie – rewolucję październikową, przewrót majowy, marzec '68. A pokolenie wchodzące teraz do politycznego życia nie uczestniczyło w żadnym istotnym wydarzeniu. Oni nie przeżyli Solidarności, nie przeżyli stanu wojennego.

Kompleks młodszych braci?

– Tak. A jeszcze nałożyło się na to rozczarowanie demokracją, jej niesprawnością. Bo systemy totalitarne w pewnych sytuacjach są bardziej sprawne – nie będziemy się kierowali prawem, po co nam przepisy, skoro możemy uchwalić, co uważamy za słuszne czy potrzebne.

W nocy.



Biało-czerwony marsz „Dla Ciebie Polsko” przeszedł ulicami Warszawy 11 listopada 2018 r. Na jego czele szedł prezydent Duda. A za nim narodowcy.

– To, co robią Orbán, nasz parlament czy raczej – PiS... Trzeba – to od ręki uchwalamy prawo. Jest taka publikacja Stefana Czarnowskiego, którą zawsze polecałem studentom, „Ludzie zbędni w służbie przemocy”. Według niego „ludzie zbędni” to osoby młode. Najłatwiej je zwolnić, nie przyjąć do pracy, towarzyszy im niepokój, jak sobie poradzą. To też może tłumaczyć, dlaczego idą tam, gdzie proponuje się prostsze rozwiązania.

W Polsce jest jeszcze jedna grupa będąca zapleczem dla ruchów narodowościowych – kibice sportowi. W wielu krajach jest problem z tymi wspólnotami...

Emocjonalnymi...

– ...które u nas związały się z pracą. PZPN próbował opanować sytuację, np. opisać znaki czy hasła, jakich nie wolno używać na stadionach. Ale te zakazy są nagminnie bezkarnie łamane. Dotyczy to choćby prezentacji krzyża celtyckiego, będącego oznaką aryjskości, wykorzystywanego przez skrajną prawicę. Niestety, mam wrażenie, że kluby ulegają terrorowi kibiców. Kiedy wyjdziemy ze stadionów, też czujemy atmosferę, która coraz bardziej sprzy-

ja atakom na „obcych” – ludzi innej narodowości, wyznania, inaczej wyglądających, mówiących w obcym języku. Policja, owszem, reaguje, zwłaszcza gdy chodzi o pobicie, ale na demonstracjach już nie jest taka czujna.

A jak to opisał pan w „Falandze...”, przymykając oczu na pierwsze przejawy zła eskaluje przemoc. Getto ławkowe, numerus nullus, napaści na profesorów, bo przeciwnością się szykanom wobec żydowskich studentów...

– W tej chwili tego nie ma i mam nadzieję, że nie dojdzie do takiej sytuacji. Choć zmienia się sytuacja na uczelniach. Znam Uniwersytet Warszawski i widzę, jak niektóre wydziały, zawsze bardzo liberalne, w tej chwili stają się jakby mniej liberalne. Zmienia się kadra, która kiedyś walczyła o demokrację. Przed wojną też duża część kadry tolerowała działania narodowców.

No właśnie.

– Ale na to nic się nie poradzi w sensie słownym – trzeba się organizować, wygrywać wybory. A teraz wydziały, po reformie ministra Gowina, będą miały mniej praw. Są pewne problemy, których nie jesteśmy w stanie indywidualnie rozwiązać.

Indywidualnie nie, ale ziarno do ziarnka.

– Proszę wybaczyć, ale jaki program dla młodzieży ma np. Platforma Obywatelska? Co robi w tym kierunku szkoła?

W jakim kierunku?

– Uczenia, czym jest demokracja, Unia Europejska, czym są prawa człowieka, obowiązki obywatela. Gdzie pani znajdzie to wszystko w programach szkolnych? To jest pierwszy krok. A jeszcze w tym wszystkim rola Kościoła. Nie próbuje wychowywać młodzieży, pokazywać, kim jest człowiek, jak do niego się odnosić. Wciąż, jak

pisał Tuwim, przeważają u nas: „Już znakomici »katolicy«, / Tylko że jeszcze nie chrześcijanie”. Kościół jest owładnięty, niezrozumiały dla mnie, obsesją seksu. Niechże już ją ma, ale niech wychowuje.

Porozmawiajmy jeszcze o kulturze. Jaki wpływ ma na nią ruch narodowo-radykalny?

– Przed wojną Alfred Łaszowski pisał, że „Wszystko, co rozkłada ducha narodu, musi być niszczone”; „W czasie niszczenia pasożytów niejedna cenna rzecz ulegnie zniszczeniu” – bronił palenia książek. Dzisiejsi narodowcy trochę innymi słowami powtarzają prawie to samo. Trzeba zapobiec degeneracji społeczeństwa i wychować nowego człowieka, „zadziornego, zaczepne-

go, zaczytanego w Jüngerze, Cioranie, Dávili, Evoli”. Jünger to niemiecki nacjonalista, Cioran – ideolog Żelaznej Gwardii, Dávila – katolicki fundamentalista, a Evola – zwolennik faszystów, propagator rasizmu duchowego. Rasizm duchowy to po prostu „nasza kultura”. Tym samym dziś narodowcy odcinają się od rasizmu biologicznego, co nie przeszkadza im mówić o aryjskości, czystości narodu, wspólnej krwi. Przemysław

przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego... Pisma demokratyczne nie dostają dotacji, reprezentujące fundamentalizm katolicki – owszem. Zmiany w kierownictwie Instytutu Książki, Muzeum II Wojny Światowej, Muzeum Narodowego itd. Można zacytować Norwida: „Czy ten ptak kała gniazdo, co je kała, / Czy ten, co mówi o tym nie pozwala?”. Teksty, przedstawienia, wystawy krytyczne wobec władzy i wobec

Współcześni narodowcy są wtórni w stosunku do przedwojennego ONR.

Holocher, pierwszy przywódca współczesnego ONR, pisał: „Antysemityzm ONR wygląda tak jak wyglądał przed wojną”. Widoczne są też ksenofobia, homofobia.

Przed wojną, co przytacza pan w „Falandze...”, Zdzisław Dębicki deklarował, że jest przeciw formom kultury, które przekreślają dorobek wieków, a nacjonalizm wypowiada walkę degeneracji w sztuce, „formom materialistycznym, a w szczególności marksizmu i fizjologicznemu tłumaczeniu świata, szerzonemu głównie przez żydostwo niemieckie”. To nie brzmi niestety archaicznie.

– Dziś nikt nie używa określenia „sztuka zdegenerowana”, ale spójrzmy na politykę prowadzoną teraz

postaw reprezentowanych przez część społeczeństwa nie są dobrze widziane. Obecna władza nie stawia na wielokulturowość, ważny jest dla niej kierunek mitologizujący naród. To najlepiej widać po mitologizacji „żołnierzy wyklętych” – mimo skandalu z „Burym”, który wymordował Białorusinów, z „Szarym”, mającym na sumieniu zabitych Ukraińców, czy innymi, odpowiedzialnymi za mord Żydów. Ten element kultywowania narodowej pamięci pomaga młodzieży z ONR. Zamiast pokazywać złożoność historii, upraszcza się. To już też było. Choć – powtarzam – historia się nie odtwarza, najwyżej powtarza w innym nieco wydaniu.

Małgorzata Kąkiel

Lewicę racz nam zwrócić, Panie

Rafał Woś laureatem nagrody im. Aleksandra Małachowskiego

Aleksander Małachowski był znakomitym dziennikarzem, autorem „Telewizji nocą” i „Rozmów o cierpieniu”, wieloletnim felietonistą PRZEGŁADU. I wielkiego kalibru politykiem – zakładał Solidarność Pracy, był też przewodniczącym Unii Pracy i wicemarszałkiem Sejmu.

Od kilku lat Unia Pracy honoruje nagrodą im. Aleksandra Małachowskiego dziennikarzy wrażliwych na problemy społeczne, promujących postawy obywatelskie i ideały lewicy. W tym roku laureatem nagrody został Rafał Woś za książkę „Lewicę racz nam zwrócić, Panie”. To świetny wybór, bo Unia Pracy i Rafał Woś pasują do siebie jak dwie połówki jabłka, wierni lewicowemu spojrzeniu na świat.

I nie jest to tzw. lewica nowoczesna ani wspominkowo-historyczna, lecz można rzec – tradycyjna, skupiona na wyrównywaniu szans, na sprawach redystrybucji dóbr, wspierania mniej zarabiających, budowania państwa, w którym nie będzie wszechogarniającej mocy pieniądza.

Unii Pracy gratulujemy trafnego wyboru, Rafałowi – nagrody, która przyszła z dobrych rąk.

rw



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wojciech Osiński

Niezależnie od tego, w jakiej dzielnicy Stambułu Ekrem İmamoğlu ostatnio się pojawia, jego fani już na niego czekają. Kobiety w burkach proszą o autograf, a nastolatki o *selfie*. 23 czerwca tysiące Turczynek i Turków wyszły na ulice, żeby uczcić ponowne zwycięstwo İmamoğlu w wyborach na burmistrza Stambułu. Po ogłoszeniu wyników głosowania w mieście nad Bosforem rozległy się okrzyki radości, śpiewy i tańce.

Marcowe wybory samorządowe musiały zostać powtórzone, jako że 6 maja turecka Wysoka Komisja

miast zariło się od spekulacji, czy charyzmatyczny İmamoğlu może także doprowadzić do kresu epoki bezwzględnego „sultana” z Ankarę.

Wyspa demokracji

Trudno nie odnieść wrażenia, że nowy-stary burmistrz z łatwością wcielił się w rolę głównego konkurenta Erdoğan. I to nie tylko dlatego, że zwyciężył z AKP, która przez kilka dekad dzierżyła niepodzielnie władzę w Stambule, będącym zdaniem samego prezydenta centralą polityki krajowej. Po prostu optymistyczne słowa Erdoğan o silnej Turcji coraz bardziej odbiegały od publicznie



Święto tureckiej demokracji

Erdoğan miażdżąc przegrał wybory w Stambule.

Czy Ekrem İmamoğlu mógłby wygrać w bezpośrednim starciu z prezydentem?

Wyborcza (YSK) je unieważniła. Zdaniem prezydenta Recepta Tayyipa Erdoğan anulowanie wyników było konieczne z powodu powiązań wielu członków komisji wyborczych z organizacją Fethullah Gülena, na którym ciąży zarzut zorganizowania puczu w 2016 r. Już w marcu przewagę 13 tys. głosów wygrał İmamoğlu, pokonując byłego premiera z ramienia rządowej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) Binaliego Yıldırma (PRZEGLĄD nr 21). 23 czerwca lider opozycyjnej Republikańskiej Partii Ludowej (CHP) Ekrem İmamoğlu

Ratusz Stambułu jest trampoliną do pałacu prezydenckiego w Ankarze.

wygrał znacznie wyraźniej niż za pierwszym razem, bo różnicą przeszło 800 tys. głosów. Nikt wcześniej nie osiągnął podobnego wyniku w Stambule. Nadzieje Erdoğan, że dzięki ponowieniu wyborów w okresie wakacyjnym jego partia utrzyma władzę, okazały się płonne. Wielu mieszkańców bosforskiej metropolii zrezygnowało z wyjazdu na urlop, by tłumnie pójść do urn. W tureckich i zagranicznych mediach natych-

ogłaszanych ekspertyz tamtejszych ekonomistów. Głowa państwa wyzwoiliła już tak dużą niechęć mieszkańców Stambułu, że opozycji trudno było tego nie skonsumentować. Po czerwcowym zwycięstwie İmamoğlu obiecał, że jego miasto będzie wyspą demokracji i że to dopiero początek. Zwycięska euforia rozeszła się lotem błyskawicy po całym kraju, dotarłszy nawet do tak konserwatywnych bastionów jak Trabzon. Nagrane komórkami filmy pokazują setki mieszkańców tej czarnomorskiej metropolii, fetujących İmamoğlu niczym wyzwoilieli i wołających: „To nasz przyszły prezydent”. Medialni kibice prezydenta tłumaczą, że radość, którą wywołał w oddalonym o 1000 km od Stambułu Trabzonie, wynika z tego, że tam się urodził. Tyle tylko, że to miasto jeszcze do niedawna stało murem za AKP.

Toteż nie bez kozery tureccy publicyści mówią o cudzie nad Bosforem. I to nie tylko dlatego, że jeszcze kilka miesięcy temu wierzył w niego co najwyżej „opozycyjny beton”, jak to określał Erdoğan. A najmniej w sukces wierzył chyba sam İmamoğlu, który na początku 2019 r.

kierował prowincjonalnym okręgiem Stambułu Beylikdüzü, niemal całkowicie wolnym od wielkiej polityki. Ale odkąd dwukrotnie wystąpił mario-netkę Erdoğan do lamusa, awansował na męża opatrnościowego i stał się nadzieją milionów Turków na lepsze czasy. Od 27 czerwca na agendzie 49-letniego lidera CHP nie chodzi już jedynie o politykę lokalną. Jak wielokrotnie podkreślał Erdoğan, Stambuł jest ekonomicznym i kulturowym centrum Turcji, a ratusz tego miasta trampoliną do pałacu prezydenckiego w Ankarze. Toteż tracąc Stambuł, jego obecny gospodarz zaczął walczyć o polityczne przeżycie. Na razie tylko w swojej partii, której najwięcej szkód wyrządza erozja, jakiej podlega każda władza wskutek wyborczych porażek. Lecz zanim İmamoğlu rzeczywiście obejmie najwyższy urząd, będzie musiał najpierw się wykazać przez kilka lat w stambulskim ratuszu.

Najcięższa fucha

Posada burmistrza w tym mieście jest bodaj najcięższą pracą w Turcji. Wymaga nie tylko charyzmy, ale też umiejętności dobrego menedżera,



Tysiące Turczynek i Turków poparły İmamoğlu w wyborach na burmistrza Stambułu.

zyskał w następnych latach zaufanie stambulczyków w podobny sposób jak kiedyś Erdoğan, to jego kandydatura w następnych wyborach prezydenckich jest raczej pewna.

Sute subwencje

Tym bardziej, jeśli lider CHP obok swoich codziennych obowiązków w roli miejskiego menedżera znajduje czas na celne punktowanie ludzi Erdoğan, nadal cieszących się w bosforskiej metropolii sporymi wpływami. Teraz będzie mógł udowodnić, że stambulskie instytucje i koncerny nie są wolne od korupcji i nepotyzmu. Erdoğanowi tak bardzo zależało na utrzymaniu władzy w tym mieście, bo mógł w ten sposób zagwarantować swoim protegowanym różnego rodzaju przywileje. Tylko w roku 2018 miasto przełało ok. 20 mln euro trzem fundacjom, w których zarządach zasiadają jego krewni. Od lat sute subwencje otrzymuje znana w mieście spółka medialna Çalik, kierowana z tylnego siedzenia przez rodzinę zięcia prezydenta. Podczas majowej kampanii İmamoğlu obiecał swoim wyborcom, że jego ekipa to zmieni, podobnie jak to, że w minionych dwóch latach magistrat Stambułu zasilił kwotą ▶

który potrafi się odnaleźć zarówno wśród wiwatujących tłumów, jak i w tunelach kanalizacyjnych. W całej aglomeracji mieszka ok. 15 mln ludzi i corocznie przybywają dziesiątki tysięcy nowych mieszkańców. Zarząd miejski od lat jest chronicznie przeciążony zadaniami, a ostatnio Stambułem zawładnęły konflikty między Turkami i syryjskimi imigrantami, traktowanymi nad Bosforem często jak ludzie drugiej kategorii. Co więcej, kraj w dalszym ciągu pogrąża się w kryzysie gospodarczym, co odbija się też na kondycji jego największego miasta. Co czwarty mieszkaniec Stambułu w wieku 18-25 lat nie ma pracy. Z tureckiego biznesu wycofują się inwestorzy. Represje i nepotyzm w znacznym stopniu przyczyniły się do obecnej dekonstrukcji, a ci ekonomiści, którzy jeszcze nie opuścili Erdoğan, próbują nakłonić go do bardziej przemyślanej polityki pieniężnej oraz walki z inflacją, która od wielu miesięcy sięga już 19%.

Obecne przejawy powszechnej euforii kiedyś ustąpią, İmamoğlu musi więc sprostać oczekiwaniom mieszkańców Stambułu. – Burmistrz musi stworzyć nowe miejsca pracy, pokazać, że jest w stanie walczyć z coraz

większym zanieczyszczeniem powietrza i pozyskać środki na zabezpieczenie budynków przed trzęsieniem ziemi oraz rozbudowanie komunikacji publicznej, która jest w opłakanym stanie – tłumaczy polityk niemieckich Zielonych Özcan Mutlu. Ale żeby tak się stało, jest zdany na współpracę z rządem centralnym z nadreprezentacją ministrów z AKP, którzy mogą mu rzucać kłody pod nogi.

Stambulczycy mają však silne poczucie własnej wartości. Od włodarza swojego miasta oczekują cierpliwości i sporej dozy dobrej woli. İmamoğlu będzie musiał znaleźć z nimi wspólny język, bo to oni dają tureckim politykom sukcesy na skalę krajową. Wiedział o tym sam Erdoğan, który wprowadzając się ćwierć wieku temu do stambulskiego ratusza, potrafił na początku spełnić oczekiwania mieszkańców. Okazał się pragmatykiem, który oczyścił ulice ze śmieci i zapewnił mieszkańcom lepsze zaopatrzenie w wodę. Widzieli w jego planach jakąś umiejętność przewidzenia rezultatów własnych posunięć. Tyle że z czasem nawet najwierniejsi zauważają, że demokracja w ich kraju jest poważnie zagrożona. Gdyby jednak İmamoğlu po-

Polską rządzą religijni ekstremiści. Szczegóły w nowym numerze tygodnika „NIE”.



- 130 mln euro islamskie fundacje, którymi kierują polityczni pobratymcy Erdoğan. – Polityka bezmyślnego trwonienia pieniędzy niedługo dobiegnie końca – obiecywał İmamoğlu przed powtórką wyborów.

Stambuł jest najważniejszą, choć niejedyną enklawą demokracji w Turcji. Optymizm opozycji budzi też sytuacja w innych regionach. W marcowych wyborach samorządowych CHP zdobyła cztery z pięciu największych miast, w tym także stolicę Ankarę. Według obliczeń think tanku „Edam” partia İmamoğlu przejęła tym samym kontrolę nad ok. 60% tureckiej gospodarki. – Czas kampanii definitywnie się skończył, teraz musimy pokazać, że socjaldemokraci potrafią odmienić nasz kraj – mówi przewodniczący CHP Kemal Kılıçdaroğlu. Wprawdzie Erdoğan i AKP nadal sterują prawie wszystkimi instytucjami państwowymi, zwłaszcza sądownictwem, ale czasy względnie swobodnego rządzenia to już dla AKP raczej melodia przeszłości.

Anulowanie marcowych wyborów w Stambule mogło być największym błędem w politycznej karierze Erdoğan.

İmamoğlu stał się dla Erdoğan poważnym konkurentem także dlatego, że zdołał sobie zjednać nie tylko bogatszych i średnią klasę z większych miast, lecz także Kurdów oraz pobożnych muzułmanów. W czerwcowych wyborach wygrał z Yildirimem w tak konserwatywnych dzielnicach jak Üsküdar i Fatih, których mieszkańcy byli tradycyjnie oddani Erdoğanowi, i gdzie od niedawna politycy CHP nie organizowali wieców, bo mogli się stać obiektem czynnej napaści. Dzisiaj elektorat İmamoğlu to tureckie społeczeństwo w pigułce. Niektórzy twierdzą, że ostatnim politykiem, któremu udało się w ten sposób zjednoczyć naród, był Kemal Atatürk. Wielki reformator i autor europeizacji Turcji był zarazem jednym z założycieli CHP, ale ten fakt błędnie wobec innych jego zasług. Toteż dziś tę historyczną postać próbują zawłaszczyć ugrupowania o różnych barwach politycznych. W oczach wielu wyborców CHP oddaliła się bowiem z czasem od zapatrywań ojca założyciela, który po inteligencku gardził dostatkami, i zaczęła chłostać ubogich.



Radość z wygranej İmamoğlu była w Stambule powszechna.

W kampanii İmamoğlu usiłował więc nadać swojej partii blask dawnych czasów, przyciągając do siebie także konserwatystów. Na spotkaniach z wyborcami często pokazywał się ze swoją pobożną matką, modląc się w meczecie lub afiszując się tym, że skrupulatnie przestrzega zasady

było to w sondażach, które – wprawdzie na ogół jeszcze dla Erdoğan korzystne – pokazywały rosnącą liczbę zdeklarowanych przeciwników prezydenta. O ile więc kiedyś uchodził za męczennika, którego establishment wrzucił do więzienia, o tyle dziś ludzie widzą w nim manipulatora, który nie akceptuje werdyktów wyborczych i za pomocą mglistych zarzutów eliminuje przeciwników. Tymczasem Turcy od wieków nie kryją swoich sympatii dla prześladowanych, dlatego anulowanie marcowych wyborów w Stambule być może było największym błędem w politycznej karierze niezatapialnego z pozoru „sułtana”. Dziś można śmiało stwierdzić, że to İmamoğlu jest nowym Erdoğanem z najlepszych czasów.

Rewolucja niezadowolonych

Erdoğanowi długo udawało się podtrzymywać w tureckim społeczeństwie przekonanie, że niekorzystna sytuacja niebawem się odmieni i Turcja stanie się rajem na ziemi. W Stambule czy Ankarze prezydent był wprawdzie już od dłuższego czasu obiektem zaciętego hejtu, ale ta kampania nie wyrządziła mu najmniejszej szkody. Treść jego przemówień była słabo osadzona w faktach, ale miesiącami przykrywała merytoryczne znaczenie spływającej nań krytyki, bo jako władarz Stambułu i premier Turcji Erdoğan ugruntował wśród wielu obywateli wizerunek żołnierza walczącego po słusznej stronie. A jednak po puczu w 2016 r. głowa państwa zrezygnowała z premiowanego zwykle przez Turków umiarkowania i dążenia do kompromisu. Już w 2017 r. widać

Wyniki czerwcowych wyborów pokazały jeszcze coś innego: prezydent Turcji traci nie tylko swoje największe bastiony, ale też poparcie w AKP. „Straciliśmy Stambuł, ponieważ zostaliśmy pozbawieni naszej moralnej przewagi”, napisał na Twitterze poseł tej partii Mustafa Yeneroğlu, który dorastał w niemieckiej Kolonii. W rozmowach z niemieckimi dziennikarzami okazał się bardziej otwarty: – Prezydent już nie ma pomysłów na nasz kraj, potrzebujemy nowego początku.

Tureccy obserwatorzy zakładają, że w następnych miesiącach dojdzie do rozłamu w AKP. Prym wśród partyjnych odszczępieńców wiodą były prezydent Abdullah Gül i były premier Ahmet Davutoğlu, lecz także inni wpływowi politycy, jak były minister gospodarki Ali Babacan, który już publicznie oznajmił, że plan

powstania nowego ugrupowania nabiera konkretnego kształtu. A jednak większość członków ekipy Erdoğan w rządzie i parlamencie nadal wspiera swojego wodza. Niedowiarów, wątpliwości w to, czy rewolucja niezadowolonych się opłaca, jest zatem jeszcze całkiem sporo.

Możliwe scenariusze

Na razie bowiem mało kto przypuszcza, że AKP straci większość w Wielkim Zgromadzeniu, co nie zmienia faktu, że niezadowolone w obozie rządzącym rośnie. Aby jednak zmienić system prezydencki, którym Erdoğan w 2017 r. skonsolidował swoją władzę, opozycja (CHP oraz İyi Parti – Dobra Partia) musiałaby się zjednoczyć z renegatami z AKP, a następnie przeprowadzić w Turcji referendum. Ten scenariusz nie jest jednak pozbawiony ryzyka, gdyż zakłada, że przy okrągłym stole zasiedliby politycy, którzy dotąd licytowali się w oskarżeniach, kto z nich jest większym przejawem zła i kto skuteczniej trafi w nastroje niezadowolonego elektoratu. Musieliby

zatem wykazać się dyscypliną, z którą niekoniecznie zgodzą się ich wyborcy. Byłaby to jedyna możliwość, by jeszcze przed elekcją prezydencką w 2023 r. zmusić Erdoğan do dymisji i rozpisania nowych wyborów. Być może jednak również prezydent zmieni kurs i zacznie rozmawiać z przeciwnikami. Jako szef tureckiego rządu częściej się uśmiechał i szukał kompromisów, a po zwycięstwie

w powstrzymaniu przybliżającej katastrofę dekonstrukcji gospodarczej.

Prawdopodobniejszy jest jednak zupełnie inny scenariusz, w którym prezydent będzie z wiernymi poddanymi z AKP i sprzymierzonej Partii Ruchu Narodowego (MHP) dążył do dalszej eskalacji konfliktu. Od maja 2013 r., kiedy turecki rząd stłumił serię protestów na stambulskim placu Taksim i w nieodległym parku Gezi,

Prezydent Turcji traci nie tylko swoje największe bastiony, ale też poparcie w AKP.

İmamoğlu tureckie media wychwyciły w jego przemówieniu znaną ze starych czasów szczyptę skrucy i pokory. Aby odzyskać zaufanie Turków, Erdoğan musiałby się jednak zdobyć na znacznie więcej i wypuścić z więzienia niewinnych działaczy opozycyjnych, np. biznesmena Osmana Kavalę i byłego szefa Ludowej Partii Demokratycznej (HDP) Selahattina Demirtaşa. Poza tym musiałby ocieplić relacje z Unią Europejską i USA, a także poprosić Międzynarodowy Fundusz Walutowy o pomoc

Erdoğan rządzi wedle zasady *divide et impera*. Od sześciu lat woli nieustającą awanturę i świadomie prowokuje historyczne erupcje nienawiści. Tak jakby chciał powiedzieć: „Albo wybieracie mnie, albo będzie chaos”. Problem w tym, że w pejzażu politycznym pojawiła się realna alternatywa – Ekrem İmamoğlu. A na ulicach od tygodni nie cichnie bliska tureckim sercom pieśń: *Her şey çok güzel olacak...* (Wszystko będzie dobrze...).

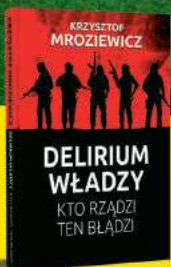
Wojciech Osiński

LATO Z KSIĄŻKĄ!

PRZEGLĄD poleca!

To znowu stary dobry Mroziewicz. A wzrok, zamiast mu z wiekiem słabnąć, wyostreza się. To ten sam nowoczesny, lapidarny język. Żadnego gładzenia.

Roman Strzemiecki, „Studio Opinii”



47 zł

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska.

Istnieje możliwość dostawy kurierem InPost – 14,90 zł.

Jakub Katulski

Izraelczycy już chyba przyzwyczaili się do tego, że ich parlament nie jest w stanie przetrwać pełnej kadencji po wyborach. Ale tym roku okres urzędowania Knesetu był rekordowo krótki, bo od wyborów nie minęły nawet dwa miesiące, a posłowie przegłosowali wniosek o samorozwiązanie zgromadzenia narodowego. Kolejne wybory zostały rozpisane na 17 września. Kraj znów rozpoczął kampanię wyborczą. Jeśli w najbliższych trzech miesiącach nie przytrafią się jakieś dramatyczne wydarzenia, najpewniej niewiele się zmieni w stosunku do ostatniej dekady rządów premiera Beniamina Netanjahu. Trudno jednak przewidzieć, czy liderowi prawicowego Likudu uda się tym razem pogodzić przeciwstawne oczekiwania koalicjantów, których potrzebuje, by utrzymać pozycję przywódcy.

Koalicja rozbita przed powstaniem

Po wyborach parlamentarnych z 9 kwietnia to właśnie Bibiemu, jak go nazywają media, powierzono misję zbudowania rządu. Wydawało się, że w skład koalicji rządzącej wejdą stali gracze z prawej części politycznego spektrum. Tymczasem okoniem stanął przewodniczący partii Jisrael Betenu (Nasz Dom Izrael), Awigdor Lieberman. Koalicja jeszcze przed powstaniem rozbiła się o kwestię obowiązkowej służby wojskowej ultraortodoksyjnych Żydów, a co za tym idzie, świeckości Izraela.

We wrześniu 2018 r. Lieberman, wówczas minister obrony, zaproponował w Knesecie ustawę, na mocy której Żydzi z rodzin ultraortodoksyjnych (*haredim*) podlegaliby takiemu samemu obowiązkowi powszechnej służby wojskowej jak reszta żydowskich obywateli. *Haredim*, podobnie jak izraelscy Arabowie, są z tego obowiązku zwolnieni, ku niezadowoleniu pozostałych grup społecznych. Rządzący od 2005 r. premier Netanjahu zawsze siedział w tej sprawie na ręce partiom reprezentującym ortodoksów. Dlatego, formując koalicję, która miała ponownie pokierować państwem, zaproponował odrzucenie dokumentu w obecnym kształcie i przygotowanie nowego tekstu.



Najdłuższa kampania Bibiego

Już po dwóch miesiącach od wyborów izraelski parlament podjął decyzję o samorozwiązaniu

Lieberman nie zgodził się. Argumentował, że ustawa nie została odrzucona w pierwszym czytaniu i prace nad nią należy kontynuować. Rozkręciło to spiralę wzajemnych oskarżeń i szantaży, które miały skłonić pochodzącego z Kiszyniowa polityka do współpracy z Likudem pod groźbą ponowienia wyborów. Przeciwno pójściu narodu do urn była również opozycja, reprezentowana przez liberalną koalicję Niebiesko-Białych. Domagała się ona przekazania misji tworzenia rządu jej przewodniczącemu Beniemu Gancowi. Ta propozycja została jednak odrzucona, co Miki Zohar, likudnik odpowiedzialny za złożenie wniosku o samorozwiązanie parlamentu, sko-

mentował słowami: „Naród oddał dwa głosy, na Netanjahu i Likud, nie na Gancę”. Ostro skrytykował przy okazji Liebermana, zarzucając mu, że z własnej żądzy władzy zmusza naród do ponownego wybierania swoich przedstawicieli.

Wniosek o samorozwiązanie parlamentu musiał zostać przegłosowany najpóźniej do 29 maja. Po tym dniu prezydent Reuven Rivlin mógłby przekazać misję tworzenia rządu innemu politykowi niż Netanjahu. Likud nie mógł jednak sobie pozwolić na ryzyko utraty władzy. Kierownictwo partii próbowało ratować sytuację, zapraszając na kolejne spotkania koalicjantów, lecz lider Jisrael Betenu odmawiał udziału. Ostatecznie 29 maja Kneset przyjął wniosek i wyznaczono termin nowych wyborów parlamentarnych na 17 września.

Z Mołdawii do Izraela

Awigdor Lieberman urodził się w 1958 r. jako Ewiet Lwowicz Liberman, w rodzinie rosyjskojęzycznych mołdawskich Żydów. Rodzice wychowali go w duchu świeckiego judaizmu, a ojciec Lew, pisarz i były więzień łagru, zaraził miłością do rosyjskiej literatury. Choć młody Ewiet Lwowicz chciał zostać poetą, wybrał studia w Instytucie Rolniczym. Nigdy jednak nie pracował w wyuczonym zawodzie hydrologa. Do Izraela przyjechał w roku 1978 i przybrał imię Awigdor.

Po odbyciu obowiązkowej zasadniczej służby wojskowej w Hebronie, mieście na okupowanych terytoriach Zachodniego Brzegu Jordanu, studiował stosunki międzynarodowe i politologię na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Karierę zawodową zaczynał jako pracownik lotniska i bramkarz w klubach, jednocześnie działając w organizacjach studenckich związanych z Likudem. Ta działalność zaowocowała uzyskaniem stanowiska dyrektora generalnego partii (lata 1993-1996), a później, podczas pierwszej kadencji Netanjahu, szefa kancelarii premiera.

Zdobyte w ten sposób doświadczenie pomogło mu w utworzeniu własnej partii, Jisrael Betenu, na czele której w 1999 r. po raz pierwszy wszedł do parlamentu. Nasz Dom Izrael powstał jako ugrupowanie rosyjskojęzycznych Izraelczyków, którzy popierali politykę twardej ręki wobec Palestyńczyków i bliskowschodniego procesu pokojowego. Protestował m.in. przeciwko wycofaniu wojsk ze Strefy Gazy. Jest sprzymierzony z Likudem i w wyborach z 2013 r. obie partie startowały do parlamentu jako jeden blok, zdobywając 31 miejsc, co zapewniło Liebermanowi stanowisko ministra spraw zagranicznych. Złośliwi mówili, że był on jedynie figurantem, a rzeczywiste decyzje zapadały w gabinecie Beniamina Netanjahu.

Nasz Dom Izrael nie odrzuca ślepo porozumienia z Palestyńczykami. Dopuszcza wymianę ziemi z zachowaniem największych osiedli Zachodniego Brzegu pod izraelską kontrolą, jednocześnie rzekając się kontroli nad dużymi arabskimi wioskami w Izraelu. Według słów przewodniczącego kluczem do zakończenia trwającego od lat konfliktu powinno być jednak poprawienie wykształcenia i jakości życia Palestyńczyków. Sam polityczny akt porozumienia, zdaniem Liebermana, z dużym prawdopodobieństwem zakończy się klęską.

Lieberman stawia natomiast na politykę twardej ręki, jeśli chodzi o spór terytorialny dotyczący okupowanych terytoriów Zachodniego Brzegu. Jako minister obrony w ciągu zaledwie 14 miesięcy zgodził się na budowę ponad 6 tys. domów w osiedlach żydowskich na wschód od granicy sprzed wojny sześciodniowej z 1967 r. To rekor-

dowa liczba pozwoleń wydanych w takim czasie, choć nie powinno to nikogo dziwić. Awigdor Lieberman sam jest osadnikiem i mieszka w niewielkiej wsi na wschód od Betlejem.

Były minister obrony uważa, że gdy demokracja stoi w opozycji do wartości żydowskich, za ważniejsze powinno się uważać wartości. Ta opinia cytowana w 2006 r. przez amerykański tygodnik „The Nation” postawiła go dzisiaj w ogniu krytyki. Pozostali kandydaci na koalicjantów Netanjahu zarzucili Liebermanowi hipokryzję. On sam odpiera ataki, mówiąc, że nie będzie częścią rządu kierującego się prawem religijnym. To sprawa zasad, tłumaczy. Postulaty

Lieberman w ciągu 14 miesięcy zgodził się na budowę ponad 6 tys. domów w osiedlach żydowskich na wschód od granicy sprzed wojny sześciodniowej.

dotyczące służby wojskowej *haredim* nie są niczym nowym w polityce Jisrael Betenu, którego członkowie już od dłuższego czasu głośno mówią o tym problemie. Mimo to Bibi wytoczył ciężkie działa na konferencji prasowej po samorozwiązaniu parlamentu i powiedział, że Lieberman przyłączył się do lewicy. W dzisiejszym Izraelu te słowa są jedną z najcięższych obelg.

Na straży świeckiego państwa

Zaproponowany przez Jisrael Betenu w zeszłym roku przepis miał być rewolucją w prawie. Gdyby wszedł w życie, co roku ustanawiano by stopniowo rosnące kwoty ultraortodoksyjnych mężczyzn, którzy musieliby odbywać służbę w izraelskiej armii. Początkowo miało to być nieco ponad 3 tys. *haredim*, a docelowo, w 2027 r., ok. 7 tys. Prawo zakłada także kary finansowe dla jesziw, religijnych szkół żydowskich, które nie wywiązywałyby się z wyznaczanego limitu. Przepis poparł Jair Lapid. Jego partia Jesz Atid (Jest Przyszłość), wchodząca w skład koalicji Niebiesko-Białych, postulowała dodanie kar kryminalnych. Nowe prawo miałyby wygasnąć, gdyby jesziwy nie wywiązywały się z nałożonego na nie obowiązku. Skutkowałoby to poddaniem ultraortodoksów powszechnym przepisom dotyczącym służby wojskowej,

w efekcie czego każdy z nich musiałby odsłużyć w armii trzy lata, tak samo jak reszta izraelskich Żydów.

Propozycja nie spotkała się z przychylnością środowisk religijnych, które uważają, że mężczyzna zajmujący się studiowaniem Tory powinien być zwolniony z takich obowiązków. Partie Szas i Kach domagają się zlikwidowania kar finansowych, obniżenia kwot i zapewnienia, że przepis nie wygaśnie, nawet jeśli zobowiązania nie zostaną wypełnione. Zamiast tego miałyby każdorazowo trafiać do ministra obrony do ponownego rozważenia. Społeczności religijne tzw. Frakcji Jerozolimskiej wywołały zamieszki w Jerozolimie i w Bene Berak.

Awigdor Lieberman jawi się niemal jako obrońca świeckiego państwa. Nie zgodził się na zaproponowane przez premiera Netanjahu kompromisy. Prawica zarzucała mu, że robi to tylko w obronie własnego interesu, by Bibi dał mu więcej swobody, gdy ponownie obejmie tę funkcję ministra obrony. To jednak teza nie do sprawdzenia, gdyż ustalenia tego typu mogły padać jedynie za zamkniętymi drzwiami. Pewne jest, że kontrowersyjny polityk zyskał w oczach tej części Izraela, która nie zgadza się, by kraj stawał się coraz bardziej religijny. Według przeprowadzanych w ostatnich dniach sondaży gdyby wybory zostały przeprowadzone dzisiaj, Jisrael Betenu zyskałby dodatkowe cztery miejsca w parlamencie. Jednocześnie dwa największe ugrupowania – Likud i Niebiesko-Biali – część miejsc by straciły. W tej chwili trudno przewidzieć, co dałoby takie przemalowanie w Knesecie. Nadchodzące wybory odbędą się znowu w atmosferze oskarżeń korupcyjnych, po przeniesionych na październik przesłuchaniach Beniamina Netanjahu. Izraelczycy będą również obserwować kampanię na rzecz tych syjonistycznych wartości, które tradycyjnie reprezentowała lewica. Oczywiście jest tylko jedno – Izrael nigdy nie był uwikłany w tak długą kampanię wyborczą jak obecna, tocząca się od końca minionego roku. ■



Odebrecht ma w Ameryce Południowej ponad 50 niedokończonych projektów, m.in. najdłuższy na kontynencie 11-kilometrowy most przez Orinoko.

Jak zbudować przekręt

Wielkie koncerny budowlane i deweloperzy na całym świecie stali się symbolem finansowych oszustw

Mateusz Mazzini

Aresztowanie Nestora Cerveró miało być kolejną akcją brazylijskiej policji federalnej, która przejdzie kompletnie bez echa. Wysoki rangą przedstawiciel tamtejszego giganta naftowego, Petrobrasu, zatrzymany w styczniu 2017 r. przez służby mundurowe na lotnisku Galeão w Rio de Janeiro, był oskarżony o wręczenie łapówki. Nie wielkiej, jak się później okazało, gdy znana już była skala całego schematu korupcyjnego. Cerveró miał przekazać kilka wartych ok. 3 tys. dol. roleksów urzędnikom brazylijskiego ministerstwa finansów i tamtejszych służb celnych i skarbowych. W rewanżu mieli oni niespecjalnie przykładać się do kontroli finansów firmy, zwłaszcza sprawozdań finansowych spółek córek, w których mogło dochodzić do prania pieniędzy pochodzących z przemytu narkotyków.

Mało kto wiedział wtedy, że ani Cerveró, ani nawet Petrobras nie będą głównymi bohaterami skandalu korupcyjnego, który dziś znany jest praktycznie na całym świecie pod nazwą *Lava Jato*, co po portugalsku oznacza myjnię samochodową. Afera została tak nazwana od sieci myjni sa-

mochodowych używanych jako pralnię pieniędzy i „dziupły”, w których przechowywano nielegalną gotówkę. Choć punktem wyjścia dla prowadzącego śledztwo sędziego federalnego Sérgio Moro były nieprawidłowości u naftowego monopolisty, szybko okazało się, że więcej na sumieniu ma inna brazylijska firma, rozpoznawalna na wszystkich kontynentach marka – budowlany gigant Odebrecht.

Prezydenci w kieszeni Odebrechtu

Firma założona w 1944 r. przez przybyłego do Brazylii z Niemiec Norberta Odebrechta, od zawsze była jednym z ulubionych podmiotów brazylijskich władz, bez względu na polityczną opcję. Funkcjonująca od lat 50. w bliskiej symbiozie z Petrobrasem, okres rozkwitu przeżyła w czasach dyktatury wojskowej, rządzącej krajem od 1964 do 1985 r. Mundurowy rząd inwestował ogromne środki w projekty infrastrukturalne, chcąc przede wszystkim lepiej skomunikować wybrzeże atlantyckie z interior. Pozostający wciąż w rodzinnych rękach Odebrecht, wtedy będący już ogromnym konglomeratem budowlanym, tylko zacierał ręce, bo oznaczało to wielomiliardowe kontrakty na budowę dróg przez

Amazonkę oraz w kierunku zachodniej granicy i Andów. Firma korzystała też na bumie naftowym, stawiając kolejne instalacje infrastrukturalne dla Petrobrasu. W ciągu zaledwie kilku dekad obie firmy rozrosły się tak bardzo i zaczęły współpracować tak blisko, że stały się jednymi z najważniejszych decydentów w brazylijskiej polityce. Kto chciał wygrać wybory, musiał mieć po swojej stronie gigantów.

Ale nawet największa na kontynencie południowoamerykańskim Brazylia szybko zrobiła się dla Odebrechtu za małą. Firma chciała budować więcej i miała na to środki. Brakowało tylko zleceń. Dlatego szefowie podjęli decyzję o ekspansji międzynarodowej, obejmującej prawie wszystkie kraje w Ameryce Łacińskiej. Za rozrostem szła jednak korupcja. Żeby przekonać rządy innych krajów do stworzenia kosztownych projektów, a potem otrzymać kontrakty na ich realizację, coraz częściej trzeba było używać nielegalnych argumentów. Dziś wiadomo, że Odebrecht płacił łapówki w 12 krajach, w tym w Szwajcarii i Stanach Zjednoczonych. Z grzechu korupcji urodziły się sztandarowe projekty firmy, jak metro w Caracas, rozbudowa metra w Limie czy długa na 2,6 tys. km Interocéanica Sur – autostrada łącząca

brazylijskie osady w Amazonii z pacyficznym wybrzeżem Peru.

W chwili gdy śledztwo w sprawie *Lava Jato* weszło w decydującą fazę, Odebrecht musiał wstrzymać zdecydowaną większość ze swoich operacji. Każda z realizowanych budów mogła być bowiem nielegalna. W efekcie od 2017 r. firma ma na całym kontynencie latynoamerykańskim ponad 50 niedokończonych projektów o wartości co najmniej 10 mln dol. W samej tylko Wenezueli jest ich 25, w tym najdłuższy w Ameryce Południowej 11-kilometrowy most, docelowo mający połączyć miasta Caiçara i Cabruta.

Jeszcze bardziej imponująco przedstawia się lista polityków, którzy byli na usługach budowlanego giganta. W samej Brazylii ofiarami śledztwa w sprawie korupcji zostali byli prezydenci kraju Luis Inácio Lula da Silva i Dilma Rousseff, jej wiceprezydent i następca po impeachmentie Michel Temer, gubernator stanu Rio de Janeiro Sérgio Cabral. Łączeni z korupcją Odebrechta są byli prezydent Kolumbii i laureat pokojowego Nobla Juan Manuel Santos, lider socjalistycznego reżimu w Wenezueli Nicolás Maduro, były prezydent Ekwadoru Rafael Correa czy byli prezydenci Peru Pedro Pablo Kuczynski i Alan García. Ten ostatni 17 kwietnia popełnił samobójstwo, gdy peruwiańska policja chciała aresztować go w domu, właśnie w związku ze śledztwem korupcyjnym wokół Odebrechtu. Łącznie w całym *Lava Jato* łapówki miało wziąć ok. 2,5 tys.

Praktycznie na wszystkich budowach amerykańskiej firmy HRCG sztucznie zawyżano koszty.

polityków i funkcjonariuszy publicznych. W samej Brazylii oficjalnie oskarżonych zostało 346 osób. Odebrecht został już zmuszony do zapłacenia kar wynoszących ponad 5 mld dol., a wyroki skazujące usłyszało 55 menedżerów firmy, w tym jej prezes i wnuk założyciela – on za kratkami spędzi 19 lat.

Deweloperzy na usługach mafii

Odebrecht stał się symbolem największego na świecie skandalu korupcyjnego. Bardziej jednak niż na problemy z płatną protekcją w Ameryce Południowej, zwrócić uwagę opinii publicznej na rosnące problemy z finansową przejrzystością w sektorze

budowlanym. Brazylijski konglomerat jest bowiem tylko ostatnim z długiej listy przedsiębiorstw, które w tej branży zarobiły ogromne kwoty nielegalnych pieniędzy.

W Stanach Zjednoczonych jednym z największych skandali z udziałem firm budowlano-deweloperskich była afera wokół Hunter Roberts Construction Group (HRCG). Firma znana z wielu prestiżowych realizacji w Nowym Jorku, m.in. rozbudowy stadionu New York Yankees i budowy siedziby koncernu kosmetycznego Avon, na radar śledczych federalnych trafiła w trakcie realizacji odbudowy komendy straży pożarnej na Manhattanie po zamachach z 11 września. Okazało się, że praktycznie na wszystkich budowach

W Montrealu mafia wykorzystywała deweloperskie spółki córki do zalegalizowania zysków z przestępczości.

HRCG stosowano praktykę znaną jako „opłata brygadzysty”. Polega ona na wypełnianiu harmonogramu prac budowlanych niepotrzebnymi lub wręcz nieistniejącymi czynnościami, by wydłużyć czas realizacji projektu i tym samym zwiększyć jego koszty. Śledczy rozpracowujący skandal wokół HRCG szacują, że na samej tylko odbudowie komendy strażackiej firma mogła w ten sposób zarobić dodatkowo nawet 7 mln dol. Zyski z realizacji innych zleceń, jak chociażby nowojorskie przedstawicielstwo BMW, mogły być nawet kilkunastokrotnie większe.

Korupcja w sektorze budowlanym często bezpośrednio łączy się z przestępczością zorganizowaną. Ta symbioza jest dobra dla obu stron, bo wielomilionowe projekty renowacyjne czy infrastrukturalne są idealnymi sposobami na wypranie brudnych pieniędzy. Tak było chociażby w przypadku Montrealu, gdzie tamtejsza mafia, odpowiadająca za przemysł i dystrybucję twardych narkotyków na całym wschodnim wybrzeżu Kanady, wykorzystywała deweloperskie spółki córki do zalegalizowania zysków z przestępczości. Czasami były to ogromne osiedla mieszkaniowe, czasami partnerstwo z władzami miasta w renowacji starych dzielnic i projektach

budownictwa socjalnego. Proceder trwał co najmniej trzy dekady, a śledztwo w sprawie powiązań mafii z projektami budowlanymi doprowadziło do dymisji burmistrza miasta Géralda Tremblaya.

Kontrakty dla reżimu

Kanada ma zresztą z korupcją na budowach dużo większy problem. Od 1 lutego toczy się tam śledztwo w sprawie pochodzącej również z Montrealu spółki SNC-L. Szefom przedsiębiorstwa zarzuca się sprzeniewierzenie publicznych środków – spółka była odpowiedzialna za renowację mostu im. Cartiera, jednej z najważniejszych przepraw w mieście. Projekt

został jednak ukończony z wieloma niedoróbkami, kosztującymi miasto miliony dolarów kanadyjskich utopionych w koniecznych naprawach. SNC-L nie poniosło jednak żadnej odpowiedzialności, ponieważ przekupiło akceptujących odbiór przebudowy urzędników.

Śledztwo w tej sprawie szybko zostało znacznie poszerzone. Okazało się bowiem, że SNC-L ma na swoim koncie długą historię realizacji kontraktów budowlanych w Libii. Firma miała w latach 2001-2011 wypłacić reżimowi Kaddafiego 48 mln dol. łapówek za przyznanie kontraktów deweloperskich. Wiele z postawionych przez firmę budynków było później używanych jako centra tortur opozycjonistów. Afera wokół SNC-L nabrała wymiaru wizerunkowego dla całej Kanady i stała się problemem dla premiera Justina Trudeau, walczącego o pokazanie swojego kraju jako nowej moralnej ostoji na półkuli zachodniej. Tamtejsze media spekulują, że SNC-L może być jednym z głównych balastów, które bardzo utrudnią Trudeau walkę o reelekcję.

Spółki budowlane i deweloperskie stają się synonimem biznesu na granicy prawa. OECD szacuje, że w samej Afryce łapówki w tym sektorze mogą sięgać miliarda dolarów rocznie, a na innych kontynentach być kilkakrotnie wyższe. Choć skala tych projektów jest imponująca, większość z nich stoi na etycznie chwiejnych fundamentach. ■

Handel ludźmi na uczelni

Uniwersytet Georgetown w 1838 r. sprzedał 272 osoby na plantacje w Luizjanie. Obecni studenci próbują zadośćuczynić potomkom niewolników

Paweł Drąg

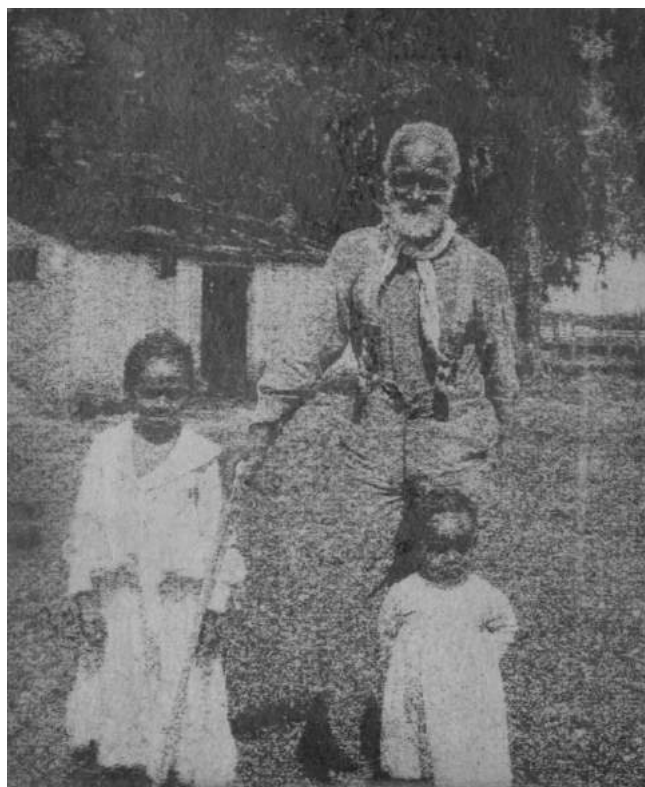
José Manuel Barroso, Bill Clinton, Gloria Macapagal-Arroyo, Dalia Grybauskaitė – lista wybitnych absolwentów Uniwersytetu Georgetown w Waszyngtonie jest długa. To miejsce nie bez powodu nazywa się kuźnią najlepszych kadr dyplomatycznych, gdzie trendy i wartości są kreowane, a nie kopiowane. Było wystarczająco dużo czasu, aby wypracować tak wyjątkową pozycję. Założki powstania najstarszego uniwersytetu katolickiego w USA sięgają 1634 r. Dziś to bez wątpienia jedna z najbardziej renomowanych placówek edukacyjnych na świecie. Mimo to na jej wizerunku pojawiła się rysa.

W 1838 r. z powodu niewystarczających środków na codzienne funkcjonowanie uczelnia stanęła na skraju przepaści. Ratunkiem okazała się... sprzedaż 272 osób na plantacje w Luizjanie, co pozwoliło spłacić długi i wyprowadzić budżet na prostą. Transakcja opiewała na równowartość obecnych 500 tys. dol. Dopiero w 2017 r. uczelnia oficjalnie przeprosiła za ten występ. Zadośćuczynieniem było wystosowanie pojednawczych listów do rodzin pokrzywdzonych, a także symboliczna gloryfikacja poprzez nazwanie dwóch uczelnianych budynków na ich cześć. Jeden z nich nosi imię Isaaca Hawkinsa, pierwszej osoby sprzedanej w niewolę. Drugi imię Anne Marie Becraft, XIX-wiecznej pedagog, która otworzyła jedną z pierwszych szkół dla czarnych dziewcząt.

To działanie tylko na chwilę uspokoiło sumienia. Dwa lata póź-

Frank Campbell był w grupie osób sprzedanych przez jezuitów w 1838 r.

Studenci Georgetown opowiedzieli się za rekompensatami dla potomków niewolników.



niej część studentów, występująca jako GU272 Advocacy Team, na posiedzeniu samorządu studenckiego zagłosowała za utworzeniem funduszu reparacyjnego na rzecz potomków ofiar niesprawiedliwości z 1838 r.

„Jako studenci elitarnej instytucji uznajemy wielkie przywileje, które otrzymaliśmy, i pragniemy przynajmniej częściowo spłacić nasze długi rodzinom, których mimowolne ofiary umożliwiły uzyskanie tych korzyści. Jako osoby z wyobraźnią moralną

postanawiamy zrobić coś więcej niż tylko rozpamiętywać przeszłość – postanawiamy zmienić naszą przyszłość, a ponieważ naprawdę chcemy »iść, oświecić świat«, wybieramy to w tym miejscu, tego dnia i z tą kartą do głosowania”, przekonawali w jednym z komunikatów, bezpośrednio odnosząc się do przewodniej idei filozofii jezuickiej.

Na mocy ustaleń wszyscy studenci uczelni raz w roku mieliby wpłacać 27,20 dol. obowiązkowej składki, co pozwoliłoby zbierać ok. 400 tys. dol. rocznie. Pieniądze byłyby przeznaczane na „cele charytatywne, bezpośrednio służące potomkom GU272 i innych osób, które były kiedyś niewolnikami jezuitów w Maryland”.

W głosowaniu wzięło udział 60% studentów, z czego 66% opowiedziało się za utworzeniem funduszu. Uczelnia musi jeszcze zaakceptować ten wniosek, ponieważ dotyczy zmian w wysokości czesnego, a więc drażliwego aspektu. Jeśli wniosek przejdzie, Georgetown będzie prawdopodobnie pierwszą uczelnią na świecie, która wdroży tego typu ideę. Opłaty miałyby być pobierane od drugiej połowy 2020 r.

– Głosowania służą wyrażaniu poglądów przez studentów. Nie kształtują one jednak polityki uniwersytetu i nie są dla niego wiążące – tonował nastroje Todd Olson, wiceprezes ds. studenckich w Georgetown. Olson dodawał, że nawet jeśli opłata nie zostałaby wprowadzona w życie, to uczelnia pracowałaby nad stworzeniem programów,

dliwe uważa się również to, że obowiązek wpłacania 27,20 dol. będzie obejmował wszystkich studentów, a więc nawet tych, którzy głosowali przeciwko. Kontrowersje dotyczą także niejasnego procesu rozliczania i nadzorowania funduszu. Przeciwnicy przekonują również, że to kwota, która nie rozwiązuje żadnych rzeczywistych problemów.

„Zwolennicy referendum twierdzą, że uczestnicząc w zajęciach, mieszkając w akademikach i akceptując nasze stopnie, zaciągamy wewnętrzny dług wobec potomków zniewolonych ludzi, którzy zapłacili za życie

Wszyscy studenci Georgetown raz w roku mieliby płacić ok. 27 dol. obowiązkowej składki.

Georgetown swoim życiem – napisali studenci uczelni Samuel Dubke i Hayley Grande. – Chociaż zgadzamy się, że dzisiejszy Georgetown nie istniałby, gdyby nie sprzedaż 272 niewolników w 1838 r., obecni studenci nie są winni przeszłych grzechów instytucji, a nasz wkład finansowy nie może spłacić dawnego długu zaciągniętego przez uniwersytet. Sam Uniwersytet Georgetown, a nie organ studencki, ma obowiązek zapłacić za te przewinienia”.

Mimo to wiele osób uważa, że to krok we właściwym kierunku, a głos młodych ludzi jest słyszalny o wiele lepiej niż opinie kolejnych polityków, niecierpiących się społecznym zaufaniem. W Ameryce prowadzonych jest dużo otwartych dyskusji, w których pada wiele głosów,

ker, potomek Nace’a i Biby Butlerów, małżeństwa sprzedanego do Luizjany w 1838 r.

– Czarni nadal niosą ciężar finansowy, społeczny i polityczny rasiistowskiej przeszłości Ameryki. Federalna polityka i praktyki, takie jak niewolnictwo i segregacja, uniemożliwiły im uzyskanie bogactwa, edukacji i mieszkań. Wciąż zmagają się ze wspinaniem po drabinie społeczno-ekonomicznej. Przykład Georgetown, jego wcześniejsza sprzedaż ludzi, aby spłacić pożyczki, jasno dokumentuje, że rząd federalny nie ponosi wyłącznej odpowiedzialności

za historyczne wykluczenie czarnych. Liczne instytucje, w tym wiele szkół wyższych i uniwersytetów, chętnie uczestniczyły w tłumieniu aspiracji czarnych na korzyść awansu białych – w o wiele ostrzejszym tonie wypowiedział się dr Andre Perry, autorytet w dziedzinie edukacji.

Drugą stroną medalu jest fakt, że uczelnia w ostatnich latach robi coraz więcej, aby przestać kojarzyć się z trudną przeszłością. Georgetown otworzyła Wydział Studiów Afroamerykańskich i pracuje nad utworzeniem Instytutu Studiów Sprawiedliwości Rasowej. Każdego roku, 16 kwietnia, uczelnia obchodzi też Dzień Emancypacji. Tego dnia w 1862 r. w Waszyngtonie 3 tys. niewolników uzyskało wolność. Przeciwnie reparacji opowiedziało się jednak kilka autorytetów. Barack Obama, pierwszy afroamerykański prezydent USA, a także demokratka Hillary Clinton nie poparli idei rekompensaty finansowej od studentów. Z kolei zainteresowanie wspieraniem reparacji wyrazili Cory Booker, Elizabeth Warren i Julian Castro. Ta trójka może rozdawać karty w walce o fotel prezydencki w 2020 r., dlatego powszechnie uważa się, że „kwestia Georgetown” zaczyna stawać się narzędziem w walce politycznej. Bez wątpienia gra jest warta świeczki. Już w 2016 r. sondaż Marist Poll wskazywał, że prawie 60% Afroamerykanów popiera reparacje (26% Amerykanów ogółem). Ich głos w wyborach może być nie do przecenienia.

W głosowaniu wzięło udział 60% studentów, z czego 66% opowiedziało się za utworzeniem funduszu.

które pozwoliłyby studentom „znaczaco zaangażować się w historię niewolnictwa Georgetown i wspierać możliwości współpracy między uczniami a potomkami”.

Wprawdzie wiele uniwersytetów w ostatnich latach zaczęło badać rolę niewolnictwa w swojej historii, jednak niewiele z nich poczyniło zauważalne postępy w przechodzeniu od prac badawczych do wymiernych działań.

Krytycy pomysłu uważają, że to uczelnia powinna przejąć obowiązek wypłat odszkodowań. Za niesprawie-

że jeśli studenci z innych kampusów zaczną się domagać polityki podobnej do tej proponowanej w Georgetown, uczelnie będą musiały wyjść poza zwykłe badania. Tym samym sprostac zarówno trudnym oczekiwaniom, jak i własnej przeszłości. – Studenci wskrzesili pamięć o ludziach, którzy dosłownie umożliwili dalsze funkcjonowanie uniwersytetowi. Zarazem studenci Georgetown są solidarni i postanowili zadbać o to, by historyczna niesprawiedliwość miała stały wymiar świadomości, analizy i działania – mówił Lee Ba-

Co nam dała „Strategia dla Polski”

Nie chodziło nam o stworzenie jakiejś gospodarki rynkowej,
lecz gospodarki dobrej

Grzegorz W. Kołodko

Myśl o odpowiedniej strategii dla Polski rodziła się przez wiele lat, choć sama „Strategia dla Polski” – kilkuletni wielowątkowy program dynamicznego rozwoju społeczno-gospodarczego, osadzony na budowie instytucji społecznej gospodarki rynkowej i reformach strukturalnych odpowiadających na wyzwania globalizacji – powstał szybko, na przełomie lat 1993-1994. Z politycznej natury rzeczy był to program średniookresowy, szczegółowo odnoszący się do działań niezbędnych w latach 1994-1997, aczkolwiek kreślący także wiele zadań na lata późniejsze. Natomiast z ekonomicznego punktu widzenia była to próba podjęcia wyzwań długookresowych. Integralnymi częściami „Strategii dla Polski” był także „Pakiet 2000”, odnoszący się do pożądaných reform fiskalnych, z których część później została wdrożona, oraz „Euro-2006”, program wskazujący kierunki działań, które mogłyby przygotować Polskę do przystępowania do strefy wspólnej waluty europejskiej po 2006 r. Nie dokonano tego do teraz.

Ówczesne zdiagnozowanie uwarunkowań zrównoważonego rozwoju oraz nakreślenie jego długofalowych celów było zasadniczo trafne

Pełnokrwistą społeczną gospodarkę rynkową tworzy się nie przez jedną kadencję parlamentarną, lecz przez kilka pokoleń.

i wiele z tego, co ćwierć wieku temu zaadresowano wobec reform strukturalnych i zmian instytucjonalnych, z jednej strony, oraz wewnętrznych i zewnętrznych determinantów rozwoju z drugiej strony, współcześnie pozostaje aktualne. Dotyczy to w szczególności spraw tak wielkich jak imperatyw tworzenia społecznej gospodarki rynkowej czy konkurencyjność przedsiębiorstw w warunkach szerokiego otwarcia na kon-



Prof. Grzegorz W. Kołodko i Bill Gates na First International Import Expo w Szanghaju, 2018 r.

takty ze światem, przez sprawy tak znaczące jak korzystna integracja z Unią Europejską czy reforma systemu ubezpieczeń społecznych, po sprawy tak konkretne jak sprawny nadzór finansowy czy ekspansja gospodarki opartej w coraz większym stopniu na wiedzy. (...)

„Strategia dla Polski” wyrosła z kilku źródeł. Z pewnością ze znajomości bogatego dorobku teorii ekonomii tamtego okresu, zwłaszcza ekonomii porównawczej, oraz z głębokiej analizy dokonań i uchybień

wej transformacji, 1989-1993, przede wszystkim błędów tzw. szokowej terapii lat 1990-1991.

„Strategia dla Polski” – jak żaden rządowy program reform i rozwoju ani przedtem, ani potem – charakteryzowała się kompleksowością, obejmując bez mała wszystkie istotne aspekty funkcjonowania gospodarki. Opierała się na czterech fundamentach, takich jak:

1) szybki wzrost, 2) sprawiedliwy podział, 3) korzystna integracja, 4) skuteczne państwo.

Z krótkookresowego, koniunkturalnego punktu widzenia chodziło przede wszystkim o nadanie gospodarce wysokiej dynamiki.

Udało się to w pełni, gdyż nie tylko w latach transformacji ustrojowej, lecz podczas minionego 45-lecia – od połowy lat 70. XX w. – nie było okresu z tak wysokim średnim tempem wzrostu. W latach 1994-1997 realny (po wyeliminowaniu skutków inflacji) PKB na mieszkańca zwiększył się aż o 28%, czyli rósł średnio rocznie o 6,3%. Natomiast z punktu widzenia długofalowego, strategicznego właśnie – po czteroleciu 1989-1993, w którym mieszał się nadwiślański

reform strukturalnych w innych krajach – od sukcesów w Japonii i Korei Południowej, przez mieszane rezultaty w Chile, po ewidentne niepowodzenia w Argentynie. W pierwszej kolejności wszakże wzięła się ona z krytycznej obserwacji prorynkowych reform podejmowanych we wcześniejszych okresach, jeszcze w latach gospodarki socjalistycznej, a zwłaszcza z chęci odejścia od niedociągnięć początkowych lat ustrojowego

neoliberalizm z solidarnościowym populizmem – stawką było stworzenie przyczółków społecznej gospodarki rynkowej. Przyczółków tylko, bo pełnokrwistą społeczną gospodarkę rynkową tworzy się nie przez jedną kadencję parlamentarną, lecz przez kilka pokoleń. To zadanie wciąż jest przed nami, nie chodziło nam bowiem o stworzenie jakiejś gospodarki rynkowej, lecz gospodarki dobrej. (...)

Nie byłoby „Strategii dla Polski” nie tylko w sytuacji, gdyby inaczej potoczyła się poprzedzająca ją krótka i dłuższa historia, lecz też nie byłoby jej w takim akurat, w jakim zrodziła się kształcie, gdyby nie żywe debaty naukowe i polityczne toczone z górą ćwierć wieku temu. To na pewno osąd subiektywny, ale wydaje mi się, że tamten dyskurs naukowy był bardziej żywy w porównaniu z tym współczesnym, a spory polityczne, pomimo ich ostrości, były bardziej nasycone autentyczną troską o prawdziwie dobrą zmianę i większą odpowiedzialnością. Tak czy inaczej, kiedyś przyjdzie badać historykom ten okres, a historycy myśli ekono-

micznej będą zgłębiać ogrom prac analitycznych i teoretycznych, które w tym czasie powstały. Co prawda, ani nie mieliśmy teorii posocjalistycznej transformacji wtedy, kiedy nabierając impetu, była nam ona najbardziej potrzebna, ani nie mamy jej w dojrzałej i konsystentnej postaci obecnie. Ta praca domowa wciąż czeka na odrobienie. Powstało natomiast wiele prac przyczynkarskich,

Polskie doświadczenia minionych 30 lat pokazują, że rynek nie eliminuje nieuczciwości, a demokracja głupoty.

liczne analizy i studia, których nie sposób bagatelizować, wniosły one bowiem wiele do wyłaniających się koncepcji teoretycznych i praktycznych. Do ukierunkowania programu działań nie do zlekceważenia wkład wniosły też prace zbiorowe przygotowane przez zespół zorientowanych na politykę publiczną badaczy z Instytutu Finansów.

Nie byłoby „Strategii dla Polski”, gdyby nie zespół kilkunastu technokratów wywodzących się ze środowi-

ska akademickiego, ten specyficzny „wicerząd wicepremiera”. (...)

Tak, ułożyłem ich tam, liczyłem na nich i się nie przeliczyłem. Przyszli z uczelni do polityki, wykonali swoje zadania i wrócili na uniwersytety. Niektórzy jeszcze trochę zasiedzieli się w polityce, ktoś trwa w niej wciąż, ale determinacja autorów tego przedsięwzięcia i ich doradców w realizacji nakreślonych zadań

była wielka i nie zakłócała jej walka o władzę, o jej utrzymanie bądź zdobycie, co z jednej strony jest istotą polityki, a z drugiej strony – jej zakałą. Dla ekipy urzędniczącej ten program sens polityki polegał nie na władzy, lecz na rozwiązywaniu społeczno-ekonomicznych problemów. By to umożliwić, trzeba było rozbić istniejący, skostniały układ biurokratyczny i branżowy i – jak się szybko okazało – po części także ten polityczny. Nie wszystkim tkwiącym ▶

Milioner z wyboru

Kraina Wielkich Jezior Mazurskich, choć kojarzy się nam przede wszystkim z wakacyjnym wypoczynkiem i czystą przyrodą, jest też miejscem wyjątkowo sprzyjającym inwestorom. Nie wszystkie działające tu firmy zajmują się obsługą turystów, a branże w jakich z sukcesem działają zaskakują różnorodnością.

Dawno temu, w XIV-wiecznym miasteczku...

Założona w 1991 roku w Białej Piskiej, niewielkim, kilkutysięcznym mazurskim miasteczku hurtownia farmaceutyczna Bialmed, przez 28 lat działała z tego samego miejsca, stopniowo zdobywając nowe rynki zbytu. Dziś obsługuje około 700 szpitali i klinik, dostarczając im środki, sprzęt i wyposażenie medyczne, współpracuje z hurtowniami, ośrodkami zdrowia i gabinetami lekarskimi w całej Polsce.

Właściciele szybko rosnącej firmy, dogodnego miejsca pod budowę nowego centrum logistycznego, wcale nie szukali w pobliżu wielkich polskich miast. Wybrali Pisz, miasto na południowym krańcu szlaku Wielkich Jezior Mazurskich, które zaoferowało im nie tylko atrakcyjną, 6-hektarową działkę, ale też ułatwiającą inwestycję wsparcie administracyjne.

W 2017 w przyszłościowym szczerem polu rozpoczęto stawianie konstrukcji budynku o powierzchni 14,5 tys. m². Atrakcyjna bryła architektoniczna niedawno wygrała 11. edycję Plebiscytu Polskiej Architektury XXL w kategorii obiekty publiczne. Budynek wyróżnia nie tylko efektowna i nowoczesna forma, dzięki doborowi kolorystyki i wykorzystaniu materiałów idealnie wpisująca się w mazurski krajobraz.

W skład Stowarzyszenia wchodzi Miasto Giżycko, Gmina Giżycko, Węgorzewo, Miłki, Orzysz, Pisz, Ruciane-Nida, Mikołajki, Miasto Mrągowo, Gmina Mrągowo oraz Ryn.

To także wzorcowy przykład tak pożądanego na Mazurach budownictwa zrównoważonego ekologicznie – budynek ogrzewany jest pompami ciepła, a prąd zapewniają panele fotowoltaiczne. Na tę część inwestycji pozyskano dofinansowanie, a wniosek o nie uzyskał – na 263 wnioskujące podmioty – jedną z dwóch najwyższych ocen w konkursie.

Tymczasem w pełnym żaglu Giżycku...

Znane turystycznie trzydziestotysięczne Giżycko, leży w centralnej części Pojezierza Mazurskiego. Właśnie tam postanowił zainwestować właściciel warszawskiej spółki YEST Polska, producent chronionych patentami materiałów ściernych. Fabryka marki Martinno Abrasives powstaje na terenie dawnych giżyckich Zakładów Rybnych, zakładu pracy obecnego w historii miasta przez kilkadziesiąt lat. Duża działka przy wyjeździe z miasta w stronę Warszawy i stojące na niej kilkukondygnacyjne budynki niszczały od 2002, kiedy ich właściciel zbankrutował.

Firma YEST zdecydowała się zainwestować w Giżycku z kilku powodów. Pierwszy z nich, to oczywiście dostępna za niewygórowaną cenę duża, atrakcyjna nieruchomość. Drugi, to spory rynek zbytu w regionie na materiały polerskie i szlifarskie, używane w codziennej pracy w działających tu dziesiątkach stoczn i szutni.

Trzeci, to stworzony przez władze lokalne korzystny klimat dla inwestorów (jak na przykład zwolnienia z podatku od nieruchomości) w połączeniu z możliwością

uzyskania dofinansowania z Unii Europejskiej na warunkach znacznie lepszych, niż w Warszawie, siedzibie firmy. Aż 70% przedsięwzięcia o wartości kilku milionów złotych finansuje Unia Europejska. Tak wysoki limit bezzwrotnego wsparcia jest możliwy dzięki Programowi Operacyjnemu Polska Wschód.

Dobry klimat dla biznesu

Inwestujący w Krainie Wielkich Jezior Mazurskich mają do dyspozycji wiele narzędzi wsparcia biznesu. Są nimi nie tylko wspomniane Programy Operacyjne UE, które w całej Polsce wschodniej zapewniają dotacje na poziomie wyższym, niż w reszcie kraju. Dzięki Warmińsko-Mazurskiej Strefie Ekonomicznej można tu także uzyskać najwyższe w Polsce (do 70%) ulgi podatkowe z tytułu tworzenia miejsc pracy.

Zawsze aktualne informacje o możliwościach inwestycyjnych znajdziesz na www.mazurytobiznes.pl

Mazury to Biznes

Mazury.
Biznes z Natury
www.mazurytobiznes.pl



► w określonych punktach grup interesów i ich medialnym popleczeniu to się podobało, ale wdrożona została reforma centrum gospodarczego rządu, ułatwiająca sterowanie gospodarką w zdecentralizowanym układzie funkcjonalnym, a nie zarządzanie w scentralizowanym układzie branżowym. Powołano specjalne międzyresortowe, wzmocnione fachowcami spoza administracji rządowej i niezależnymi doradcami zespoły problemowe odpowiedzialne za koordynację zadań sformułowanych we wszystkich 14 programach węzłowych. Osłabiło to pozycję polityczną wielu ministrów i całej ich rady, czyli rządu. Niektórzy obserwatorzy mówili przeto o „zamachu pałacowym”, o quasi-puczu, jakiego dokonano w pałacu Rady Ministrów przy Alejach Ujazdowskich. Ale to nie był pucz, to była dobra zmiana. (...)

Zostawiając na boku irracjonalne, motywowane ideologicznie i politycznie opinie, że ćwierćwiecze 1990-2015 to okres zupełnie zmarnowany, a kiedy indziej jedno pasmo sukcesów, że raz doprowadził gospodarkę do ruiny, innym razem uczynił ją świetlistym przykładem dla wszystkich innych, trzeba po prostu stwierdzić, że był on wewnętrznie zróżnicowany. Odmienne było tempo reform strukturalnych i budowy instytucji gospodarki rynkowej, inna w poszczególnych podokresach była dynamika produkcji, konsumpcji i inwestycji oraz eksportu i importu, bynajmniej nie w każdym roku i nie na każdym odcinku odnotowywano postęp. Gdyby ograniczyć się wyłącznie do spojrzenia na wahania dynamiki PKB oraz związanego z tymi fluktuacjami okresami wzrostu i spadku bezrobocia, to łatwo zauważyć przemienność okresów lepszych i gorszych. Trudno też nie dostrzec, że korespondowały one z cyklami politycznymi. Także na tym tle lata realizacji „Strategii dla Polski” wyróżniają się jednoznacznie pozytywnie, tempo wzrostu zasadniczo przyspieszyło, stopa bezrobocia znacząco się obniżyła.

Co ciekawe, wciąż nie ma ani powszechnego konsensusu ani zgody w gronach profesjonalnych ekonomistów, co można uznać za postęp, a co za jego brak czy wręcz regres. Pokazuje to, że tak naprawdę to nigdy do końca nie było jasności,

do czego ma prowadzić ustrojowa transformacja polityczna i ekonomiczna. Na pewno miało być inaczej i lepiej, niż było. Wszyscy przytakną, że jest inaczej, ale wielu nie zgodzi się, iż jest lepiej, bo miało być inaczej niż teraz.

Obecna sytuacja byłaby znacznie lepsza, gdyby nie błędy popełnione w trakcie transformacji. Wiele z nich można było uniknąć, gdyby tylko polityka gospodarcza opierała się na prawidłowych podstawach



„Strategia dla Polski” opierała się na czterech fundamentach:

- 1) szybki wzrost,
- 2) sprawiedliwy podział,
- 3) korzystna integracja,
- 4) skuteczne państwo.

teoretycznych, gdyby nie mylić środków z celami, gdyby skuteczniej przełamywać grupowe interesy rozmaitych układów branżowych, gdyby klasa polityczna wykazała się zdolnością do większej dozy pragmatycznych kompromisów, gdyby rządzący potrafili wydłużać perspektywę postrzegania konsekwencji swych decyzji poza ramy własnych kadencji. Niestety, nie zawsze tak było, bo również polskie doświadczenia minionych 30 lat pokazują, że rynek

nie eliminuje nieuczciwości, a demokracja głupoty.

Szczególnie kosztowne – zarówno w sensie ekonomicznym, jak i społecznym – były błędy dwóch czteroletnich okresów postsolidarnościowych rządów, kiedy nakładały się na siebie i negatywnie wzmacniały nurty prawicowego populizmu i nadwiślańskiego neoliberalizmu. O ile niektórzy ekonomiści usiłują jeszcze usprawiedliwiać niedoróbki szoku bez terapii, jak trafniej można tamte lata określać, to już są mniej łagodni, jeśli chodzi o ocenę zupełnie zbyt późnego i ewidentnie szkodliwego przechodzenia gospodarki w latach 1998-2001. Aby uzmysłowić sobie skalę błędów polityki gospodarczej, warto przypomnieć, że pomimo ogólnie korzystnych zewnętrznych uwarunkowań rozwoju tempo wzrostu zostało sprowadzone z rekordowego 7,5%, do którego doprowadziła „Strategia dla Polski” na wiosnę 1997 r., do stagnacyjnego 0,2% jesienią 2001 r. Raz jeszcze przekonał się, jak wielce niebezpieczny jest w polityce dogmatyzm i doktrynerstwo, które mocno o sobie dawały znać w obu tych okresach.

Naiwne były moje wyobrażenia, że rząd koalicji Akcji Wyborczej Solidarności i Unii Wolności, AWS-UW, którą do władzy wyniosły demokratyczne wybory jesienią 1997 r., zmieniając wielce retorykę, niewiele zmieni politykę gospodarczą i będzie kontynuować słuszną przecież linię reform i rozwoju, którą kroczyliśmy wcześniej. Gdyby tak było, nie doszłoby do załamania koniunktury i *de facto* zerowego wzrostu z końcem kadencji tamtej koalicji. Ówczesny partyjny przywódca Unii Wolności, a później ponownie wicepremier i minister finansów Leszek Balcerowicz krytykował tempo wzrostu gospodarczego w 1997 r. jako za niskie (*sic!*) i w kampanii wyborczej zapowiadał podwojenie PKB w ciągu następnych 10 lat. Wystarczyłoby do tego utrzymanie dynamiki „Strategii dla Polski”, ale niestety gospodarka została przechłodzona (*overcooling*) i to z dużą przesadą (*overkilling*).

Fragmety książki *Strategia dla Polski. Ćwierć wieku później*, redakcja naukowa Grzegorz W. Kołodko, Jacek Tomkiewicz, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2019

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Wakacje i polityka

Po trzech latach znowu jesteśmy w Słajszewie, małej kaszubskiej wiosce. Niewiele domów, za to wiele bocianich gniazd, stadnina koni, do której przylega kilkanaście domków dla letników, jadalnia z domowymi obiadami, smażalnia ryb i spożywczy czynny do godz. 22. Do plaży kilka kilometrów, ale można samochodem dojechać do lasu, potem ponad 20 min spaceru, jeżdżą też bryczki i od niedawna samochód elektryczny, który może przewieźć 12 osób. Spalinowym samochodem wjazd wzbrojony. Wielka plaża nigdy nie jest zatłoczona, a bywa zupełnie pusta. Sielskość psują napisy „Atom stop”, mieszkańcy protestują przeciw planom budowy elektrowni jądrowej, która ma powstać niedaleko, chociaż w przyszłości trudnej do określenia. Czy coś się zmieniło w ciągu trzech lat? Droga przez las została wyrównana i ubita, co kilkaset merów ławki i eleganckie szalasy, dużo informacji turystycznych, to wszystko powstało za pieniądze Unii. Za wsią wzniesiono ładną remizę Ochotniczej Straży Pożarnej. Powstało wiele małych, niebrzydkich domków na wynajem dla turystów oraz wypożyczalnia rowerów. Mieszkamy w takim domku, jesteśmy jego pierwszymi użytkownikami, więc wszystko nowe i czyste, kupione w Ikea, więc gustowne. Nigdzie w okolicy nie ma jednak bankomatu, najbliższy w małym, szkaradnym Choczewie, wisi na ścianie banku. W ramach mojego ciemnego widzenia świata boję się bankomatów. A nuż taki weźmie moją kartę i potem jej nie odda? Ten lęk ma źródło w moim matołętwie technicznym i mam wrażenie, że coraz bardziej wyrafinowane urządzenia o tym wiedzą. Dlatego częściej niż innym ludziom coś mi się psuje. Bankomat w Choczewie okazał się najbardziej nowoczesnym, z jakim obcowałem. Pomyśleć, że w takim byle jakim miasteczku urządzenie grzecznie rozmawia klientem, mówi mu, co ma robić. Tak potraktowało moją pierwszą kartę. Doprawdy miałem poczucie, że się mną opiekuje. Ale to było oszustwo, które uśpiło moją czujność. Gdy włożyłem drugą kartę, zabełkotało, złośliwie zapaliły mu się oczy, po czym zgasty. I zapadła śmiertelna cisza. A karty mi nie oddało. Bank był zamknięty. Pocieszam się, że w bankomacie jest bezpieczna jak w sejfie. Zadzwońnię nazajutrz do banku, powiedzieli, że wyjaśnią i oddzwonią, ale nie zrobili tego. Jestem pełen ciemnych myśli.

Z zupełnie innej beczki, ale też mrocznej, szukam w niej polskich analogii. Jérôme Fourcade, jeden z dyrektorów instytutu badania opinii, mówi: „Są teraz dwie Francje, które

wszystko dzieli”. Jego zdaniem to nie poglądy polityczne, ale przynależność klasowa wpływa na głosowanie. „Na centrowy i proeuropejski ruch La République en marche prezydenta Macrona głosują wyższe kategorie społeczno-zawodowe, podczas gdy robotnicy i farmerzy, mieszkańcy małych miast wybierają skrajnie prawicowe Zjednoczenie Narodowe na czele z Marine Le Pen. Wypisane przez Macrona na sztandarze starcie między »postępowcami« i »populistami« ożywiło walkę klas, która zastępuje konkurencję między lewicą i prawicą”.

A jak jest w Anglii? Piszę do kuzynki, która mieszka w Londynie, czy nie ma wrażenia, że u nich też, jak u nas, trwa walka ludu z panami. Pisze: „Dokładnie tak. Nic dodać, nic ująć. Tylko u nas jakby przez zagapienie mściwy lud wybrał panów na przywódców. Ale główny kandydat na nowego premiera Boris Johnson to koszmarny. Niewiarygodne, że ktoś taki może być brany poważnie. Jego ostatni wybrzyk – kłótnia z przyjaciółką nagrana przez przerażonych sąsiadów, którzy wezwali policję w jej obronie – posłużyła

Wpadłem w nałóg czytania Twittera Trumpa. Co chwila pisze „great”. „Wielkie” jest wszystko, co dotyczy Stanów i jego samego.

satyrze i rozweseliła opozycję. Czy zniszczyła jego szanse – zobaczymy. Wybór jest żałosny, ale wiesz, jako nieuleczalna optymistka zaczynam widzieć w tym szaleństwie okrucy nadziei: wymiera powoli grupa, która tak bardzo chce brexitu, inna sprawa, że czasami zdaje mi się, że dawno zapomniano, o co w ogóle poszło. Trochę tak jak w awanturach małżeńskich. Młode pokolenie jest za to w 73% za pozostaniem w Unii. Jeżeli te negocjacje potrwają dłużej, to zostaniemy. Poza tym absolutnie zgadzam się, że zagrożenie ekologiczne kompletnie zmieni sytuację polityczną świata. Bo musi”.

Pocieszając się cudzym nieszczęściem, wpadłem w nałóg czytania Twittera Trumpa. Nie do wiary, jaki to bufon i narcyz. Co chwila pisze *great*, często dużymi literami. Wielkie jest wszystko, co dotyczy Stanów i jego samego. Nawet Putin nie używa tak często tego słowa wobec Rosji. Putin przy Trumpie wydaje się skromnym intelektualistą, ale o lisim wyrazie twarzy. Czytam też zapiski Trumpa z rozmowami, ale też ze zgroszą. Byłem wychowywany na micie Stanów Zjednoczonych i trudno mi się z nim rozstać.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Zamiast niepodległości była klęska

Na Warmii i Mazurach czekano na pomoc Polski. Ale ona nie przyszła

Henryk Leśniowski

O godzinie jedenastej, dnia jedenastego, miesiąca jedenastego roku 1918 umilkły strzały Wielkiej Wojny – tak ją wtedy nazywano, nie wiedząc, że wkrótce trzeba będzie nadać jej numer. Miała przecież być ostatnią.

Na Warmii i Mazurach klęska Niemiec przywróciła nadzieję na rychłe zjednoczenie z macierzą. Ówczesny redaktor „Gazety Olsztyńskiej” Stanisław Nowakowski wspominał, że rozpoczęli przygotowania do tego wydarzenia i czekali tylko na sygnał z Warszawy. „Gazeta Olsztyńska” zaczęła publikować artykuły o historii i kulturze polskiej, świadczące o związkach Warmii z macierzą, równocześnie obalała zafalszowany obraz, który przynosiły gazety niemieckie. Obwieszczała, że chwila niepodległości jest bliska: „Zmartwychwstała Polska, zmartwychwstanie i Warmia”. Nowakowski pisał do Warszawy memoriały w sprawie przyłączenia etnicznie polskich obszarów Prus Wschodnich do Polski. Bez skutku. Polskie władze uznały go za człowieka niespełna rozumu.

Tymczasem nadeszła wieść o powstaniu w Wielkopolsce. Władze pruskie natychmiast wprowadziły stan wyjątkowy w obawie, by Warmiacy także nie chwycili za broń. Nie pozostawało nic innego, jak czekać na konferencję pokojową w Paryżu. Na niej delegacja polska na czele z Romanem Dmowskim domagała się Polski w granicach z 1772 r. Natomiast trzyosobowa delegacja z Mazur z Bogumiłem Linką chciała przyłączenia tej ziemi do Polski bez plebiscytu. Zaraz po powrocie z Paryża wszyscy trzej delegaci zostali oskarżeni o zdradę stanu i aresztowani.

Warszawa była daleko

Traktat wersalski został przez Polaków przyjęty bardzo źle. Polska

Anglicy opasali Dom Polski w Olsztynie zasiekami z drutu kolczastego i wystawili warty.

miała być o blisko połowę mniejsza niż przed rozbiorami i obejmować w większości ziemie dawnego zaboru austriackiego i rosyjskiego, z Działdowem oraz okolicznymi wsiami. Granice z Niemcami miały być określone w wyniku plebiscytów na Górnym Śląsku, Warmii i Mazurach oraz Powiślu.

Polacy nie mieli wątpliwości, że zwycięzcy wspierają pokonanych. Nie znali tylko przyczyny. Ta wydaje się jasna. W czasie wojny za główny cel przyjęto rozgromienie Niemiec i Austro-Węgier. Kiedy go osiągnięto, zrodził się nowy główny cel: ocalić dla Niemiec jak największe terytorium, żeby miały z czego spłacić kolosalną kontrybucję.

Polskie władze nie reagowały. Były zajęte tworzeniem rządu. O władzę kłócili się wszyscy ze wszystkimi: socjaliści, endecy, konserwatyści, ludowcy. Zawierane koalicje rozpadały się, tworzone więc nowe. Tymczasem Niemcy, nie czekając na ostateczną decyzję zwyciężskich mocarstw, już w początkach 1919 r. przystąpili do plebiscytowych przygotowań. Zaczęli od rozbudowy lokalnych straży bezpieczeństwa, straży obywatelskich, tajnej policji. Powstawały przeróżne formacje paramilitarne, jak głoszone, by bronić mieszkańców Prus przed zemstą Polaków. Potem do ataku ruszyły niemieckie gazety i masowo wydawane ulotki, plakaty, książki. W niewybredny sposób ośmieszały i wyszydzały one polskie cechy

narodowe, ostrzegaly przed polskimi gwałtami i polską gospodarką.

Transporty emigrantów

Dopiero wiosną do działań przystąpiły również polskie władze. Powstały dwa ośrodki mające kierować pracami plebiscytowymi: w Poznaniu i Warszawie. Było to błędem, bo zamiast jednoczyć siły, zaczęły ze sobą rywalizować. W maju powstał w Warszawie Mazurski Komitet Plebiscytowy, a dopiero w sierpniu – warmiński. Ten pierwszy przeniósł się do Olsztyna, do dawnego hotelu zakupionego przez Polaków, odtąd (do dziś) nazywanego Domem Polskim.

Do Olsztyna zaczęli przybywać rozmaici działacze. Jan Baczewski zapisał: „Zjechały się różne typy, wylakierowane z góry i dołu, chętne do wszystkiego, tylko nie do pracy”. Mimo to prace zaczęły nabierać rozmachu. Utworzono Mazurską Straż Bezpieczeństwa, mającą ochraniać polskich prelegentów, polskie wiece i zebrania. Składała się ona z członków „Sokoła”, jednak w porównaniu z niemieckimi organizacjami była niewielka. Na dodatek zaczęło brakować pieniędzy na działalność. Rząd polski wyasygnował na nią 30 mln marek, niemiecki – 300 mln. Umożliwiło im to wydanie najróżniejszych materiałów propagandowych w ilości ponad 13 mln egz., Polakom – 602 tys.





Na plebiscyt przyjeżdżali emigranci z różnych stron Niemiec. Nz. na ulicach Malborka.

Zaczęły się ujawniać niemieckie bojówki. W marcu 1920 r. bojówkarze rozbili wiec w Szczycinie. Dopadli tu znienawidzonego Bogumiła Linę, zwolnionego po czterech miesiącach aresztu. Drukowany w Szczycinie „Mazur” pisał: „I tego starego, bezbronno człowieka bito kijami, tak że się na nim kawałki łamały, drogami go bili, jeden rozbójnik z łopatą szedł na niego i mu żebro przebił, temu rozbitego staremu Mazurowi”. Dwa miesiące później, w wyniku odniesionych obrażeń Linka zmarł w Szpitalu Mariackim w Olsztynie.

W połowie 1919 r., by złagodzić sytuację, władze pruskie zaczęły stosować wypróbowaną zasadę kija i marchewki: w urzędach uznano język polski na równi z niemieckim, zezwolono na nauczanie w języku polskim religii w szkołach ludowych, mogli przyjechać i spotkać się z Polakami Stefan Żeromski i Jan Kasprowicz. Ten drugi złożył wizytę sędziemu poecie i działaczowi warmińskiemu Andrzejowi Samulowskiemu. W ogrodach koło zamku koncertował Feliks Nowowiejski, a miejscowy chór śpiewał jego utwór „O Warmio moja miła”.

W lutym 1920 r. wojsko niemieckie opuściło teren plebiscytowy. Jego miejsce zajęły oddziały angielskie. Po nich przybyła do Olsztyna Międzysojusznicza Komisja Plebiscytowa. Ludność odetchnęła, pojawiła się bowiem nadzieja, że ustaną antypolskie wystąpienia. Tak się nie stało, gdyż pozostał cały niemiecki aparat urzędniczy, także nauczyciele, kler katolicki i ewangelicki, odwołano natomiast wszystkich księży przybyłych z Polski. Pozostały bojówki, które nadal rozbiły polskie wiece. Udały się tylko te, które były ochraniające przez angielskie wojsko. Lecz i na to bojówkarze znaleźli sposób: uczestników wieców atakowano, gdy wracali do domów.

W maju 1920 r. miało miejsce jeszcze jedno wydarzenie, na ogół przez historyków uznawane za epizod. To prawda, ale epizod znaczący. Z inicjatywy Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie utworzono Harcerskie Biuro Informacyjne na Warmię i Mazury z siedzibą w Działdowie (przekształcone w Naczelną Komendę Organizacji Harcerskiej). Jej komendantem mianowano porucznika 55. Pułku Piechoty Adama Ciołkosza.

Henryk Leśniowski, ur. w 1937 r. w Żywcu, historyk, dziennikarz, harcmistrz, zastępca komendanta Operacji 1001 – Frombork, w latach 1971-1975 komendant Chorągwi Warmińsko-Mazurskiej, od 1976 r. w „Gazecie Olsztyńskiej”, po 1990 r. redaktor pisma zakładowego „Kormoran”, działacz Stowarzyszenia Dziennikarzy RP, autor książek na temat Grunwaldu, I wojny światowej i harcerstwa oraz monografii Aeroklubu Warmińsko-Mazurskiego „Olsztyńskie skrzydła”. Zmarł 4 maja 2019 r. w Olsztynie.

Działalność tę wspierało naczelnictwo ZHP, powołując Wydział Plebiscytowy. Niedawno powstały związek (1911 r.) już zapisał się w historii. Instruktorzy i starsi harcerze brali udział w bitwach Wielkiej Wojny. Teraz kolportowali ulotki i broszury, pełnili funkcje gońców, pomagali w organizowaniu wieców i zebrań. W taką działalność zaangażowanych było ok. 250 osób.

W miarę zbliżania się plebiscytu Niemcy nasilili akcje bojówek. 600-osobowy tłum Prusaków zaatakował siedzibę Mazurskiego Komitetu Plebiscytowego. Nie zdołali go zdobyć. Ponowili szturm następnej nocy. Bez rezultatu, gdyż z odsieczą pośpieszyli żołnierze angielscy. Aby nie dopuścić do kolejnych napaści, Anglicy opasali Dom Polski zasiekami z drutu kolczastego i wystawili warty. Zaraz też pojawiły się ulotki z informacją, że przyjeżdżający z Polski działacze są nosicielami zarazków cholery.

Podczas rokowań pokojowych w Paryżu polska delegacja nieopatrzenie zgodziła się na udział w głosowaniu wszystkich, którzy ukończyli 20. rok życia i urodzili się na terenie Prus Wschodnich. Teraz pociągi zwoziły emigrantów z różnych stron Niemiec. Mieli opłacone przejazdy i wyżywienie. Witano ich serdecznie. Przez miasta i miasteczka udekorowane niemieckimi flagami maszerowały orkiestry wygrywające „Deutschland über alles”. Tylko 20 czerwca bojówki rozbiły polskie wiece w pięciu miejscowościach (podobnie działo się na Śląsku). Wydaje się, że ostatecznie cios polskiej sprawie zadała niemiecka akcja propagandowa. Pojawiły się ulotki: „Bolszewicy pod Warszawą”.

Plebiscytowa zagrywka

Wreszcie nadszedł 11 lipca. Każdy głosujący otrzymywał dwie kartki. Na jednej był napis „Polska – Polen”, na drugiej winno być: „Niemcy”. Ale nie było. Zorientowano się, że Polakom może się to źle kojarzyć. Na drugiej kartce znalazł się napis: „Prusy Wschodnie – Ostpreussen”. I było to mistrzowskie pociągnięcie. Nie obeszły bowiem jeszcze tzy po stracie ojców, mężów, synów poległych właśnie za Prusy Wschodnie. ▶

► Natomiast Mazury, po dwóch latach wojny, bo tyle ona trwała na tym terenie, były całkowicie zniszczone. Ludność straciła wszystko. Lecz nie zapomniano o tej najbogatszej w żywność prowincji. Kiedy tylko wypchnięto stąd Rosjan, natychmiast przystąpiono do odbudowy miast, wsi, dróg, mostów. Choć coraz większymi pustkami świecił skarbiec Rzeszy, do Prus popłynęły fundusze na odbudowę. Na ogromną skalę rozwinęta została akcja patronacka sprawowana nad poszczególnymi miejscowościami i powiatami. Podejmowały ją nie tylko Niemcy. Między innymi mieszkańcy Wiednia wspierali odbudowę Szczytana. I dźwignęli tę prowincję z ruin. Natomiast teraz zaczęła obiegać ją pogłoska, że największych zniszczeń dokonali Polacy w mundurach rosyjskich. Należy tu dodać, że o wprowadzeniu takiej nazwy na kartki do głosowania zdecydowały nie władze niemieckie, lecz Międzynarodowa Komisja Plebiscytowa. Aby uratować tę prowincję dla Niemiec?

Dwa tygodnie przed plebiscytem Andrzej Samulowski zawiesił nad księgarnią biało-czerwoną chorągiew z orłem. A mieszkańcy Gietrzwałdu trzymali straż, by bojówkarze jej nie zniszczyli. 11 lipca Samulowski oraz cała jego rodzina wrzucili do urny kartki „Polska – Polen”. Wieczorem jego dom otoczyły bojówki niemieckie. Napastnicy krzyczeli: „Precz z Polakami! *Raus nach Warschau!*”. Od pobicia, a nawet śmierci, uratował sędziwego poetę i jego rodzinę oddział angielskich żołnierzy.

Ten dzień, mający być dla Warmii dniem niepodległości, stał się dniem klęski. Przy wysokiej frekwencji (88%) za Polską oddano 7980 głosów (2,2%), za Prusami Wschodnimi, a więc za Niemcami – 363 209 (97,8%).

Klęską zakończył się również w marcu następnego roku plebiscyt na Śląsku. Za przynależnością do Polski opowiedziało się 40% głosujących, a do Niemiec – 60%. W takiej sytuacji Anglicy, popierani przez Wło-

chów, chcieli cały ten obszar przekazać Niemcom. Znowu trzeba było chwycić za broń. III Powstanie Śląskie uratowało Śląsk dla Polski.

Te dwa powstania: wielkopolskie i śląskie okazały się zwycięskie, bo na tamtych ziemiach byli polscy żołnierze. Na Warmii i Mazurach ich nie było. Tutaj czekano na pomoc Polski. Gdyby przyszła, „Warmia bez plebiscytu należałaby do Polski” – napisał Nowakowski. Ale ona nie przyszła. Dopiero dzieci i wnukowie tamtych działaczy doczekali połączenia Warmii i Mazur z macierzą.

Henryk Leśniowski

Korzystałem z: Stanisław Achremczyk, *Historia Warmii i Mazur*, Olsztyn 1997; Andrzej Garlicki, *Pierwsze lata Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1989; Janusz Jasiński, Andrzej Samulowski, *O narodowe oblicze Warmii*, Olsztyn 1976; Halina Płocha, *Związek Harcerstwa Polskiego na Warmii i Mazurach i Powiślu w latach 1919-1939*, Warszawa 1999; Jerzy Sikorski, *Galopem przez stulecia*, Olsztyn 2003; Andrzej Stanisławski, *Ojców mowy, ojców wiary*, Warszawa 1989; *Dzieje Warmii i Mazur w wypisach*, Warszawa 1964

KSIAŻKA

Nowa rola centralnej władzy

Raport „Polska samorządów. Silna demokracja, skuteczne państwo” pod redakcją Dawida Sześciły, wydany przez Fundację Batorego, przedstawia całościową wizję rozwoju samorządu w ramach silnego państwa. Obowiązki wobec obywateli dotyczą nierów-

ności regionalnych i wyrównywania szans. Autorzy raportu oczekują, że władza centralna zamiast „ręcznego sterowania” działaniami samorządów skupi się na wyznaczaniu standardów i monitoringu. Raport zawiera 21 pomysłów usprawniających lokalną demokrację,

organizację usług publicznych, m.in. ochrony zdrowia, edukacji i mieszkalnictwa. A także obywatelskiej kontroli nad działalnością władz samorządowych oraz propozycje, jak sfinansować nowe zadania samorządu.

Polska samorządów
Silna demokracja, skuteczne państwo
www.batory.org.pl



LISTY

✉ Piłsudski nie był kabotyńcem

Uważam, że pisanie o „legendarnym kabotyństwie” marsz. Piłsudskiego (artykuł „Pałac buty, plac dominacji”, PRZEGLĄD nr 26) nie mieści się w wachlarzu pomówień, którymi marszałka obrzucano. Był „bandytą” (Bezpany), złodziejem (ukradł żółte buty ziemianinowi podczas postoju legionów na Kielecczyźnie w 1915 r.), szpiegował na rzecz bolszewików, zdradzał Polskę z Austro-Węgrami i Rzeszą Niemiecką, był komunistą i masonem, nieukiem i zdrajcą Polski itp. Przy tak poważnych zarzutach kabotyństwo brzmi łagodnie, ale niepoważnie. Kabotyń to marny aktor, człowiek lubiący tanie efekty, zgrywający się. Może nawet człowiek zakompleksiony. Zarzut kabotyństwa w stosunku do marszałka to popłuczyny jakiejś endeckiej propagandy. Nie wypada poważnemu, postępowemu piśmiu drukować takich ocen.

S. Gołębiowski



✉ Rzędzian z Podlasia

Do rozmowy z prof. Łukaszem Turskim (PRZEGLĄD nr 25) wkraśla się mała nieścisłość. Rzędzian, pacholek Skrzetuskiego z „Ogniem i mieczem” nie pochodził z Poznańskiego. Był rodowitym Podlasiakiem. Miejscowość, od której przyjął nazwisko, Rzędziany, leży w Łomżyńskim. Ten sam Rzędzian w „Potopie” pojawia się już jako starosta z Wąsoszy nieodległej od Rzędzian. Sienkiewicz często posługiwał się nazwiskami lub pseudonimami wywodzącymi się od miejsc pochodzenia jego bohaterów. Jadąc przez Białoruś, tuż przed Orszą miałem wieś Babinicze. Pewnie od niej Andrzej Kmicic, chorąży orszański, otrzymał pseudonim, co zresztą wyraźnie zaznacza autor „Trylogii”.

prof. Ryszard Turski, Lublin

Od redakcji: Przepraszamy za ten błąd.



Sherry Brandy



Ludwik Stomma

Pan prezydent Andrzej Duda oświadczył podczas wizyty w Stanach Zjednoczonych, że Polacy stawiali zbrojny opór komunistom jeszcze 20 lat po zakończeniu II wojny światowej, czyli do roku 1965, co spotkało się z nieodpowiedzialnymi kpinkami ulicy, zagranicy i łżeelit. Toteż trzeba sprawę jak najszybciej wyjaśnić, by położyć kres wszelkim nieporozumieniom. W 1965 r. prezydenta Dudy nie było jeszcze na świecie, nie może więc rzeczy firmować osobistym doświadczeniem (widziałem na własne oczy!). Ja przeciwnie – zbliżając się w 1965 r. do szesnastki, byłem już świadomym obywatelem i baczny obserwator rzeczywistości. Do tego, co zresztą zostało mi do dzisiaj, pasjonowałem się zbieraniem grzybów. Jest to okoliczność nader istotna, gdyż w pogoni za borowikami i kurkami często wybierałem się z kolegami w przepastne bory. Otóż partyzant (antykomunistyczny, rzecz jasna) był wtedy w polskich

znany dowódca z powstania warszawskiego. Czy w tej sytuacji nie warto było, za cenę nieznacznej mutacji gatunkowej, wyjść z zarośli pełnych kleszczy? Tym bardziej że Moczar, ongiś sam partyzant, swoim i wesołym był gościem. Jak zeznają najobiektywniejsi świadkowie: „miło spędzał czas w otoczeniu zwykłych ludzi, harcerzy, ale również pisarzy typu Jana Dobraczyńskiego, pływał łodzią motorową po zbiorniku w Sielpi, wspólnie z innymi konsumował »prosty żołnierski obiad«: grochówkę, kielbasę i chleb, oraz napoje, w tym te mocniejsze”. Albo: „nie był partyjnym ascetą. Wręcz odwrotnie. Prowadząc przez wiele lat otwarty dom, odwiedzając innych, uczestniczył w przyjęciach i spotkaniach. Wiele razy w sposób spontaniczny, np. po jakiejś oficjalnej uroczystości, zapraszał gości do domu. Wtedy były karty: brydż lub poker. Spożywano raczej proste potrawy, również alkohol. Jak było większe przyjęcie, wtedy tańczył”.

20 lat później

lasach ssakiem popularnym. Nie wszyscy to dostrzegali, gdyż na widok człowieka partyzanci kryli się natychmiast w niedostępnych chaszczach lub zapadali w błota, gdzie trudno było cokolwiek wypatrzeć. Nie przepędzaliśmy ich stamtąd w rozumnej trosce o równowagę ekosystemu. Przez niemal ćwierć wieku partyzanci zrosli się przecież ze środowiskiem i nagłe ich zaginięcie mogłoby spowodować w przyrodzie nieprzewidziane zakłócenia. Zresztą partyzanci byli gatunkiem prawie nieszkodliwym. Skarżyli się na nich czasami tylko okoliczni chłopci, którym „wchodzili w szkodę”, wysuszając zakonspirowane w puszczech bimbrownie, wymuszając deputaty i ryjąc kartofliska w poszukiwaniu gruli do zapiekania w popiele przy akompaniamencie rzewnych pieśni bojowych. Dodać przy tym należy, że ogniska rozpalali przeważnie w rezerwatach, gdzie wszelki odstrzał aż do czasów ministra Szyszki był zabroniony, czuli się więc bezpiecznie i mogli spokojnie marzyć o III wojnie światowej.

Wyginiecie partyzantów w lasach łączy się bezpośrednio z otoczeniem przez ministra Mieczysława Moczarą matczyną opieką organizacji pod tytułem Związek Bojowników o Wolność i Demokrację. Nic nieznaczająca przedtem partyjna przystawka stała się wówczas zrzeszeniem „wszelkich” kombatanatów. Kiedy ktoś żywił w tym względzie wątpliwości, tow. Moczar – co cytuje Krzysztof Lesiakowski – mawiał do brotliwie: „Ofuknijcie tego człowieka, przecież Polski Ludowej nie będą budować starzy KPP-owcy, lecz społeczeństwo takie, jakie jest”, to znaczy obejmujące byłych akowców, sympatyków Londynu, prześladowanych w czasach stalinizmu itd. Na takie *dictum* rosnać zaczęły szeregi kombatanatów. W 1965 r. wstąpiło do ZBoWiD 20 258 bohaterów, w 1966 – 27 825, w 1967 – 27 554, w 1968 – 32 420. We władzach związku znalazł się płk Jan Mazurkiewicz „Radosław”,

Morowy chłop! Żeby zaś nasi partyzanci lat 1956-1965 specjalnie się nie nudzili, sprokurował im też kolejnego wroga. Zamiast komunistów – syjonistów (po polsku: Żydów). Po wielkiej zmianie ustrojowej tradycje te chętnie się połączyły, bo też poniekąd nawiązywały do leśnego pierwowzoru. W ten sposób narodzili się Prawdziwi Polacy walczący dzisiaj z macą i czerwoną zarazą. Pan prezydent Andrzej Duda mógłby więc śmiało poinformować opinię publiczną, że nasi dzielni partyzanci, dochowując wierności ideałom, walczą i dzisiaj, niemal 75 lat po wojnie. Jeżeli tak skrócił im okres działalności, to przypuszczalnie w gospodarskiej trosce o rozwój amerykańskiej turystyki w ojczyźnie, gdyż przybysze zza oceanu, nieznający się na sentymentach partyzantów, mogliby się obawiać korzystania z dobrodziejstw naszych dziewiczych puszczy i szumiących borów. Toż nie od dzisiaj wiadomo: partyzant strzela, Pan Bóg kule nosi.

Jak widać, historia naszych „żołnierzy wyklętych” w wersji pana prezydenta i mojej odbiegają nieco od siebie. Jestem jednak święcie przekonany, że po skasowaniu IPN historycy, a szerzej rzecz ujmując, potomni wyżej ocenią moją opowieść. Jest w niej bowiem przynajmniej parę słów prawdy. Na przykład w Rzeczypospolitej zdarzają się rzeczywiście tereny zalesione. Można tam znaleźć borowiki i kurki. Jeden z przywódców powstania warszawskiego naprawdę był wysokim dygnitarzem moczarowskiego ZBoWiD. I tak dalej, i tak dalej. O opowieści Andrzeja Dudy nie można tego niestety powiedzieć.

PS Jeśli zaś nie stanie już komunistów i Żydów szczerzących zęby na ulicach, spiągających nasz siermiężny, uczciwy pot, to nic strasznego – Prawdziwi Polacy wymyślą nam nowych.

Takie układy

(1973)

TERESA TORAŃSKA: pojechałam do Ochotniczego Hufca Pracy ze sfalszowanym życiorysem

Pojechałam do Ochotniczego Hufca Pracy ze sfalszowanym życiorysem i nieprzyzwoicie wprost zaniżonym wiekiem. Miałam 23 lata i dwie klasy ogólniaka. Nierozszyfrowana pozostałam do końca.

Ochotniczy Hufiec Pracy mieści się w murowanym starym baraku, do którego droga urywa się w połowie i trzeba brnąć przez kawałek bagnistego pola. Jest porządnie ogrodzony nową siatką, pięknie w środku odmalowany i trochę ubogo prezentuje się tylko na początku.

Przyszłam do hufca rano. Dziewczęta były w pracy, bo był to tydzień, kiedy pracowały na pierwszą zmianę. Długi korytarz, ciemny, przy drzwiach biura komendy warczący pies.

– Leżeć, Dingo. Ty jesteś tą nową? Siadaj!

Komendantka jest młoda. Nie ma chyba 30 lat. Z zawodu jest psychologiem, specjalizowała się w problemach tzw. trudnej młodzieży, pracowała poprzednio w milicyjnej izbie dziecka i w zakładzie poprawczym. (...)

– Czego stoisz? Siadaj!

Przykucnęłam na skrawku krzesła, komendantka wyjęła kartkę papieru i zaczęła notować. Imię, nazwisko, data i miejsce urodzenia...

– 23? Ja w twoim wieku skończyłam studia, a ty? Na utrzymaniu matki. Nie wstyd ci!

– Nie – powiedziałam. Zawsze powiedziałabym nie, bo komendantka mówiła do mnie takim samym tonem, jak przed chwilą do psa „leżeć”. Ostro, upokarzająco.

– Dajemy wam opiekę, dach nad głową, możliwość pracy i nauki. W zamian żądamy bezwzględnego posłuszeństwa. Nie odpowiada ci, możesz zrezygnować. Na twoje miejsce czeka 3 tys. dziewczyn.

Hufiec zawiązano w lipcu. 3 tys. dziewcząt z różnych stron Polski prosiło o przyjęcie. Wybrano podobno te, które miały najbardziej skom-

plikowaną sytuację rodzinną, nie mogły podjąć pracy w miejscu zamieszkania, nie posiadały żadnego zawodu oraz były w odpowiednim wieku: ukończone 18 lat i nieprzekroczone 23. Z tych przyjętych w lipcu 60 dziewcząt do lutego została połowa. Kilkanaście przyjęto jesienią. Ja miałam być 47.

– Zostajesz?

Było mi gorąco. Siedziałam w kożuchu, szaliku, czapce, nie wiedząc, czy wypada prosić o pozwolenie zdjęcia.

– Podpiszesz mi oświadczenie, że zostaniesz w hufcu przez dwa lata.

Oświadczenia jednak ani mnie, ani żadnej z dziewcząt do podpisania nie dała.

Z korytarza rząd pokoi. Pokój komendantki, pokój wicekomendantki. Toaleta dla personelu czyściutka, starannie widać sprzątna przez sprzątaczkę, ubikacja z papierem toaletowym i zepsuta spłuczka do spuszczenia wody. Wystarczy wejść za deskę, włożyć drut do odpowiedniej dziurki... Płynąca ciurkiem woda w powiecie, w którym trwa walka o każde wiadro.

Łazienka dla dziewcząt brudna. Jeden klozet rozbity, ściany z oblaźłą farbą, rząd kranów z gorącą i zimną wodą, poobijane miednicę, stół mokry od mydlin. Papieru toaletowego nie ma, chociaż we wszystkich ubikacjach w fabryce jest go pod dostatkiem. Wieczorem w łazience cała podłoga będzie pokryta niedopałkami papierosów, bo łazienka jest jedynym miejscem, gdzie można palić. W świetlicy za to, w której obowiązuje zakaz palenia, stoją trzy hallowe popielniczki, duży telewizor, krzesła, stoliki, na ścianie wisi pięć dyplomów zdobytych przez dziewczęta w powiatowych igrzyskach, jedna gazetka ścienna ubogo reklamująca V Zjazd ZMS i plakat o zadaniach młodzieży. Nie ma ani jednej gazety, ani jednego czasopisma, ani jednej książki.



Po godzinie przyszła wicekomendantka do spraw polityczno-wychowawczych. Wice ma 23 lata, jest zaoczną studentką i ma za sobą trudne przejścia z hufcowymi dziewczętami. Mówiła do nich jeszcze w jesieni „ty obrzygana sieroto”, raz powiedziała do byłej komendantki: „te k... nie dały mi spodni”, i dziewczęta się zbuntowały. Poskarżyły w fabryce, zwołano zebranie i wice z pewnością poleciałaby z trzaskiem, gdyby nie...

– My dziewczynom pod spódnicę nie zaglądamy – powiedziała – ale nie zadawaj się z chłopakami z tego tutaj hotelu robotniczego. Chuligani. Chłopaka trzeba dobrze poznać, zanim pójdziesz z nim do łóżka. Ja też mam swego chłopca, więcej niż chłopca, prawie męża.

Dziewczętom o swoim „prawie mężu” powiedziała więcej. Że bardzo ją kocha, ma żonę i dziecko, ale dla niej się rozwiedzie. „Prawie męża” dziewczęta bardzo dobrze znają. Pracuje podobno w powiatowej komendzie OHP, często nocuje w pokoju wice, niektóre widziały go całującego się z wice w świetlicy, a niektóre mogły go zobaczyć w sli-pach na korytarzu.

Siedziałam na brzeжку krzesła, znowu w kożuchu, i było mi gorąco. Wice męczyła się okropnie, najpierw usiłując prawidłowo wkręcić papier z kalką do maszyny, a później odnaleźć właściwe litery.



Stołówka zakładowa w budynku Ochotniczego Hufca Pracy im. Leninowskiego Komsomołu, Dąbrowa Górnicza, 1979 r.

– Nie będę pani przeszkadzać – powiedziałam. – Pостоję na korytarzu.

– Siedź! – krzyknęła. – Muszę z tobą porozmawiać.

Mówiła wyłącznie ona. O dyscyplinie. Mówiła takim tonem, jakiego nigdy nie udało mi się gdziekolwiek usłyszeć. Bożena, późniejsza moja współmieszkanica, zapytała mnie:

– Teresa, czy nie wydaje ci się, że te komendantki mówią do nas tak, jakbyśmy były upośledzone na umyśle?

Dajemy wam opiekę, dach nad głową, możliwość pracy i nauki. W zamian żądamy posłuszeństwa. Nie odpowiada ci, możesz zrezygnować.

– Wychodzi się na przepustkę – mówiła – wpisując się do książki wyjść, nie pali się papierosów w pokoju i o wszystkich osobistych sprawach trzeba nam meldować. Żadnych plotek w pokojach nie tolerujemy.

Trzeci etat w komendzie, dla drugiej wicekomendantki, jest wolny. Podobno trudno znaleźć kogoś odpowiedniego.

Komendantka dała mi bloczek na obiad i zaprowadziła do pokoju 18. Mieszkały w nim Marylka, Janka, Alka i Bożena. Pokoik był bardzo czysty, przytulny i ładnie urządzone. Wszystkie zresztą pokoje są ładnie urządzone. Fabryka wyposażyła hufiec w nowe meble, kupiła maty na ściany, obrazy, firanki z zasłonami, radia, dała pościel. Telewizor w świetlicy,

lodówka i maszyna do szycia też są własnością fabryki. Na tym zresztą skończyła się jej opieka nad dziewczętami i hufcem.

W „osiemnastce” na ścianie wisiał ogromny kolorowy plakat z czterema Trubadurami, a Maryla Rodowicz dosłownie co kilkanaście minut śpiewała „Małgośkę”.

W pokoju były cztery łóżka, ale Janka zakrzyknęła, że ona i tak sypia zawsze z Alką i mogę spać na jej łóżku.

– Teresa ...mac – szepnęła mi Janka. – Co powiedziałaś komendantce o sobie? Pamiętaj, że jak coś jej nap..., będą o tym wiedziały wszystkie dziewczęta. Ona, najpierw wyciągnie, a potem poopowiada reszcie. Uważaj...

– Wice jeszcze gorsza – dodała Bożena. – Co jej powiesz, powtórzy przy dziewczczynach, na apelu.

Dziewczyny w hufcu mówią językiem rynsztokowym i jak by ktoś je z boku podsłuchał, miałby wrażenie, że zepsute do szpiku kości, rozkładające się, jakby ledwo przyszły z ulicy. Żle o nich mówią okoliczni mieszkańcy. Chyba właśnie na podstawie tych powierzchownych obserwacji i opinii, którą nie bardzo wiem, kto rozpowszechnił, jakoby w hufcu była tzw. trudna młodzież. To przekonanie wyraża także publicznie komendantka. Ale do mnie – junaczki, plotkując bezwstydnie o hufcowych dziewczętach, powiedziała nagle:

„nie dziewczyny są trudne, ale trudni są ich rodzice, i nie dziewczyny bym wzięła do hufca, ale ich rodziców”.

Tymczasem dziewczęta, które poznałam, były, wyjąwszy język, jakim się posługiwały, zupełnie zwyczajne. Tylko życiorysy niektórych były rzeczywiście powikłane.

Janka spała z Alką, a Bożena z Marylką. Jeszcze przed snem szeptały sobie coś do ucha, chichotały. Dziewczęta poznały się w hufcu i zaprzyjaźniły. Wszystkie mają po 18, 19, 20 lat, ale reagują jak 15-latk, dziecinnie, naiwnie, po pensjonarsku.

O hufcu dowiedziały się z gazet, przeważnie z „Zarzewia”. Napisały. Niektóre z ciekawości, z chęci przeżycia przygody, tylko niektóre z autentycznej, życiowej potrzeby.

Janka i Alka są z domu dziecka, z domu dziecka jest także Marysia spod „czwórki”, ale tylko Marysia jest pełną sierotą. (...)

Janka i Alka są półsierotami. Janka pochodzi z inteligentnej rodziny, zamożnej, ma matkę i ojczyma. Do domu dziecka trafiła, gdy miała sześć lat. Ukończyła szkołę podstawową i rozpoczęła naukę w liceum ogólnokształcącym. Mówi, że zdała nawet do trzeciej klasy. Przyjechała do hufca, bo postanowiła usamodzielnąć się. Jest inteligentną, mądrą dziewczyną, która zdążyła się już nauczyć walczyć o swoje. Dla Ali, małej, dziecinnej, młodszej zaledwie o pół roku, jest siostrą, matką, właściwie wszystkim.

Muszę kupić Ali materiał na spodnie – mówi. – Te kanapki dla Ali – nie rusz. Ala, przyniosłam ci czekoladę...

Ala jest dzieckiem nieposłusznym, nerwowym, potrzebującym opieki. Od ósmego roku życia wychowywała się w różnych domach dziecka. Ojciec nie żyje, a matka za zabójstwo swego brata jest w więzieniu już 11 lat. Alka pisała do niej listy. Od dwóch lat nie otrzymywała odpowiedzi.

Dzień zaczyna się dla dziewcząt o 5 rano i trwa do 11, 12 nocy. O piątej rozpoczyna się budzenie. Janka prosi o pięć minut. Tylko Marylka i Bożena wstają bez oporów. Marylka mówi, że punktualności nauczyła ją jeszcze matka w domu. Kiedy nie chciała wstać, matka wlewała jej do łóżka kubek zimnej wody. Marylka dojeżdżała do zasadniczej szkoły

rolniczej pociągami i nie mogła się spóźniać, bo pociąg nie czeka. Rolniczą szkołę skończyła. Zaczęła nawet uczyć się dalej, w korespondencyjnym technikum rolniczym, ale nie bardzo sobie radziła. Pracowała już wtedy w stacji badania roślin, z daleka od domu, i nie miał jej kto przypilnować. Teraz żałuje i po cichu rozmyśla, czy by nie rzucić tego hufca i niejechać do domu. Marylce się zdawało, że w hufcu będzie miała, oprócz swobody, całą masę rozrywek, dużo pieniędzy i bez troskie życie. Pokazuje mi pismo, jakie kiedyś przysłało jej do domu: „Junacy otrzymują w zakresie rozrywki kulturalnej: zajęcia w klubie fabrycznym w zespołach zainteresowań, kino, telewizję, wycieczki krajoznawcze, spektakle teatralne”.

► – I co? – pytam.
– Gówno – mówi. – W kinie byłem dwa razy, w teatrze ani razu, na wybiegach żadnej, a w klubie NOT pijacy chłapią wodę.

– Przyjedzie mamusia – rozrzewnia się Marylka – i mnie zabierze. Napisała już, że przyjedzie. Może w niedzielę.

Praca w fabryce zaczyna się o 6.20. Wcześniej jeszcze trzeba zjeść śniadanie w zakładowej stołówce, nie całe oczywiście, tylko jedną bułkę z pasztetową, twarożkiem lub jajkiem. Drugą bułkę zabiera się na przerwę śniadaniową, która jest o dziesiątej. Dziewczeta pracują na akord. Wykonują przeróżne czynności lepiej lub gorzej płatne, dlatego zarabiają rozmaicie.

W dzień wypłaty wpadają zdenerwowane do pokoju. Janka klnie najgłośniej. Dostała, po potrąceniu za wyżywienie, niewiele ponad 400 zł. Alka nie dostała nic. Podeszła do obrachunkowej, ta spojrzała w listę i powiedziała: „a pani się nic nie należy”. Następnego dnia dopiero Janka dowiedziała się, że Alka, która chorowała dwa tygodnie, nie dostarczyła do kadr zwolnienia lekarskiego. Po prostu nie знаła zarządzenia Prezesa Rady Ministrów.

Bożena zarobiła najwięcej z wszystkich w naszym pokoju, po potrąceniu za jedzenie prawie 1300 zł. Zastanawia się, co sobie kupić i ile wystać bratu na urodziny: 200 czy 300 zł.

Kupię sobie bluzkę – cieszy się.

Bożena przyjechała do hufca spod Warszawy. Ma matkę i ojczyma. Brat jest jej bratem przyrodnim. Jak wyjeżdżała, ojczym podobno płakał, nie chciał, żeby opuszczała dom. Pokazuje zdjęcie matki. Matka jest młoda, elegancka. Była dobra, ale Bożenę denerwowało ciągłe pilnowanie. Bożena chce być samodzielna. Ma skończoną szkołę podstawową i pierwszą klasę zasadniczej szkoły rolniczej.

– A wy co tu jeszcze robicie – krzyczy na nas komendantka. – Do szkoły! I to już!

Jest bardzo późno i spóźniamy się na pierwszą lekcję. Zajęcia w szkole zaczynają się o pół do czwartej, kiedy dziewczęta pracują na pierwszą zmianę, i 8.30, kiedy chodzą do pracy na pół do trzeciej. Szkoła jest niedaleko. (...)

W szkole na lekcjach dziewczęta siedzą bezmyślnie, niektóre zasypiają w ławkach.

– Masz podany odcinek AB – mówi matematyczka. – Przenieś go na prostą.

Grażyna nie rozumie.

– Zaznacz na prostej punkt A – mówi matematyczka. – Dobrze. Co dalej?

Grażyna nie rozumie. Cała klasa usiłuje podpowiedzieć. Grażyna ścisła nerwowo cyrkiel, nie wie, co z nim zrobić...

Na klasówce z fizyki trzeba było odpowiedzieć na 10 pytań. Za cztery prawidłowe odpowiedzi nauczycielka stawiała trójkę. Pozytywnych ocen na 38 uczennic było siedem.

Z klasówki z języka polskiego było dziesięć dwój.

Do szkoły chodzą wszystkie dziewczęta, które ukończyły podstawówkę, a więc i te, które już mają za sobą szkołę zawodową, a takich jest wiele. Cały hufiec uczęszcza do tej samej klasy.

Do szkoły nie muszą chodzić tylko Marysia i Alka, dzięki temu, że obie nie ukończyły jeszcze szkoły podstawowej i chociaż minęło już wiele miesięcy, nikt nie zatroszczył się o zorganizowanie im nauki.

OHP mieści się w murowanym starym baraku, do którego trzeba brnąć przez kawałek bagnistego pola.

Komendantka bardzo lubi oglądać telewizję. Nawet film przedpołudniowy. Stawia sobie na stoliku szklankę herbaty, przysuwa popielniczkę i może tak godzinami. Pali papierosy i patrzy w ekran. Telewizor wyłącza tylko wtedy, kiedy leci dziennik albo programy publicystyczne. Dziewczęta rzadko oglądają telewizję. Są zmęczone albo je filmy telewizyjne nie interesują. Te, które przychodzą do świetlicy wieczorem, zerkają na komendantkę, w jakim humorze. Od tego zależy, czy będzie można zapalić papierosa.

– Popatrz na nią – szepcze Marylka. – Pozwoli?

– Po to stoją popielniczki – mówię głośno.

Komendantka nie słyszy. Potem mi powie, że stosuje taką metodę wychowawczą: nie słyszeć, co nie na miejscu i obraźliwe.

Janka i Alka nie oglądają telewizji. Janka kupiła przy wypłacie „Na Przetrwanie” i przegląda gazetę. Każda wchodząca do pokoju dziewczyna przegląda gazetę. Bierze do ręki, ogląda

obrazki, przeczyta kilka zdań, odkłada. Gazeta jest czymś tak niecodziennym w hufcu, że wzbudza zainteresowanie.

Alki nie ma, pobiegła na pocztę po list. „Kochana córeczko...” Alka się cieszy, hałaśliwie, szczeniacko. Przewraca się na łóżku, wierzga nogami, śmieje się głośno.

– Czytaj! – krzyczy do Janki. – Wyjdzie 14 lutego 1975 r.

– Za dwa lata – mówi Janka i zaczyna płakać. Janka nie otrzymuje listów od rodziców. Podobno nie wiedzą, gdzie jest, ale chyba to nieprawda. Janka się oszukuje, opowiadając, że nie chce ich widzieć.

Tego popołudnia Alka się spiła. Poszła do NOT-u z jakąś drugą. We dwie kupiły żytniówki i Alka, zataczając się, wróciła do pokoju. Janki nie było. Wpadła potem do pokoju z krzykiem.

– Ja ją... – krzyczała o kompanie Alki – op... Tak „Małą” spić!

Lekcji w szkole nie ma w środy, soboty i niedziele.

Są to popołudnia, w których mogą spotykać się z chłopakami. Chłopcy są przeważnie z dwóch hufców z niedalekich fabryk. Przyjeżdżają,

zostawiają u dyżurnej dowód osobisty i mogą posiedzieć z dziewczyną w świetlicy albo kiedy dostanie przepustkę, pójść z nią na spacer. Znajomości z chłopakami są przelotne, trwają po dwa, trzy miesiące.

W moim pokoju dziewczęta nie mają chłopców. Bożena miała jeszcze do niedawna, najpierw Jurka, którego bardzo żałuje, ostatnio Władka. Z Władkiem spotykała się przez dwa miesiące, ale teraz Władek już nie przyjeżdża, nie dzwoni i nie pisze listów. (...)

– Ty wiesz – cieszy się Bożena – na szczęście nie pocałowałam się z nim ani razu. Nie będzie myślał przynajmniej że ja – taka.

Bożena nie jest „taka”. Marylka też nie. „Takie” też nie są inne dziewczyny. W ogóle mało jest „takich” dziewczyn w hufcu.

Przedostatniego dnia mojego pobytu obiad, jak mówią dziewczęta, był „dla psa” (bo obiad jedzą dziewczęta i pies komendantek, a nie jedzą komendantki). Komendantka była w złym humorze. Wpadła do nas do



Młodzież OHP, Siedlce, 1974 r.

pokoju, krzyknęła, że w pokojach nie wolno palić, ręce nam posprawdzała, czy nie trzymamy papierosów, chociaż wystarczyło popatrzeć na pełne petów trzy popielniczki. Papierosów oczywiście nie miałyśmy, zdążyłyśmy wyrzucić za łóżko, zagroziła, że jeszcze przyłapie nas na gorącym uczynku, trzasnęła drzwiami, ale Bożenie na chwilę wcześniej udało się pisać: pa, kochanie.

Wyskoczyłam z łóżka i poleciałam za nią.

– Poproszę o regulamin – powiedziałam.

– Po co ci regulamin?

– Chcę przeczytać.

– Co chcesz przeczytać?

– Co mi wolno, a czego nie wolno.

– Nie wolno palić papierosów w pokoju i mówić jak Bożena: „pa, kochanie”.

– Ja chcę to wszystko przeczytać – nie ustępowałam.

– Regulaminu nie ma – powiedziała komendantka.

Po kilkunastu minutach przez jedną z dziewcząt poprosiła mnie na rozmowę. Była miła, dobra i rozmawiała ze mną, jakbym miała maturę.

– Nie ma regulaminu. Jeszcze nie opracowano – wyjaśniła. I potem zaczęła mówić o dziewczętach. Ja zadawałam pytania, a ona mnie – junaczce opowiadała ich życiorysy. Dowiedziałam się, że dyrektor fabryki jest człowiekiem nieodpowiedzialnym, dyrektor szkoły posiada wszystkie cechy zarozumiałego mężczyzny, a była komendantka – głupia, lekkomyślna

– bierze jeszcze pieniądze za pracę, której od stycznia nie wykonuje, bo... takie układy.

Zebrało się w pokoju komendantki kilka dziewcząt, przysłuchiwało rozmowie. Komendantka opowiadała swój życiorys. Najpierw o swoim mężu, że mądry, przystojny i wszystkie dziewczyny z hufca się w nim kochają.

Potem o swoim egzaminie wstępnym na psychologię. Dostała się bez żadnej łapówki, chociaż wszyscy dostają się za łapówki. Dalej o swoim uczestnictwie jako przedstawicielki ZSP w komisjach egzaminacyjnych, kiedy dawano łapówki. Bez łapówki – mówiła – nie można się dostać nie tylko na wyższą uczelnię, do szkoły średniej także. Dziewczęta słuchały z zainteresowaniem. Inny świat, niedostępny, w którym decydują pieniądze, protekcje i dobre urodzenie. One, dziewczęta z hufca, mogą tylko słuchać, podziwiać, zazdrościć. Nie dla nich.

– Nieprawda – powiedziałam spokojnie, chociaż chciałam krzyczeć. – Wszystko jest dla nas: szkoły, fabryki, dobre życie.

Komendantka się roześmiała.

– Dziecko jesteś.

– Pani komendantko – zaczęłam. – Bardzo panią proszę o pomoc. Mam dwie klasy ogólniaka, chcę zdać jak najszybciej maturę, a potem pomyślę. Jestem jeszcze młoda.

Komendantka zmieniła ton.

– Nie za dużo ci się zachciewa?!

Byłam tylko junaczką, nie miałam pieniędzy i zachciało mi się za dużo.

Następnego dnia z rana moja mama przysłała mi telegram, że leży w szpitalu i muszę natychmiast przyjeżdżać. Dziewcząt nie było. Zostawiłam im na stole zapisaną kartkę. Napisałam nie to, co chciałam napisać, bo powinnam: kochane dziewczęta, wybaczenie, że nie byłam prawdziwą junaczką, że przyjechałam do was podsłuchiwać wasze rozmowy, wyciągać was na zwierzenia. Nie byłam prawdziwą junaczką, ale jestem taka sama jak wy i jeżeli udało mi się skończyć wiele szkół, to dlatego, że spotkałam ludzi, którzy wyrobili we mnie nawyk czytania gazet, nawyk słuchania dzienników i nawyk czytania książek. Tego żądam i dla was, bo wtedy nawet zadania z matematyki wydają się dziecinnie proste. Hufiec, dziewczęta, może być naprawdę pięknym domem.

Już po moim wyjeździe przeprowadzono w hufcu ankietę. 29 dziewczętom zadano po 32 pytania. Ankieta była anonimowa. Na pytanie o warunki bytowe w hufcu 10 dziewcząt odpowiedziało, że uważa je za bardzo dobre lub dobre, 19 zaś – za złe i przeciętne. Na pytanie „Jak odnoszą się do was komendantki?” 12 odrzekło, że bardzo dobrze, a 16, że „nie wszystkie junaczki traktują jednako” i „za mało się nami interesują”. W kinie nie było ani razu 13 dziewcząt, a po jednym razie sześć.

Pytania dotyczyły również stosunków w fabryce.

Prawie wszystkie dziewczęta oceniły swój zarobek jako przeciętny i niski, a o odnoszeniu się pracowników fabryki do dziewcząt z hufca 15 napisało, że jest zły i poniżej krytyki, a 13, że dobry i bardzo dobry. Chęć pozostania w fabryce po ukończeniu szkoły wyraziło tylko osiem dziewcząt.

Na pytanie „Co byś zmieniła w Hufcu?” niektóre dziewczęta napisały: „Komendę”. Tylko osiem spośród 29 ankietowanych wyraziło chęć wystąpienia z hufca.

Reportaż z książki
Teresy Torąńskiej
*Takie układy. Reportaże
z lat 1970-1983,*
wybór Remigiusz Grzela,
wstęp Małgorzata Szejnert,
Wielka Litera 2019



Albo mnie kochają, albo nienawidzą

Uprawiam połodozmian w każdej dziedzinie życia



ALEKSANDRA HAMKAŁO

– aktorka

Miszmasz czyli Kogel Mogel 3

Rozmawia Mateusz Demski

Może pogadamy o tym, co leci w kinie, zamiast o twojej karierze? Mówi się, że jesteś totalnym filmowym nerdem.

– Nie będę protestowała, nigdy z tym się nie kryłam. Wprost przeciwnie: zawsze podkreślałam, że od dziecka była to ważna część mojego życia. Gdybym nie została aktorką, kochałabym kino taką samą miłością. Tyle że początki mojej kinofilii omówiłam wyczerpująco już w kilku źródłach, więc nie chciałam się powtarzać. Łatwo można znaleźć informacje o tym, że przełomowy był dla mnie „Lot nad kukułczym gniazdem”, że prowadziłam kulinarno-filmowego bloga, który niestety przegrał z liczbą godzin w ciągu doby. Że jestem żoną filmoznawcy, z którym poznałam się przy okazji festiwalu Nowe Horyzonty. **Czyli podziatała na was siła przyciągania tego miejsca. I kina, rzecz jasna.**

– Czasem mam wrażenie, że nasze małżeństwo jest oparte właśnie na tym. To oczywiście żart, ale faktycznie

kino to wspólna pasja i platforma naszego porozumienia. Co ważne, Filip nie występuje z pozycji profesora, ale jest partnerem do dyskusji. Razem pogłęwiamy więc swoją wiedzę, namiętnie oglądamy i śledzimy to, co się dzieje. Wspólnie obcujemy ze sztuką, karmimy nasze geekowskie potrzeby.

Mam wrażenie, że nie bez powodu spotykamy się w ramach Koszalińskiego Festiwalu Debiutów Filmowych „Młodzi i Film”. Nie promujesz tu w tym roku żadnego filmu, przyjechałaś prywatnie, by podejrzeć polskich debutantów.

– Ten festiwal jest ryzykowny dla widza. Trzeba być przygotowanym na to, że zobaczy się wiele nieoszlifowanych diamentów. Niektóre mogą wręcz okazać się fałszywkami, w których obróbkę być może nie warto później inwestować. Oglądanie debutów wymaga więc od widza pewnego samozaparcia, ale mnie jakoś nigdy to nie zniechęciło. Wprost przeciwnie: sporo czasu poświęciłam na wtopy i dzieła niekoniecznie spełnione. Wolę, kiedy reżyser przeszarżuje, potknie się i porządnie potłucze, niż kiedy jego kino okazuje się średnie

i zachowawcze. Wtedy przynajmniej dostaję od niego informacje o punkcie zapalnym. O tym, co chciał mi zakomunikować.

A na co dzień, co oglądasz?

– W swoim oglądaniu staram się odchodzić od amerykocentryzmu. Jeśli miałabym określić jakieś *modus operandi*, jest to otwarcie na różne rejony świata. To zabrzmi superbałnie, ale dla mnie kino jest często podróżą. I jak każda podróż jest próbą wystawienia się na konfrontację z inną kulturą czy wrażliwością spoza naszej szerokości geograficznej. Dlatego szukam w różnych miejscach, zakamarkach, przez co miewam naprawdę biegunowe fazy. Są dni, kiedy jestem w stanie oglądać tylko austriackie kino klasy B. Inne poświęcam na klasykę – i tu akurat Ameryka bywa interesującym przystankiem – np. Cassavetesa mam dobrze odrobionego. Jedyne, czego naprawdę staram się unikać, to panującej manii na seriale. Zdarza mi się w coś mocno wkręcić, ale poprzedzone to jest intensywnym reaserchem. Staram się nie uczestniczyć na imprezach w rozmowach o tym, że „Czarnobyl” jest

dla wszystkich zajebisty, bo często są to dosyć wtórne konwersacje. Ale to tyle z ograniczeń. Poza tym uprawiam nieustanny filmowy płodozmian.

Kiedy cię słucham, zastanawiam się, dlaczego nie poszłaś na filmoznawstwo.

– Myślałam o tym. Byłam przez rok na kulturoznawstwie, ale mój temperament mi na to po prostu nie pozwolił. Bardzo źle się czułam na studiach, gdzie trzeba nieustannie notować w zeszytiku i analizować kolejne pozycje. Intelktualny głód i kinofilskie fascynacje to jedno, ale kluczem do filmów zawsze były dla mnie emocje. Ścieżka aktorska wydała mi się zdecydowanie bardziej ekscytująca niż teoria, która idzie innym torem.

W akademii teatralnej we Wrocławiu szybko się odnalazłaś?

– Czyli przechodzimy jednak do aktorstwa?

Trudno, nie mamy wyjścia.

– Na aktorstwie też nie czułam się za dobrze. Szkoła teatralna była miejscem nieustannej weryfikacji, wszystkim nam się wydawało wtedy, że najważniejsze są oceny i poklask profesorów. Teraz wiem, że nie miało to żadnego znaczenia w kontekście przyszłego życia zawodowego. Myślę, że szkołę powinno się traktować jako obóz doświadczalny – miejsce, w którym dowiadujemy się czegoś o sobie, w którym można bezkarnie popełniać błędy. Teraz, kiedy wiem to, co wiem, i przepracowałam w branży tyle, ile przepracowałam, chciałabym móc tam wrócić i w pełni z tego skorzystać. Wyzbyć się tego nieustannego strachu przed oceną i móc świadomie określić, która droga jest dla mnie najkorzystniejsza.

Ale weryfikacja na etapie szkoły to jedno. Chyba jeszcze przed ukończeniem studiów przytrafiła ci się rola w filmie „Big Love” Barbary Białowas. Wielu krytyków miało problem z tym tytułem, pojawiły się ostre komentarze. Jak radziłaś sobie z taką oceną?

– Często o tym mówię, więc podobnie jak w przypadku pierwszych fascynacji kinem czuję się trochę wyprana z odpowiedzi. Ale powtórzę: w momencie, kiedy wystąpiłam w „Big Love”, dostałam wszystko w komplecie. Była to popularność, trampolina do sukcesu, ale także świadomość, że przestałam być anonimowa i jeszcze mogę równo oberwać po dupie. Wtedy może nikt mnie jakoś ostro nie zjechał, inaczej to jednak wyglądało przy filmie „Gotowi na wszystko. Exterminator”. Powstały dwa obozy, nikogo pośrodku. Tym samym albo pojawiały się teksty: „w ogóle jej nie trawię”, „nie mogę na nią patrzeć”, „jest nadekspresyjna i strasznie mnie to irytuje”, albo pochwalne peany. Pogodziłam się, że tak już jest – albo mnie kochają, albo nienawidzą. Najważniejsze jednak, że mam pracę i od lat tworzę. Żadna ocena mi tego nie zabierze.

Mam pracę i od lat tworzę. Żadna ocena mi tego nie zabierze.

I nie kłują cię w oczy i uszy komentarze w sieci, że – cytując: „taka z ciebie mało uzdolniona, wystylizowana celebrytka”? Zawsze myślałam, że podobne łaski mogą zabołec.

– Nie traktuję tego jako łatek. Celebryta to po prostu ktoś znany. W Ameryce *celebrity*, oznacza osobę, której robi się zdjęcia na czerwonym dywanie. W Polsce to słowo nabrało dziwnie pejoratywnego wydźwięku i jest rzucane w nas niczym kamień. Dla mnie to o tyle niezrozumiałe, że ludzie zarabiają pieniądze na różne sposoby. Dopóki nie kradniemy, mamy do tego pełne prawo. Jasne, ceny są niesprzedajni i „ambitni” aktorzy, którzy pozostają w strefie medialnej ciszy, bo jest to dziś zjawisko wręcz unikatowe, ale nie ma niczego złego w pokazywaniu się na ścianie, kiedy promuję swój nowy film. Tak jak wspominałam, przyzwyczaiłam się do ocen. Taka jest ludzka mentalność

i ja tego nie zmienię. A nad hejtem pochylałam się tylko wtedy, kiedy ktoś mnie o to pyta w wywiadzie.

Aktorów nie lubi się za wiele rzeczy. Zazdrości się sukcesu, ale denerwuje też szczerość niektórych z was. Poza tym, krytykuje się was, kiedy próbujecie łączyć aktorstwo z innymi dziedzinami. U ciebie to norma – wystarczy przywołać Bakalie, wrocławskie targi mody, designu i młodej sztuki, które współorganizujesz od dwóch lat.

– To było antidotum na wczesne macierzyństwo. Kiedy zaszłam w ciążę, moje losy splottły się z Marianną Grzywaczewską, która również spodziewała się dziecka. Jako że w tym samym czasie zaczęłyśmy bujać się z wózkami, a naprawdę ciężko było nam wysiedzieć na dupach, to dwa miesiące później wymyśliłyśmy wrocławską edycję Bakalii. I to było naprawdę oczyszczające. Bo tak samo

jak dywersyfikuję sobie gatunki filmowe, tak samo dywersyfikuję sobie poruszanie się w poszczególnych środowiskach. Można pewnie pomyśleć, że branża filmowa jest jak miód, w którym chciałoby się taplać codziennie, od samego rana. Nic bardziej mylnego. Nie jestem bankietową wilczycą, raczej poruszam się po obrzeżach, a na branżowych przyjęciach mam bardzo gęste sito. Poza tym lubię być z różnymi ludźmi, w różnych miejscach. Powtarzam – uprawiam płodozmian w każdej dziedzinie życia.

Trudno wręcz uwierzyć, że jesteś w stanie łączyć to wszystko: aktorstwo, kinofilie, takie akcje jak Bakalie i macierzyństwo.

– Bo jestem osobą, która nie może znieść próżni. Nie mówię, że się na nią nie natykam, bo zdarzało mi się konfrontować z nią po wielokroć. Wiem, czym jest pustka w życiu, która prowadzi do stanów depresyjnych, lęków i takich rzeczy, dlatego staram się prewencyjnie jej sobie nie fundować. Jak tak rozmawiamy, to przychodzi mi na myśl śmieszne porównanie: moja mama ma samojedą, który biega w zaprzęgach. Ten pies ma to do siebie, że zawsze musi biec w pierwszym szeregu. Nie wyróżnia się jakoś szczególnie w codziennym życiu, ale po prostu lubi zap... I ja też lubię. ■

Aleksandra Hamkało – absolwentka Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie Filia we Wrocławiu. W 2012 r. roku zdobyła nagrodę za najlepszy debiut na Festiwalu Debiutów Filmowych „Młodzi i Film” w Koszalinie – za pierwszoplanową rolę w filmie „Big Love”. Znana m.in. z filmów „Sala samobójców”, „Ziarno prawdy”, „Disco polo”, „Gotowi na wszystko. Exterminator”, a także z seriali. Występuje w Teatrze 6. Piętro w Warszawie. Współorganizatorka wrocławskich targów mody, designu i młodej sztuki Bakalie.

KURTYNA W GÓRĘ

MIĘDZY OKŁADKAMI



O WOJNIE BEZ ZMIAN

Na Scenie Debiutów Teatru WARSawy ambitna adaptacja powieści Ericha Marii Remarque'a „Na Zachodzie bez zmian”. Powieść ongiś sławna, dziś prawie nieczytana, ożywa na scenie, choć reżyserka Karolina Kirsz daleka jest od respektowania realistycznego szczegółu. Ta opowieść o wojnie pozycyjnej, atakach gazowych i śmiertelnościami zwarciu może być zlokalizowana wszędzie, pod każdą szerokością geograficzną – spektakl akcentuje jej uniwersalność. Najważniejsze, że adaptacja zachowuje pacyfistyczne przesłanie powieści – w wojnie nie ma nic romantycznego, są krew, ludzkie mięso i bezbrzeżne cierpienie. Młodzi aktorzy nie szczędzą wysiłku, aby uwydatnić tę prozę zabijania i walki o przetrwanie.

Zabiegiem nie tylko formalnym, ale przede wszystkim dramaturgicznym, jest włączenie do scenariusza scen ilustrujących przygotowania do jakiejś patriotycznej zabawy rekonstrukcyjnej. Kirsz obnaża niezbyt wzniosłe intencje takich działań i ich edukacyjną mialkość. Konfrontacja gier rekonstrukcyjnych z prawdziwym polem walki wypada dla tych gier nader negatywnie. W przedstawieniu pobrzmięwa niemal morał jak z bajki Krasickiego: „Chłopcy, przestańcie, bo się źle bawicie! / Dla was to jest igraszka, nam idzie o życie”.

Tomasz Miłkowski

„Na Zachodzie bez zmian” wg Ericha Marii Remarque'a, scenariusz i reżyseria Karolina Kirsz, Teatr WARSawy, premiera 27 czerwca

ZAJRZYJ TU



DOKTOR CALIGARI I WOLUMETRYCZNY CEZAR

Ciekawe wydarzenie na dziedzińcu Teatru Nowego. W kontenerach znajduje się mała sala kinowa, gdzie można oglądać słynny film niemy z 1920 r. „Gabinet doktora Caligari”, arcydzieło

ekspresjonizmu. Obok multimedialne urządzenie (okulary ze słuchawkami) pozwala wejść do tego upiornego świata i stać się niemal jednym z uczestników dawnego filmu, ale adaptowanego współcześnie z udziałem polskich aktorów. Arkadiusz Jakubik gra Doktora Caligari, Jakub Gierszał zaś somnambulika i mordercę Cezara. „Sen Cezara” umożliwia wkroczenie w trójwymiarową przestrzeń filmu, swobodne podążanie za fabułą. Mobilna instalacja filmowa zatytułowana „Gabinet” została przygotowana przez Goethe-Institut z okazji jubileuszu Republiki Weimarskiej i 100-lecia filmu „Gabinet doktora Caligari”. Wstęp wolny. Pokazy w Warszawie do 14 lipca. Instalacja będzie też podróżować po Polsce.

Franciszek Jacik

Emma Viskic
ZATOKA MILCZENIA

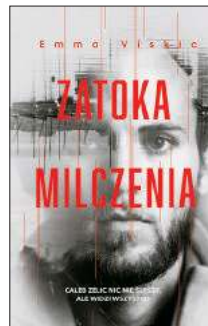
tłum. Jan Kabat

Muza, Warszawa 2019

Zamordowany przyjaciel, świadomość, że zareagowało się za późno – to dopiero początek koszmaru. Caleb Zelic ze współpracowniczką, byłą policjantką, prowadzą prywatne śledztwa na zlecenie firm. Wydawało się, że jeśli kumpel gliniarz trochę powęszy, uda im się wreszcie rozwiązać dziwnie skomplikowaną sprawę włamań do magazynów. Ktoś jednak zabił Gary'ego. To była sadystyczna egzekucja. Komu jeszcze grozi niebezpieczeństwo? Skąd tajemniczy Scott wie, gdzie zaatakować? Najgorsze pytanie: kto jest zdrajcą?

Debiutancki thriller Australijki Emmy Viskic ma dobre tempo i niesztampowego bohatera. Wchodząc w świat Caleba, uświadamiamy sobie, z czym codziennie muszą się mierzyć osoby niesłyszące. Choćby to, że w imigranckim kraju, gdzie przybysze przywożą ojczysty akcent, nie jest łatwo czytać z ruchu warg.

Aleksandra Pańko



ZASŁUCHAJ SIĘ

Polski Chór Kameralny
POLSKA MUZYKA CHÓRALNA
DUX

Nowa płyta Polskiego Chóru Kameralnego pod dyktando Jana Łukaszeńskiego to przykład ambitnej sztuki wokalne w stu procentach polskiej. Zarówno znakomici wykonawcy, jak i autorzy utworów są ozdobą i filarami naszej kultury muzycznej. Nazwiska Krzysztofa Pendereckiego, Wojciecha Kilara, Edwarda Pałlasza, Andrzeja Koszewskiego, Juliusza Łuciuka i innych już od dawna święcą triumfy na estradach wielu krajów. Tym razem mamy jednak propozycję szczególną. Słuchamy wyłącznie współczesnych kompozycji chóralnych (w jednym utworze odzywiają się też organy) nawiązujących do kultury sakralnej. Dwa utwory oparte są na tekście Apokalipsy. Muzyka zachęca do delektowania się pięknymi współbrzmieniami ludzkich, perfekcyjnie zestrojonych głosów, i to sprawia prawdziwą estetyczną radość. Zero agresji i hałasu, czysta rozkosz i finezja.

Bronisław Tumilowicz



NA EKRANACH

JA TERAZ KŁAMIĘ

reż. Paweł Borowski, prod. Polska 2019, już w kinach

To przede wszystkim popis scenografów, kostiumologów i scenarzystów, którzy stworzyli film iście designerski. Ludzie wyglądają w nim jak żywe eksponaty, a wnętrza – domów, hoteli, samochodów – jak przestrzenie galeryjne. Wszystko jest sztuczne, przerysowane, wyolbrzymione. Ale to nie dystopia ani ostrzeżenie przed kierunkiem, w którym zmierzamy. To metafora tego, gdzie już się znaleźliśmy. Paweł Borowski, absolwent ASP,



malarz i animator, diagnozuje pęd współczesnych do zakłamywania własnych wizerunków. Świat przedstawiony wygląda tak, jakby ktoś nałożył na niego filtr Photoshopa, a relacje międzyludzkie są podszyte nie emocjami, tylko interesem. Cóż, o tym, że piękniejsi mają łatwiej, a media społecznościowe kłamią, wiemy i bez oglądania „Ja teraz kłamię”. Ale to nie dla przestania warto kupić bilet do kina, lecz dla wysmakowanych kadrów. Na tle wizualnej nijakości polskich filmów to, co wycynia tutaj z kamerą Arkadiusz Tomiak, który bawi się perspektywą tak sprytnie, że nie jeden raz udaje mu się wystrychnąć widza na dudka, zaśluguje na Oscara w kategorii zdjęcia.

Artur Zaborski

Dokumentalne kino letnie MILLENNIUM DOCS AGAINST GRAVITY

Na jednym z placów warszawskiej Elektrowni Powiśle przy ul. Zajęczy 2b rozpoczął się wyjątkowy cykl kina letniego. Na miłośników seansów pod gołym niebem czekają filmy dokumentalne, które miały swoje premiery podczas ostatnich edycji festiwalu Millennium Docs Against Gravity. Festiwalowy repertuar został podzielony na pięć sekcji tematycznych: modne, muzyczne, pasjonujące,

fotograficzne, smaczne. Wstęp na wydarzenia jest bezpłatny. Seanse odbywają się w środy i soboty przez całe wakacje. Repertuar oraz opisy filmów znajdują się na fanpage'u Elektrowni Powiśle na Facebooku.

**WARSZAWA,
ELEKTROWNIA
POWIŚLE,
DO 4 WRZEŚNIA,
GODZ. 20**



FESTIWALE



25. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Śtarówce SIMSA FÜNF

Zespół założony przez Sebastiana Simsę, wiedeńskiego perkusistę i kompozytora, to młodzi, utalentowani muzycy. Wykształceni według akademickich standardów, nie pozwalają sobie odebrać radości płynącej z nieklasycznej gry na instrumentach. Ich pomysłowość, oryginalne instrumentarium i brzmienie, rozmaite odniesienia stylistyczne: jazz, muzyka klasyczna, filmowa oraz ludowa, w połączeniu z intrygującymi kompozycjami Simsy stanowią o oryginalności kwintetu.

**WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA,
13 LIPCA, GODZ. 19**

WYDARZENIE

WSCHÓD KULTURY – INNE BRZMIENIA

W Lublinie czerwiec zakończył się festiwalem Wschód Kultury – Inne Brzmienia, przybliżającym najciekawsze zjawiska muzyczne na pograniczu różnych gatunków, tradycji i wpływów kulturowych. Wydarzenie uświetnili Lee „Scratch” Perry, The Herbaliser i Ministry, odbyły się prezentacje kultury litewskiej w ramach cyklu „Litewski focus”, dyskusje o książkach, wspólnotach, społeczeństwie i Europie Środkowo-Wschodniej, do tego doszły bogaty program wydarzeń dla dzieci, wystawy, kino, konsultacje dla muzyków i menedżerów oraz premiery wydawnicze.



Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Miejskie łąki zamiast klepiska

Kosić czy nie kosić? Oto jest pytanie



Łąka kwietna przy ulicy Browarnej w Warszawie.

Anna Brzeska

Pamiętacie państwo tę scenę z „Dnia świra”, w której Adaś Miauczyński, nie mogąc znieść hałasu kosiarki, idzie się kłócić z jej operatorem? Współcześni Miauczyńscy odetchną. Miejscy decydenci w sprawach zieleni widzą bezsens regularnego koszenia trawników.

– Obserwujemy taki trend od pewnego czasu – mówi Barbara Jędrzejczyk z warszawskiego stowarzyszenia Miasto Jest Nasze. – Trudno dokładnie określić, gdzie to się dzieje, ponieważ grunty są zarządzane przez różne podmioty. Część należy do miasta, inne do poszczególnych spółdzielni czy wspólnot mieszkaniowych, samodzielnie decydujących o wyglądzie zieleni. Jeśli chodzi o duże miasta, zmiany widoczne są we Wrocławiu, w Krakowie i częściowo w Warszawie.

Dzielnice z rezerwatem

Barbara Jędrzejczyk wyjaśnia, że pomysł zakładania łąk kwietnych w miastach staje się coraz popular-

niejszy głównie dzięki wysiłkom Fundacji Łąka. – To właśnie jej aktywiści zaczęli zwracać uwagę na to, że nie wszystkie trawniki muszą wyglądać jak te w angielskich ogrodach czy parkach – mówi. – Łąki kwietne zdecydowanie bardziej cieszą oko niż wysuszony trawnik. Częste koszenie powoduje bowiem, że jeśli przez dłuższy czas nie pada, trawniki łysieją, tworzą się z nich klepiska. W Warszawie już w czerwcu widać takie miejsca, gdzie trawa jest wyschnięta. Teraz zaś standardowo w miastach zaleca się

Częste koszenie powoduje, że trawniki łysieją.

nawet około sześciu-ośmiu koszeń. My chcielibyśmy, by ich liczba była niższa i uzależniona od warunków atmosferycznych. Jeżeli są upały, lepiej w ogóle nie kosić albo tylko podkaszając część terenu, by udostępnić go mieszkańcom chcącym np. posiedzieć na trawie – dodaje.

Łąkowi lobbyści cieszą się więc, że sprawę trawników coraz częściej biorą w swoje ręce mieszkańcy. – Wiele zgłoszeń w tegorocznych budżetach obywatelskich to właśnie projekty

dotyczące tworzenia łąk kwietnych – mówi Barbara Jędrzejczyk. – Pożądane jest to szczególnie tam, gdzie wcześniej nie było łąk i trzeba wspomóc ich wzrost za pomocą specjalnej mieszanki nasion różnych gatunków roślin, które korzystnie na siebie oddziałują – wyjaśnia.

Jako przykład tego rodzaju obywatelskiej inicjatywy wskazuje łąkę przy ruchliwym skrzyżowaniu ul. Modlińskiej z ul. Kowalczyka na warszawskiej Białotęce. – Już kolejny rok z rzędu tworzona jest tam

łąka kwietna. Niedawno siali ją sami mieszkańcy. Nie jest to przecież szczególnie trudne. Ten pomysł nadzwyczajnie się przyjął, bo jest bardzo prosty w realizacji – mówi działaczka stowarzyszenia Miasto Jest Nasze. – Niezwykle ważne jest również to, że dwa lata temu powstał Zarząd Zieleni m. st. Warszawy (ZZW). To znak, że zieleń została uznana za niezwykle ważny temat, otoczona kompleksową opieką, choć na pewno jest jeszcze wiele do zrobienia w sytuacji

upałów, suszy i zmian klimatycznych w ogóle – stwierdza.

Efekty prac ZZW są widoczne nie tylko w postaci nowych kwiatnych skwerów czy lepiej chronionych drzew, ale również w działaniach służących ochronie trawników przed zbyt częstym koszeniem. W wydaniu przez urząd poradniku „Standardy kształtowania zieleni” temu zagadnieniu poświęcono cały rozdział. Znajdziemy tam m.in. zalecenia dotyczące częstotliwości koszenia oraz punkt o trawnikach łąkowych, które są „cennym elementem przyrodniczym wzbogacającym ubogi układ ekologiczny miasta” i powinny być koszone najwyżej raz lub dwa razy w roku.

Barbara Jędrzejczyk: – Ten dokument to na pewno krok naprzód. Dotyczy on jednak tylko zieleni miejskiej, a więc zarządzanej przez miasto. Nie obowiązuje spółdzielni czy wspólnot mieszkaniowych. W tym przypadku miasto może najwyżej rekomendować pewne rozwiązania. Dlatego nasze stowarzyszenie wspólnie z firmą Pszczelarium oprócz publikacji w internecie wydało kodeks dobrych praktyk „Zieleń miejska przyjazna zapylaczom”. To bezpłatna broszura, którą wysyłamy drogą elektroniczną (jest też dostępna na stronie stowarzyszenia Miasto Jest Nasze: <https://miastojestnasze.org/zielen-zapylacze-kodeks-dobrych-praktyk/>) do wspólnot i spółdzielni mieszkaniowych, by proponować rozwiązania sprzyjające zapylaczom, zwłaszcza pszczołom i innym dziko żyjącym owadom.

Przedstawiciele fundacji i ruchów miejskich nie chcą poprzestać na łąkach. Warto tworzyć w miastach tzw. mikrorezerваты czy rezerваты kieszonkowe, które konserwowane będą na zasadach odpowiadającym ścisłym rezerwatom albo biernym sposobom ochrony przyrody.

– Idealnym miejscem dla takiego kieszonkowego rezerwatu jest część skweru nieopodal muzeum POLIN – mówi Barbara Jędrzejczyk. – Jest tam teraz wielka polana. Zagajnik byłby cudownym miejscem dla okolicznych mieszkańców oraz dzieci, by mogły również w mieście zobaczyć coś dzikiego, przypominającego przyrodę, którą można dziś spotkać tylko z dala od miejskich ulic. Miejskie mikrorezerваты mogłyby też pełnić funkcje edukacyjne ze względu na bioróżnorod-

ność. Miałyby przecież zupełnie inne walory niż wysuszona krótka trawa.

Skoszone dwa miliardy

Zwolennicy kwiatnych łąk w miastach twierdzą, że nadgorliwość w koszeniu to efekt wieloletnich nawyków. Nieskoszona trawa kojarzy się nam z zaniedbaniem. Gdy widzimy łąkę pełną chwastów na osiedlu, zaczynamy też często się zastanawiać, jak spółdzielnia lub wspólnota mieszkaniowa czy władze miasta wydają pieniądze podatników.

W upały lepiej w ogóle nie kosić albo tylko podkaszac część terenu dla mieszkańców chcących posiedzieć na trawie.

Skoro mowa o pieniądzach – według Barbary Jędrzejczyk poważną przeszkodą w zerwaniu ze szkodliwym dla środowiska nawykiem nadmierne koszenia są często długoterminowe umowy z firmami świadczącymi tę usługę. Jeśli dokument z góry określa liczbę koszeń w ciągu roku, trudno to potem zmienić. Firma inwestuje przecież w sprzęt i ludzi, a budżet wspólnot czy miast, co ma znaczenie w przypadku gruntów miejskich, planowany jest z wyprzedzeniem. Nie może być więc tak, że z góry płaci się za usługi, które potem nie zostaną wykonane. Groziłoby to zarzutami o niegospodarność.

Dlatego warto, by spółdzielnie i miasta zastanowiły się nad koszeniem już teraz, zanim zaplanują działania na kolejny rok. Zwłaszcza że według wyliczeń Fundacji Łąka, udośćnionych stowarzyszeniu Miasto Jest Nasze roczne koszty koszenia trawników mogą wynosić w skali kraju nawet ok. 2 mld zł. Fundacja obliczyła to na podstawie informacji od poszczególnych gmin. Nie każdy jednak cieszy się ze zmian. Informacja na portalu wroclaw.pl i facebookowej stronie wrocławskiego Zarządu Zieleni Miejskiej, że miasto zmniejszy częstotliwość wykoszeń oraz uzależni je od pogody i przeznaczenia danego obszaru, wywołała lawinę komentarzy. Dominowały trzy argumenty przeciwko rezygnacji z koszenia: wysoka trawa sprzyja kleszczom i komarom, jest obciążeniem dla alergików oraz utrudnia widoczność przy drogach.

Miejscy aktywiści i na to mają jednak odpowiedzi. – Jeśli kierowcy są przyzwyczajeni do otaczającej ich

biologicznej pustyni, widok wysokiej trawy może być dla nich niepokojący. Jednak badania dotyczące bezpieczeństwa na drogach mówią coś przeciwnego: jeżeli po obu stronach drogi są drzewa i krzewy, kierowcy intuicyjnie zwalniają – wyjaśnia Barbara Jędrzejczyk.

Jeśli chodzi o alergię, tu również sprawa nie jest taka prosta, jak chciałby zwolennicy koszenia. Z jednej strony alergolodzy rekomendują skracanie traw przed ich kwitnieniem, z drugiej – od lat alarmują, że mieszkańcy miast znacznie częściej

(nawet czterokrotnie!) cierpią na alergię z powodu złej jakości powietrza. – Problemem są zwłaszcza pyły oraz tzw. unos wtórny, czyli zwiększenie ich natężenia tam, gdzie zamiast zieleni jest wyschnięta ziemia czy asfalt. Te pyły mogłyby być absorbowane przez roślinność, zwłaszcza krzewy, które zatrzymują część pyłów w obrębie drogi, ale ze względu na swoją wysokość wzrostu, nie utrudniają wentylacji – tłumaczy działaczka.

Łańcuch powiązań

Jakość powietrza, alergię czy uciążliwe komary to zresztą zagadnienia, przy których powinniśmy spojrzeć na sprawę miejskiej zieleni znacznie szerzej.

Tomasz Domański, właściciel paski Miody Domańskich i ogrodnik: – Jeśli chcemy, by w mieście nie było zbyt dużo dokuczliwych owadów – komarów, meszek czy much – muszą żyć w nim ptaki. One z kolei potrzebują ziaren, nasion, drzew i szkodników na drzewach. Muszą też mieć bezpieczne miejsca dla gniazd. Te są tam, gdzie jest wysoka trawa i rosną krzewy. W nich rozwijają się też złoto-oki, biedronki i inne owady, które mogą zwalczать szkodniki na drzewach ozdobnych, np. mszyce. To wszystko współgra. Jeśli z tego łańcucha zabierzemy jakieś ogniwo, wszystko po kolei „siada”.

Mówiąc o rozwoju ekosystemu, nie można też pominąć zapylaczy. I nie chodzi tu tylko o pszczoły, o których ratowaniu wiele się ostatnio mówi. – Są takie gatunki roślin, których

► pszczoła miodna nie zapyli lub zapyli w pewnych warunkach – wyjaśnia pszczelarz. – Na przykład koniczynę czerwoną musi najpierw rozerwać trzmiel, by pszczoła miodna mogła się dostać do środka. W tej chwili pszczoł jest zresztą w miastach całkiem sporo. Pszczelarze uciekają bowiem ze wsi, zwłaszcza z rejonów sadowniczych, ze względu na opryski i rolnicze monokultury (czyli duże obszary uprawy jednego gatunku). Ale nie tylko. Tam, gdzie mamy dużo sadów, mnóstwo drzew kwitnie tylko przez trzy tygodnie. Chwasty (głównie kwitnący mniszek) są zaś zwalczane, wykaszane,

dajnych, pszczoły zbierają gorszy pyłek z roślin wiatropylnych. Niestety, przez to gorzej się rozwijają, a nawet zamierają larwy owadów. Pszczoły tracą wtedy energię na wychowywanie larw, które nawet się nie wylęgną. Podobnie jest z wiatropylną trawą – ta dla owadów zapyłających w ogóle nie jest cenna. Tym bardziej, jeżeli w mieście i na przedmieściach wszyscy kosimy trawę kilka razy w sezonie i w ten sposób likwidujemy rośliny miododajne i pyłkodajne. Tak zabieramy zapyłaczom pożytki, dzięki którym pszczołowate mogą się rozwijać i przetrwać zimą. Dieta pszczoł w okresie wakacji

nektar i odłożyć zapasy miodu. Idealnie więc, jeśli chwasty mogą wydać nasiona i zakwitnąć, zanim zostaną skoszone. Na niekoszonej łące, poza miastem, mamy kwitnącą wykę, rumianki, krwawniki, chabry, ostrożeń. Na trawnikach miejskich trudno dziś je zobaczyć – mówi pszczelarz.

Co sadzić?

Zamiast iglaków Tomasz Domański proponuje sadzenie krzewów miododajnych, choć podkreśla, że przydają się również byliny: – Utrzymanie trawnika jest najtańsze, ponieważ trawę tylko się kosi. Byliny trzeba odchwaszczać, łąki kwietne zaś dosiewać, uzupełniać. Wiadomo bowiem, że na pozostawionych samym sobie terenach prędzej czy później znacznie rosną las. Dlatego warto postawić też na krzewy, ponieważ w ich przypadku koszty ponosimy głównie na początku. Zabiegów pielęgnacyjnych wymagają raz-dwa razy do roku, są odporne na wysoką temperaturę, a więc i miejskie upały. Dobrze będzie, jeśli tak zaplanujemy nasadzenia krzewów i bylin, by stale kwitły jakieś kwiaty. To poprawi warunki dla zapyłaczy. Polecam np. irgę błyszczącą, śnieguliczkę, ewodię, amforę krzewiastą czy klon tatarski. Ten ostatni jest cenny zwłaszcza dlatego, że kwitnie podczas „luki pożytkowej” – między drzewami owocowymi a akacjami, zatem mniej wię-



Pasieka na dachu warszawskiej Galerii Wileńskiej.

żeby nie stwarzały drzewom konkurencji. To bardzo zły sposób myślenia, bo sadownicy eliminują w ten sposób również np. bluszczyk kurdybanek, jasnotę, koniczynę białą czy czerwoną, czyli dwuliścienne chwasty, które mogłyby kwitnąć i dać pokarm wszystkim zapyłaczom przez wiele miesięcy. Niekoszenie łąk ma więc sens, bo miasta, z ich bioróżnorodnością chwastów i krzewów, mogą być cennym zasobem dla pszczoł i dziko żyjących zapyłaczy (mamy w Polsce ok. 470 gatunków dziko żyjących pszczoł).

Jak wyjaśnia ekspert, problem z monokulturami polega na tym, że owady słabną, jeśli ich dieta jest zbyt mało urozmaicona. Tak jest np. z kukurydzą. – To roślina wiatropylna, a jej pyłek działa niekorzystnie na rozwój pszczelej rodziny – mówi Tomasz Domański. – Jeżeli jednak w okolicy nie ma zbyt wielu roślin owadopylnych, takich jak kwiaty na łąkach miodo-

Miasta, z ich bioróżnorodnością chwastów i krzewów, mogą być ostoją dla pszczoł i dziko żyjących zapyłaczy.

jest najważniejsza. W sierpniu i we wrześniu rodzi się pokolenie zimowe tych pożytecznych owadów. Pszczoły zimowe muszą być odżywione najlepiej, żeby zbudowały ciało tłuszczowe, które ma wpływ na zdrowie i długość życia owadów – tłumaczy.

Według eksperta w miastach jest zwykle o tyle lepiej, że rośnie w nich sporo krzewów miododajnych. Nie mają one wprowadzić bardzo dużo pyłku i nektaru, ale wydzielają go dłużej. – To np. śnieguliczka, która może kwitnąć od końca maja nawet do końca sierpnia, winobluszcz trójklapowy i pięciolistkowy. Ale już np. często sadzone w miastach lipy drobnolistne, kwitnące na początku lipca, to zwykle ostatni „towarowy” gatunek, z którego pszczoły mogą zebrać

cej w połowie maja, kiedy kończy się pierwszy rozkwit kwiatów, a kolejny jeszcze nie nastąpił. Dobre będą też lipy: japońska, krymska i lipa Moltkego – kwitną po naszych lipach i wydłużają pożytek dla pszczoł. Latem i jesienią zaś pożyteczne będą byliny: jeżówka purpurowa, chryzantemy, krwawnica oraz kocimiętka – wieloletnia bylina, niewymagająca dużej pielęgnacji, za to będąca potężną bombą pyłkowo-nektarową. Wybierając krzewy czy drzewa do miejskich ogrodów, warto zwrócić też uwagę na to, czy są odporne na zasolenie. Pod tym względem lipy radzą sobie średnio, za to dobrze znoszą miejskie warunki miododajne gatunki akacji, śnieguliczka czy róża pomarszczona.

Anna Brzeska

Wilcy i perfumowane lwy

Edward Mikołajczyk

Dla wakacyjnej higieny psychicznej zarządzam dzisiaj przerwę w pisaniu o rozboju politycznym i zwracaniu głowy czytelnikom śmierdzącymi na miłe obrzydlistwami autorstwa politruków przebranych za redaktorów, podwójnie płaconych z jednej kasy partyjnej za obie robótki. Proszę tylko panią prezydent wolnego od PiS miasta Gdańska, aby nie szła do żadnego sądu z tym szmatławcem, na którego okładce się znalazła. Byłby to niepotrzebny współudział w próbie oczyszczenia sumień ludzi, których do końca życia, a jeszcze po śmierci, powinien prześladować obraz prezydenta Pawła Adamowicza mordowanego na scenie podczas radosnego finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

A teraz terapeutyczna opowieść. Jest początek 1935 r. Geografia międzynarodowych uczuć Polaków jest mnie więcej taka: dość powszechna nienawiść do Rosjan i Czechów, Francuzi są naszymi sojusznikami, Niemcy są naszymi przyjaciółmi, a trzy najważniejsze źródła wszelkiego zła na świecie to masoni, bolszewicy i Żydzi. Moim źródłem wiedzy na ten temat jest spolszczona bardzo niedawno, a napisana w roku 1940 w USA, książka „Polish Profile” Virgillii Sapiehy.

Osobom młodszym ode mnie należy się wyjaśnienie, skąd się wzięli Czesi na liście adresatów wściekłych uczuć. Otóż Polacy uważali, że podczas wojny polsko-bolszewickiej Czesi celowo przetrzymywali broń i amunicję wysyłaną do nas z Francji. A skąd o tym wszystkim mogła wiedzieć jakaś Amerykanka? Virgilia pomieszkiwała wówczas w Polsce jako małżonka arystokraty Pawła Sapiehy, obracała się w sferach, miała informacje z pierwszej ręki, wiele słyszała i widziała, a jeśli nie rozumiała, domagała się objaśniania.

I trafiła akurat na moment, kiedy do Polski przyjechał Hermann Göring, minister lotnictwa III Rzeszy, zaproszony przez prezydenta RP do Białowieży na polowanie na wilki w celu umocnienia, jak to na polowaniu, serdecznych

Lew ma własną sypialnię, ale wieczorami wchodzi do jej łóżka, aby je ogrzać.

stosunków. W Warszawie tymczasem Virgilia dostała zaproszenie na kolację wydaną przez niemiecką ambasadorską na cześć generałowej, przyszłej marszałkowej Göringowej.

Amerykańska autorka przypomniła, że bohaterka wieczoru zanim poślubiła Hermanna, grała szekspirowskie role, i tak portretuje osobę, którą zobaczyła: „Mierzająca co najmniej sześć stóp, z bujnymi rudozłotymi lokami spływającymi spod atlasowego kapelusza, żona Göringowa nie wydawała się brzydka. Jej zarumieniona twarz miała w sobie jakąś zwierzęcą godność. Nosiła czarną suknię z wzorami z górskich kryształów po obu stronach biustu. Kiedy się odezwała, zdumiało mnie, że nie wydaje

bojowych okrzyków Walkirii. Naprawdę stanęła tutaj Pan-na Germania”.

Po obiedzie pani generałowa opowiadała o swoich ulubionych lwiątkach, które trzyma w domu, a gdy urosną w siłę przewyższającą nawet szarżę jej męża, odsyła je do zoologu Hagenbecka w Hamburgu i bierze następne. Na pytanie, gdzie trzyma lwa w nocy, odpowiedziała, że zwierzę oczywiście ma własną sypialnię, ale wieczorami wchodzi do jej łóżka, aby je ogrzać, i dopiero kiedy pani domu sama udaje się na spoczynek, pokojówka wypędza lwa.



Serdeczne stosunki z Niemcami umacniano na polowaniu w Białowieży, luty 1938 r. Hermann Göring pierwszy z lewej, prezydent Ignacy Mościcki – trzeci.

Polska arystokratka z Nowego Jorku oczywiście nie mogła sobie darować pytania o zapachy.

– Och, lew jest kąpany codziennie i spryskujemy go perfumami. Nie cuchnie, zapewniła generałowa.

Najważniejsze pytanie tego wieczoru w niemieckiej ambasadzie w Warszawie dotknęło fundamentalnej kwestii, po co się trzyma lwa jako zwierzę domowe.

– Widzi pani – zwróciła się Niemka do Amerykanki – kiedy generał wraca z pracy do domu, jest wyczerpany intelektualnie. Posyła wtedy po lwa, tarzają się po podłodze i mocują ze sobą. To jest naprawdę dobre dla mojego męża. Dla niego to ogromne odprężenie.

Kiedyś zostawiła lwa na brzegu jeziora, sama wypłynęła daleko i dopiero po dłuższej chwili zauważyła, że lew płynie za nią. Wskoczył jej na głowę, a ona od razu wyczuła, że chodzi nie o zabawę, ale o ratunek. Wzięła zwierzę na plecy i z najwyższym trudem dopłynęła z ukochanym ciężarem do brzegu.

– To był jedyny przypadek w moim życiu, kiedy byłam przerażona – powiedziała Frau Göring po uroczystej kolacji na jej cześć w ambasadzie niemieckiej w Warszawie, dawno temu.

Ćwicz wyobraźnię, a będziesz pamiętał

Powiedzmy, że mamy liczbę 208.
Niech 2 to będzie łabędź, 0 – jajko, a 8 – bałwanek,
i już jest historia do zapamiętania

Rozmawia Barbara Jagas

Czy pamięć poprawia błyskotliwość umysłu?

– Absolutnie tak.

Podobno potrafi pan w minutę zapamiętać 80 cyfr.

– Zależy od dnia i godziny. Żaden sprinter nie biegnie swojej życiówki po śniadaniu. A najlepsze wyniki osiąga się w czasie treningu.

Jak pan to robi, tzn. zapamiętuje?

– W zapamiętywaniu głównie chodzi o wyobraźnię. Trzeba znać zasady pracy mózgu, który przede wszystkim posługuje się obrazami, a nie słowami. Tymczasem my próbujemy coś zapamiętywać poprzez zakuwanie, czyli powtarzanie i zapamiętywanie, bo tak nas uczyli w szkole.

Bardzo mnie to kiedyś męczyło.

– Normalne. To jest niekompatybilne z naszym mózgiem, jego naturalnym językiem. Kiedy powiem pani słowo „kot”, zobaczy pani obraz kota, a nie słowo „kot”. Jak powiem „drzwi”, to wyobraźnia podpowie jakieś konkretne drzwi. Musiałbym powiedzieć: „Niech pani zobaczy napis »drzwi«”, aby ujrziała pani to słowo. Także na hasło „Paryż” zobaczy pani wieżę Eiffla albo Luwr, a nie usłyszaną nazwę. To pokazuje, że słownik naszego mózgu są obrazy i skojarzenia. I gdybym teraz siadł przed długim ciągiem cyfr, np. złożonym z 80 cyfr, i próbował go zakuć, czyli czytać, powtarzać, czytać, powtarzać, to nie wiem, czy udało by mi się to zapamiętać – nawet w ciągu dwóch-trzech godzin. Ale jeśli zacząć porozumiewać się z moim mózgiem za pomocą jego języka i zamienię cyfry na konkretne obrazy, będzie dużo prościej. Założę np., że zero to piłka, a jeden – frytka itp., dobierając obrazy kształtem, a następnie połączę

je skojarzeniami, wówczas wszystko szybciej zapamiętam. Powiedzmy, że trzy pierwsze cyfry tego ciągu to 208 i założymy, że 2 to będzie łabędź, 0 – jajko, a 8 – bałwanek, to historia do zapamiętania jest następująca: łabędź zniósł jajko, ono spadło na głowę bałwana i nabiło mu guza. Kiedy stworzymy taki ciąg skojarzeń, nasz mózg lepiej wszystko zapamięta, ponieważ od dziecka jesteśmy karmieni wszelkimi historiami. Potem łatwiej nam będzie przypomnieć sobie historijkę, jak spadło jajko i uderzyło w głowę bałwana, niż gołą liczbę 208.

A czy można zrobić odwrotnie? Jeśli chcę zapamiętać jakieś obrazy, to mogę je zamienić w cyfry?

– To wiele nie da. Trzeba by było później te cyfry i tak zamienić na konkretne, znane nam obrazy. Ale powiedzmy, że zapiszemy jakiś utwór muzyczny za pomocą cyfr. Aby jednak to zapamiętać, musimy znowu nadać jakieś skojarzenia cyfrom, żeby zapamiętać obrazy.

Rozumiem, choć nie do końca mnie to przekonuje.

– Zawsze lepiej sobie coś wyobrazić, by zapamiętać. Kiedy uczymy się w szkole o ruchu prądu i elektronach, które się przesuwiają, to nie mamy problemów z nauczeniem się tego, pod warunkiem że jesteśmy w stanie sobie to wyobrazić.

Wymyślanie historyjek jest dość dziwne i nie wiem, czy mózg chce je zapamiętać. Twierdzi pan, że jeśli mamy kupić jajka, masło i papier toaletowy, to – aby lepiej zapamiętać – można sobie wyobrazić, że posmarowaliśmy papier toaletowy masłem i wytarliśmy nim rozbite jajko. Wszystko potem jest lepsze i nieprzyjemne. Dla mnie to dziwaczna opowieść!

– Ale właśnie o to chodzi, by była niezwykła. Nasz umysł takie lu-



BARTŁOMIEJ BORAL

– trener pamięci i założyciel szkoły Best Brain, pięciokrotny złoty medalista w Mistrzostwach Polski Pamięci

bi i lepiej je pamięta. A my, dorośli, jesteśmy zbyt uporządkowani, aby puścić wodze wyobraźni, widzę to na warsztatach, które prowadzę. Kiedy mówię: połącz grabie z piłką, dorosły odpowie od razu: „Grabiami przebiłem piłkę”. OK, to nie jest zła historia. A gdybyśmy ułożyli sobie taką, że grabiami grałem w piłkę i piłka zrobiła się dziurawa? Czy to nie ciekawsze?

Rozumiem, że chodzi o wywołanie emocji. Wtedy lepiej się zapamiętuje dane opowieści.

– Tak, właśnie dlatego historyjka powinna być nietypowa. Ale do tego potrzeba wyobraźni. Dorośli mają jej mniej.

Uważam, że można się umówić ze sobą tak, że będziemy wymyślać niestworzone historie.

– To jest jakieś rozwiązanie. Tylko pamiętajmy, że historia nie może być nielogiczna. W tamtej opowieści jednak grabie przebiły piłkę.

Chodzi o to, że nasz mózg jest logiczny. Dlatego historyjka musi być realna. Tworzenie takich historii opiera się na konkretnych zasadach: mają one być interesujące, krótkie i najlepiej przyczynowo-skutkowe.

A wracając do pytania, czy pamięć wpływa na błyskotliwość. Otóż tak, dzieje się to poprzez trening polegający na zapamiętywaniu setek niepołączonych wcześniej elementów, które teraz musimy połączyć. I jeśli ktoś tego nie robi, a musi nagle połączyć krowę z młotkiem, będzie miał problem. Natomiast osoba, której mózg zrobił już wiele takich dziwnych połączeń, szybko wymyśli, że krowa z młotkiem może gonić byka lub przywiązać sobie młotek do ogona, może też zrobić sobie z młotka twarde kopyta albo ćwiczyć jak na siłowni, przywiązując sobie młotek do wymion.

?!

– Te pomysły normalnie nie przyjdą nam do głowy. Ale gdyby pani ćwiczyła skojarzenia, to tak. Przeszedłem taki trening pamięci jako dziecko i zapamiętywałem wtedy bardzo dużo rzeczy. W życiu dorosłym zacząłem się zastanawiać, dlaczego tak się dzieje, że np. w gronie znajomych mam bardzo dużo różnych pomysłów. Często wyjątkowych. Doszedłem do wniosku, że to właśnie dzięki dzieciństwu, w którym moja głowa ćwiczyła tysiące różnych dziwnych skojarzeń, historii, połączeń, i teraz jestem w stanie przy jakimś problemie podać bardzo

Dlaczego?

– Bo szkoła nas ogranicza w uruchamianiu wyobraźni i takie są tego skutki.

Tak, uczy schematycznego myślenia. Ale nie tylko szkoła, to jest efekt socjalizacji, kultury itp.

– To prawda. Natomiast jeśli chodzi o edukację w ogóle, jest ona mocno lewopółkulowa. A lewa półkula mózgu odpowiada za logiczne myślenie, uporządkowanie, prawa natomiast za odbiór muzyki, kolorów, wyobraźnię. Nawet nauka języka polskiego uruchamia w większym stopniu lewą

Mózg przede wszystkim posługuje się obrazami, a nie słowami.

półkulę, bo uczy nas schematów, np. tego, że wypracowanie musi mieć wstęp zawierający 10% całości, potem jest rozwinięcie tematu, co stanowi powiedzmy 70% i zakończenie. Tak więc wychodzimy ze szkoły mocno uporządkowani umysłowo. Tymczasem młode umysły pragną rozwoju kreatywności. Dlatego dzieci lubią nasze zajęcia. Autentycznie żałują, że są wakacje albo jakieś święta, kiedy się nie spotykamy.

Widocznie dużo ciekawych rzeczy dzieje się na państwa zajęciach.

– Ale my nic innego nie robimy, tylko uruchamiamy ich wyobraźnię.

No tak, bo właśnie szkoła, a potem rodzice w domu ją tłumią.

– W tym rzecz. Z kolei u nas dzieciaki mogą sobie wyobrażać dowolne rzeczy i mówić o nich wprost.

No dobrze. A ja mam konkretny problem – chcę zacząć jeździć samochodem i muszę się nauczyć znaków drogowych. Jak najlepiej je zapamiętać?

– Stosujemy zasadę opartą na trzech literkach: SWP, czyli skojarz, wyobraź sobie i powtórz. Weźmy taki znak drogowy: ustąp pierwszeństwa przejazdu, czyli odwrócony żółty trójkąt. Najpierw musimy go sobie z czymś skojarzyć, czyli zamienić symbol na konkretny obrazek czy obrazki. I w takim układzie trójkąt możemy skojarzyć sobie z piramidą,

a kolor żółty – ze słońcem. Potem to sobie wyobrażamy i łączymy z tym, co dany znak oznacza. Rezultat może być następujący: „Kiedy słońce świeci na piramidę, ta piramida jest tak majestatycznie piękna, że musimy ją przepuścić”.

Rzeczywiście, dobre do zapamiętania.

– Weźmy teraz znak oznaczający ślepą uliczkę: mamy czerwoną belkę na górze, białą belkę biegnącą w dół, niebieskie tło i kwadrat. Możemy to sobie wyobrazić tak: biała belka to jest śnieg, droga ze śniegiem; możemy iść drogą ze śniegiem, ale na końcu jest rozgrzany wulkan z lawą. Nie przejdziemy tam, bo się stopimy. Trzeba będzie zawrócić.

A co jest złego w samym wkuwaniu? Przecież to także działa.

– Nie wykorzystujemy tutaj potencjału naszego mózgu. Jeżeli ma się BMWX5 i się wsiada do niego, a potem w nim trochę posiedzi i wyjdzie, to było fajnie. Ale nie pojechalibyśmy nim dalej. Jeśli natomiast wsiądziemy do Fiata 126p i przejedziemy się nim parę metrów, mamy satysfakcję. Bo wykorzystaliśmy to, do czego służy samochód.

Lubi pan wyjaśniać obrazowo.

– Jeśli będziemy tylko wkuwać, nie wykorzystamy naszego mózgu, do czego został stworzony, i mało tego – szybko wszystko zapomnimy. Chyba że wiele razy coś powtórzymy. Tak jest z datą 1410 – bitwa pod Grunwaldem.

Tak, to wszyscy wiedzą.

– Ale wymagało dziesiątek powtórek. Tymczasem można to było zrobić inaczej. Mamy datę 1410, praw-

SWP, czyli skojarz, wyobraź sobie i powtórz.

dużo rozwiązań. Naprawdę trudno o sytuację, w której bym powiedział: „Tego nie da się zrobić”.

Bo takie treningi rozwinęły u pana ogólną inteligencję.

– Bardzo lubię test na inteligencję rozbieżną, czyli na liczbę generowanych pomysłów zastosowania danej rzeczy. Robiono badania na ten temat – najpierw dano spinacz dzieciom i poproszono je, aby wymyślały, do czego można go wykorzystać. A potem poproszono o to samo młodzież, następnie studentów i na końcu dorosłych. Rezultat? Dzieci były w stanie wymyślić po sto zastosowań spinacza, a dorośli już tylko kilka.

Wiedzą też, że im dziwniejsze, bardziej wyjątkowe skojarzenia będą miały, tym lepiej. Oczywiście wszystko w granicach kultury osobistej.

Jakie są techniki zapamiętywania?

– Wszystkie techniki sprowadzają się do zasady: skojarz, wyobraź sobie i powtórz. Tak jak w technice zapamiętywania cyfr, o której wspominałem, gdzie możemy sobie skojarzyć cyferki z obrazkami albo parę cyfr z jednym obrazkiem, albo też w taki sposób, że jedna cyfra jest osobą, druga czynnością, a trzecia rzeczą; zapamiętujemy wtedy trójkami. Za każdym razem chodzi o skojarzenie cyfr z obrazem, potem wyobrażenie sobie tych cyfr, a na końcu – powtórkę.

► da? Staramy się powiązać cyferki z obrazkami i bitwą pod Grunwaldem, aby było to atrakcyjne dla naszego mózgu. Jedynek możemy sobie odpuścić, bo w datach, których się uczymy, z reguły na początku jest 1. Następnie mamy czwórkę – to

Jak się tego nauczyć? Możemy mieć skojarzenie z wódką Bols. Wtedy wyobrażamy sobie wódkę Bols wyciąganą z torebki. A jeśli ktoś inny ma skojarzenie z „boso”, to może być tak: kobieta idąca boso zakłada torebkę zamiast butów na stopy.

więcej widzę, czuję i lepiej odbieram smaki, ale też mam lepszą pamięć.

– Bo jest pani spokojna, radosna, na luzie i wtedy wydziela się dopamina, która pomaga w zapamiętywaniu. Jeśli natomiast ktoś jest zestresowany, wydzielają się kortyzol, który paraliżuje pamięć. Na przykład trudno jest pobić rekord pamięci na mistrzostwach, jeśli jesteśmy zdenerwowani. Ale jeśli czujemy się spokojni, wtedy wszystko dobrze nam idzie. **Jak ćwiczyć wyobraźnię, która jest nieodzowna dla dobrej pamięci?**

– Trzeba po prostu ją ćwiczyć. Jeśli czytamy książki, trzeba koniecznie sobie wyobrażać, co się przeczytało. Albo słuchając muzyki, wyobrażać sobie, co przedstawia. Na tym polega odblokowanie kreatywności, takiej dziecięcej wyobraźni.

A czy kurs pamięci może zmienić życie?

– Tak, bo daje pewność siebie i świeżość – świeżość w nauce, podejście do uczenia się.

Barbara Jagas

Ze szkoły wychodzimy uporządkowani. Tymczasem młode umysły pragną rozwoju kreatywności.

może być krzesiśko, jedynka – frytka, zero – jajko. Historyjka może być taka: na krzesiśku leżała sterta frytek z McDonalda, rozbiliśmy na to jajko i ucztowaliśmy, żeby uczcić zwycięstwo husarii pod Grunwaldem. Jeśli stworzymy taką historię, to będzie ona tak atrakcyjna dla mózgu, że wystarczy parę powtórek, aby nam to pozostało w pamięci na długo. Gdybyśmy mimo to zapomnieli tę datę, to mamy do czego wrócić, a mianowicie – do konkretnego obrazu.

Owszem.

– Podam jeszcze przykład nauki hiszpańskiego. Tam torebka to *bolso*.

Sama nie wymyśliłabym czegoś takiego. Ale nauka hiszpańskiego może być przyjemna.

– I o to chodzi, aby taka była. Moi uczniowie po treningu pamięci potrafią nauczyć się 14 obcych słówek w pięć minut. W ten sposób za rok znamy nowy język. A jeśli tylko byśmy się zajęli nauką tego języka, poświęcając mu pięć godzin dziennie, to opanujemy go w trzy miesiące – na poziomie komunikatywnym.

Pan mówi, że gdy trenujemy pamięć, wyostrzają nam się zmysły.

U mnie to działa w drugą stronę.

Jeśli mam dobry nastrój, nie tylko



2019 / 2020

Filharmonia
Narodowa

Arcyksiążę

Opowieść o żabie, którą podkuli

PiS i pisowska dyplomacja chwalą się, że odnieśli sukces, blokując kandydaturę Fransa Timmermansa na stanowisko szefa Komisji Europejskiej. „Każdemu, kto będzie przeciwko nam, złamiemy karierę!” – wołają pisowcy. Czyżby rzeczywiście tak było?

Szef Komisji Europejskiej to najważniejsze stanowisko unijne. Zdobywa się je w wyniku skomplikowanych ustaleń, przede wszystkim między Francją i Niemcami oraz chadekami i socjalistami. Tak było i tym razem. Chadeacy mieli swojego kandydata – Niemca Manfreda Webera. A socjaliści – Holendra Fransa Timmermansa.

Najpierw socjaliści z Francuzami utracili Webera. A potem swój protest rozpoczęły Polska i Węgry. I wtedy Angela Merkel orzekła, że nie można mianować kogoś wbrew stanowisku grupy państw, czyli konkretnie państw wyszehradzkich. Decyzję podjęta szybko i wrzuciła do puli kandydatów swoją koleżankę z partii i rządu – minister obrony Niemiec Ursulę von der Leyen.

Nie czarujmy się. Angela Merkel dostała pretekst, by zatrzymać Timmermansa, i go wykorzystała. Grupa Wyszehradzka jest zbyt mała, by cokolwiek zablokować w Unii, zawsze można ją przegłosować. Pamiętajmy, że tzw. wzmocniona większość kwalifikowana wynosi w Unii co najmniej 72% członków Rady, którzy reprezentują co najmniej 65% ludności UE.

Poza tym Wyszehrad to nie jest monolit, łatwo tę grupę rozbić, parokrotnie Niemcy już to robiły, choćby podczas wyboru Tuska (27:1). Tym razem nawet nie próbowały. Bo po co?

Tak oto PiS wystąpiło w roli pożytecznego idioty Berlina.

W sumie jest to śmieszne, bo PiS przez lata całe atakowało Tuska, że to człowiek Angeli Merkel, potem atakowało Timmermansa, że Holendrzy to prawie jak Niemcy, więc teraz ma Ursulę von der Leyen. Którą poparto i z tego się cieszy.

Ba! Uważa też, że jej wybór to zasługa pisowskiej dyplomacji. Oto żaba, której się wydaje, że ją podkuli.

Poza tym lejtymotywnym narracji PiS wobec Unii była teza, że rządzi tam dyktatoriat. Czyli Niemcy z Francją, którzy dopraszają sobie Włochów i Hiszpanów. Tak mówił Jarosław Kaczyński. Po takich deklaracjach można było się spodziewać, że Polska będzie w Brukseli walczyć o rozbięcie dyktariatu i wprowadzenie na najważniejsze stanowiska w Unii przedstawicieli innych państw. A wyszło tak, że obok Ursuli van der Leyen szefowie państw i rządów Unii mianowali na stanowisko prezesa Europejskiego Banku Centralnego Christine Lagarde (Francja), na stanowisko wysokiego przedstawiciela do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa Josepa Borrell (Hiszpania). Przewodniczącym Rady Europejskiej po Donaldzie Tusku został były premier Belgii Charles Michel. A szefem Parlamentu Europejskiego David Sassoli (Włochy).

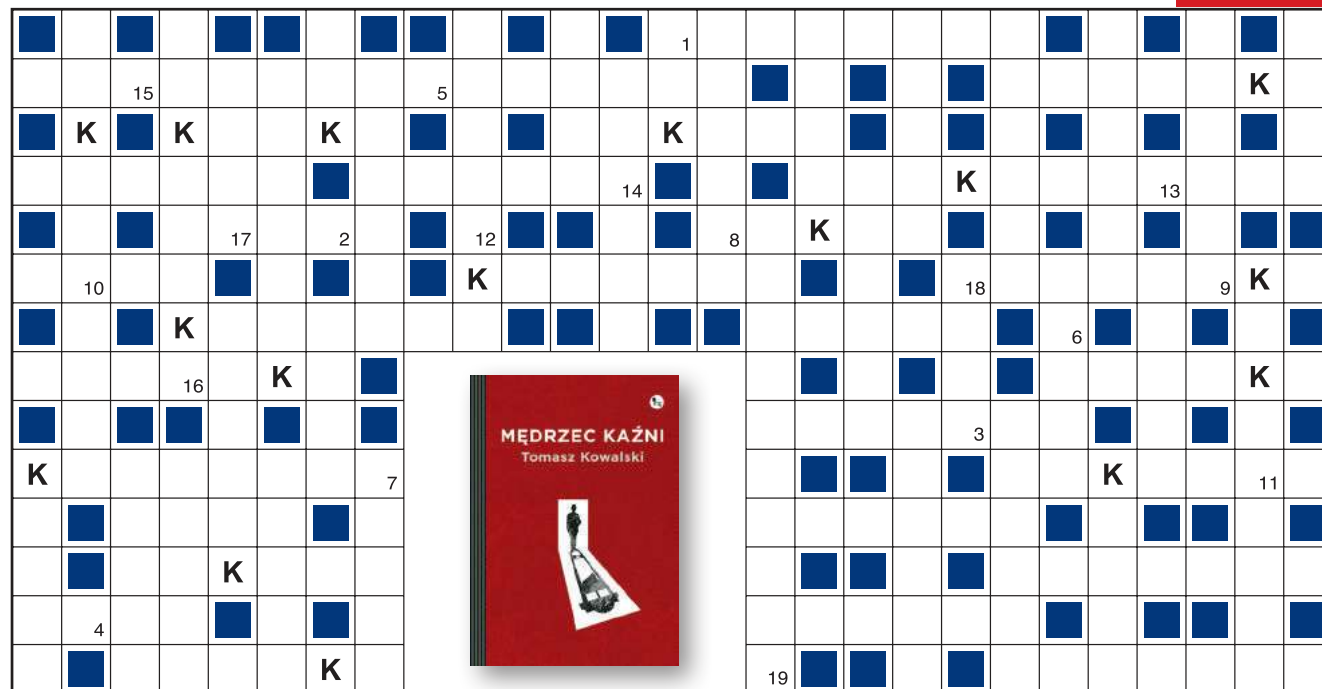
Jednym słowem, i Polska, i w ogóle nasz region, dostały w unijnych głosowaniach tęgi łomot. Oprócz krzyków „precz z Timmermansem” nie udało się Mateuszowi Morawieckiemu zbudować jakiegokolwiek skutecznej koalicji, co wykorzystała Angela Merkel, by wzmocnić pozycję Niemiec.

Choć oczywiście PiS i pisowskie media okrzyknęły to wszystko wielkim sukcesem. Na zdrowie.

Attaché

Głowa koronowana na tle innych głów – królowa brytyjska Elżbieta II odwiedziła Gorgie City Farm w Edynburgu.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpagdywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- rozpuszcza lakiery, tłuszcze
- latem rozmięka na jezdni
- Chimalpopoca lub Cuauhtémoc
- dziupla nęcąca niedźwiedzia
- podkładana pod pieluszkę
- wybrany do reprezentowania np. załogi

- wydajność, skuteczność
- obsługuje ręczny karabin maszynowy
- w nim rozchodzą się fale radiowe
- krótka pelerynka z futra
- hiszpańskie święto i model Forda
- Max, autor „Homo faber”
- umysł, rozum

- dziewczynka wyganająca Chochola w „Weselu”
- o bardzo ruchliwym i wesołym
- stalowe widelki stroiciela
- imię Modzelewskiego
- 1000 W
- rzadki widok w dobie długopisów
- tam odgazowuje się węgiel kamienny
- uczy się pilnie, ale mechanicznie
- wypowiedź aktora w sztuce
- nocna przy łóżku
- np. Krystyna Czubówna
- nadawane wasalowi przez seniora
- wykrywany na bramce na lotnisku
- i wielka liczba, i ciarki

- nadawana czemuś
- miasto u podnóża Wezuwiusza
- brazylijski piłkarz, na czele najdroższych transferów
- z Promenadą Anglików we Francji
- autor zbioru wierszy „Vade-mecum”
- grupa rockowa z Liamem Gallagherem
- budynek dla bydła
- carska tajna policja polityczna
- zna się na guzach złośliwych
- kto je zjada, ten piękny i gładki
- kształt welodromu
- najmocniejszy kolor w brydżu
- ...o nieomyślności – cecha wielu polityków
- pomieszczenie dla ogarów
- porywczy jak Cześniak z „Zemsty”

- drzątek przy sterze
- wymaga dochowania
- państwo z Wojwodiną
- przetak lub rzeszoto
- do maszyn albo do nart
- odpowiedniość, właściwość
- najważniejsze dla modnisi
- dźwiękowa, rowerowa lub zdrowia
- bez niego – na kocią łapę
- „... Kilimandżaro” Hemingwaya
- sprawdzian z punktowanymi pytaniami
- powtarzający się mimowolny skurcz mięśni
- po dniówce przy rewolwerówce
- wędrowiec, obieżyświat
- długa, luźna bluzka
- z niego syreny w tytule powieści Vonneguta
- odmiana, wersja
- ...Boży – św. Franciszek
- był czarny na giełdzie nowojorskiej

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-916”. Do rozlosowania książki „Mędrzec kaźni” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 14 lipca 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-913” z 23 czerwca: Uczucia nie mają wieku.
Nagrody otrzymują: Dariusz Janicki z Łomży, Witold Joniewicz z Warszawy, Jan Makowiec z Biecha.

PENETRACJE

stolica

PROF. JERZY BRALCZYK,
JĘZYKOZNAWCA

Skoro już jesteśmy „słoiakami”, to warto się zastanowić: być „słoiakiem” to dobrze czy źle? Jest taki rodzaj określeń, które rodzą się jako negatywne, a potem szybko zostają przejęte. Tak bywa czasem z językiem politycznym. Kiedy modne było pogardliwe określenie „wykształciuchy”, wielu ludzi mówiło o sobie z satysfakcją: jestem „wykształciuchem”! Podobnie było z tzw. gorszym sortem. Tak samo ze „słoiakami”, z „lemingami”, z „moherami”... Ten „słoiak” również nie bardzo się udał, bo w moim przekonaniu nie jest wcale pogardliwy – „słoiaki” to określenie przejęte i się ucieszyły.

POLSKA

BARBARA PIWNIK,
SĘDZIA

Jeżeli przedstawiciele władzy mówią „zabójca”, „zbrodniarz” o człowieku, którego boso i w bieliźnie wyprowadzają z domu i któremu nikt jeszcze zarzutu nie przedstawił, to po co są sądy? Jeżeli przedstawiany jako ekspert ds. bezpieczeństwa byłby oficer CBŚ Jacek Wrona opowiada, że był upały, nie było mrozu, więc co z tego, że zatrzymany przez policję Jakub A. był prowadzony boso – to ja jako obywatel, czuję się obrażona. Zachowanie policji było niestety typowe.

onet

ADAM ZAGAJEWSKI,
POETA, PROZAİK

Pani Szydło jest ideałem człowieczeństwa dla pół miliona osób. Nie zna języków, okropnie się ubiera, mówi głosem przedszkolanki w depresji, najwyraźniej nie uprawia sportu i nie czyta rozpraw Carla Schmitta, jak jej tajemniczy szef – ale podoba się. Myślę, że tylko Gombrowicz mógłby nam to wytłumaczyć.

VIVA!

ANDRZEJ GRABOWSKI,
AKTOR

Całe moje życie zawodowe polegało na tym, że ciągle miałem kłopoty z szefami, zwierzchnikami, dyrektorami. Krystyna Meissner wyrzuciła mnie z Teatru Starego, odszedłem ze Słowackiego po pół roku, w połowie sezonu opuściłem Teatr Solskiego w Tarnowie, bo się pokłóciłem z dyrektorem. W szkole teatralnej powtarzałem trzeci rok, z akademika mnie wyrzucili... Za wybryki chuligańskie. Na drugim roku wyleciałem z impostacji głosu za brak szacunku dla przedmiotu i pedagoga. Najwięcej nauczyło mnie powtarzanie trzeciego roku. Kiedy Jerzy Jarocki wpisywał mi dwóję do indeksu, powiedział takie oto słowa: „Ja panu daję dwóję nie dlatego, że pan nie będzie aktorem. Bo pan będzie. Ale pan jest za głupi, żeby tę szkołę skończyć teraz”.

Aby język giętki...

MAREK JUREK O JACKU KURSKIM

Był czas, gdy uważał, że Jarosław Kaczyński potrafi tylko notorycznie przegrywać wybory.

PAWEŁ WOJTUNIK O PRZECIEKACH

Chciałem zatamować przecieki, bo z CBA ciekło jak z durszlaka. Przecieki z afery hazardowej publikował Cezary Gmyz.

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO
O POLSKICH KATOLIKACH

Ogromna liczba dzieci rodzi się poza małżeństwami. Nikt nie przejmuje się naukami Kościoła w sprawach seksu przedmałżeńskiego, aborcji czy in vitro.

GRAŻYNA WOLSZCZAK O OPTYMIZMIE

Jestem niepoprawną optymistką. Nie rozumiem, dlaczego coś miałoby pójść źle, a jak idzie, bardzo się dziwię.

KATARZYNA KWIATKOWSKA
O CIERPLIWOŚCI

Długo czekałam, by zagrać postać dramatyczną. Chciałam udowodnić, że przed kamerą potrafię nie tylko rozbawiać. Doczekałam się, i to od razu głównej roli w „Dniu Kobiet”.

ANITA WŁODARCZYK O ZAZDROŚCI

Mam bliskie osoby w sporcie, ale większość zwyczajnie mi zazdrości. Każdy ma otwartą drogę do sukcesu, ale to ja się poświęciłam w stu procentach, by zostać mistrzynią.

JAN PESZEK O PRACY

Nigdy nie interesowała mnie kariera, ale samo granie. Ono jest sensem życia.

JERZY STUHR O AUTORYTECIE

Lubię być autorytetem. Czyli świecić przykładem życiowym, mówić, jak uprawiać ten zawód.

KATARZYNA DOWBOR O TELEWIZJI

Miewam jej dość, ale po dwóch tygodniach urlopu czuję, że nie mogę bez niej żyć.

MAGDALENA CIELECKA O ZWIĄZKACH

Fascynuje mnie w nich to, że na nowo uczę się, kim jestem. Dla mnie relacja dwójki ludzi jest jak podróż. Podobnie jak mój zawód.

JACEK PONIEDZIAŁEK O WRAŻLIWOŚCI

Byłem tak niepewny siebie i tak wrażliwy na krytykę, że gdyby ktoś dmuchnął, tobym zgąsł.



Rzeź manekinów – droga w pobliżu centrum mieszkaniowego i biurowego w Hanoi.

FOT. FORUM/REUTERS

Uczciwy jak Polak

Prestiżowe czasopismo naukowe „Science” ogłosiło, że mieszkańcy Polski należą do grona najuczciwszych znalazców portfeli na świecie. Badanie przeprowadzono w 40 krajach, a liderami rankingu zostali Szwajcarzy, którzy zwrócili 79% portfeli z pieniędzmi oraz 74% pustych. Nad Wisłą uczciwych znalazców było odpowiednio 69% i 63%, co dało nam szóste miejsce w zestawieniu. Poza Helwetami wyprzedziły nas tylko inne zamożne narody: Norwegowie, Holendrzy, Duńczycy i Szwedzi.

Tonący wody się chwyta

Musimy pozbyć się diabła, może wtedy w naszym mieście wróci spokój, który straciliśmy z powodu zbrodni, korupcji, zła i przemytu narkotyków – ogłosił biskup kolumbijskiej diecezji Buenaventura. Rubén Darío Jaramillo Montoya podkreśla, że skoro nie pomogła interwencja wojska, konieczne jest zastosowanie radykalniejszych metod. 14 lipca, w dniu święta patrona Buenaventury, zamierza spryskać miasto wodą święconą, wykorzystując do tego śmigłowiec marynarki wojennej. Jeśli to nie pomoże, zostanie chyba tylko desant komanda egzorcystów.

Odpoczywasz – wygrasz

W jednym z parków w Seulu odbyła się kolejna edycja zawodów w nicnierobieniu, w której wzięło udział



70 uczestników. Zasady są proste: wygrywa osoba, która jest w stanie relaksować się najdłużej. Uczestnicy nie mogą spać, używać urządzeń elektronicznych, nie mogą ze sobą rozmawiać, a nawet się śmiać. Pomysłodawcą konkursu jest artystka sztuk wizualnych Woops Yang, która doświadczyła wypalenia zawodowego i zdała sobie sprawę, że całe południowokoreańskie społeczeństwo potrzebuje zwolnić i nauczyć się wypoczywać.

Było i nie ma

Kolektyw Do Something Good stworzył aplikację na iPhone'y, która usuwa ludzkie sylwetki ze zdjęć. Artyści tłumaczą, że Bye Camera ma pokazywać w symboliczny sposób, że technologia jest w stanie wymazać nasze istnienie na Ziemi, a jako gatunek możemy stać się zbędni. Mniej wzniosłym celom służy DeepNude. Dostępna także w darmowej wersji aplikacja dzięki sztucznej inteligencji potrafi „zdejmować” ubrania kobietom na fotografiach. Została opracowana przez programistę z Estonii, który przestraszony jej sukcesem przestał ją udostępniać kolejnym osobom. A to aparat!

Piwna antifa

Około 600 osób przyjechało do saksońskiej miejscowości Ostritz na festiwal neonazistowskiej muzyki Tarcza i Miecz.

Przed imprezą sąd w Dreźnie zakazał sprzedaży i posiadania alkoholu przez jej uczestników, w związku z czym policja skonfiskowała im ponad 4 tys. litrów piwa. Mieszkańcy chcieli mieć jednak pewność, że polityczni psychopaci nie uzupełnią zapasów w lokalnym supermarkecie. W tym celu wykupili cały zapas trunku, ponad 200 skrzynek. – Użyliśmy ten plan z tygodniowym wyprzedzeniem. Chcieliśmy wysuszyć nazistów – wyjaśnił mediom Georg Salditt, miejscowy aktywista.

Napój życia

Wysuszenie groziło także 50-letniej mieszkance Padwy, która w okresie

MEMY BEZ ŚCIEMY





Obnośne punkty
gastronomiczne –
afgański sprzedawca
samosów oraz kam-
bodżańska prze-
dawczyni smażonych
świerzczy i innych
jadalnych owadów.

rekordowych upałów na 27 godzin utknęła w windzie. Urządzenie, które utknęło między piętrami, nie miało przycisku alarmowego, a kobieta – telefonu komórkowego. Wezwania pomocy nic nie dały, gdyż nieszczęśniczka była sama w kamienicy. Jej córka, zaniepokojona tym, że mama nie oddzwania, pojechała do niej, a gdy odkryła awarię – wezwała pomoc. Kobieta uniknęła odwodnienia, gdyż miała ze sobą skrzynkę wina, którą wiozła do piwnicy. Czy potrzeba więcej dowodów na to, że wino jest napojem życia?

Sojowe latte? To już było

Na wystawie Horticulture Innovation w Melbourne zaprezentowano nowy rodzaj kawy: kalafiorową latte. Dodatek proszku z kalafiora pozwala zaspokoić sporą część dziennego zapotrzebowania na warzywa, a ponadto sprawia, że napój ma jedwabistą konsystencję i jest mniej gorzki. Produkt stworzyli naukowcy z australijskiej publicznej instytucji badawczej CSIRO, która rok wcześniej zaprezentowała kawę z proszkiem z brokułów. Zdaniem farmera, który uczestniczył w brokułowym projekcie, następne w kolejce są kawy szpinakowa i marchwiowa.



FOT. WKOP, FACEBOOK.COM/SEKCJAGIMNASTYCZNA, FACEBOOK.COM/PISNAKSIEZYC, AFP/EAST NEWS (2)

eprasa.pl fcc32f1861



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,

Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik

Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorothea Markowska-Burbelka,

Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Natalia Czarnecka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

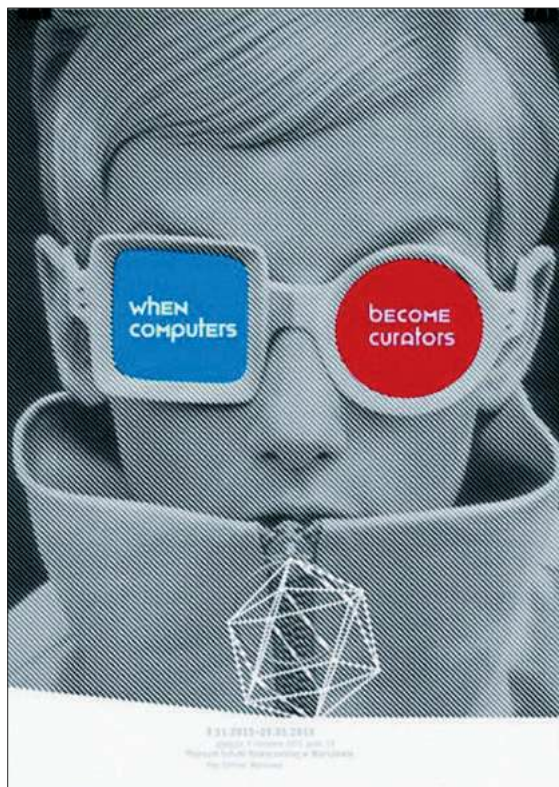
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

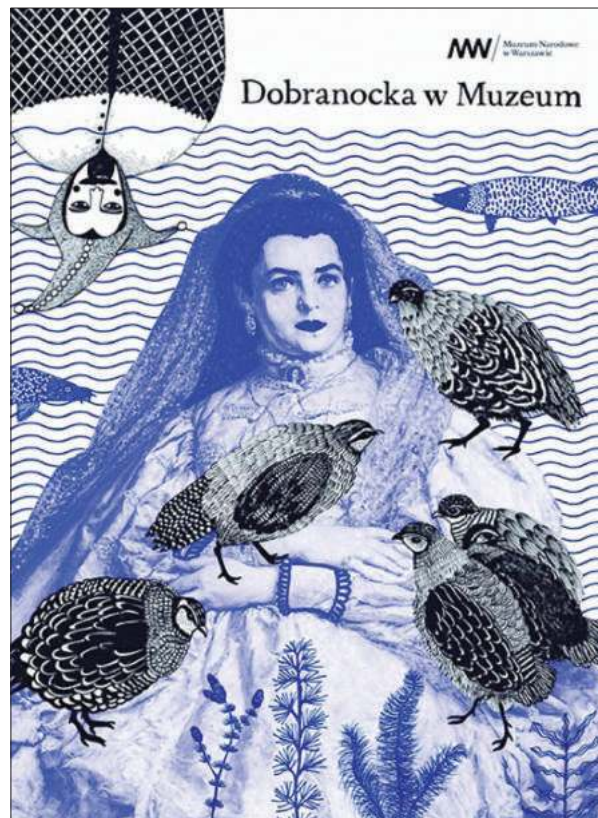
KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Kyoto Institute of Technology Museum and Archives
1 Matsugasaki, Hashikami-cho, Sakyo-ku
do 10 sierpnia

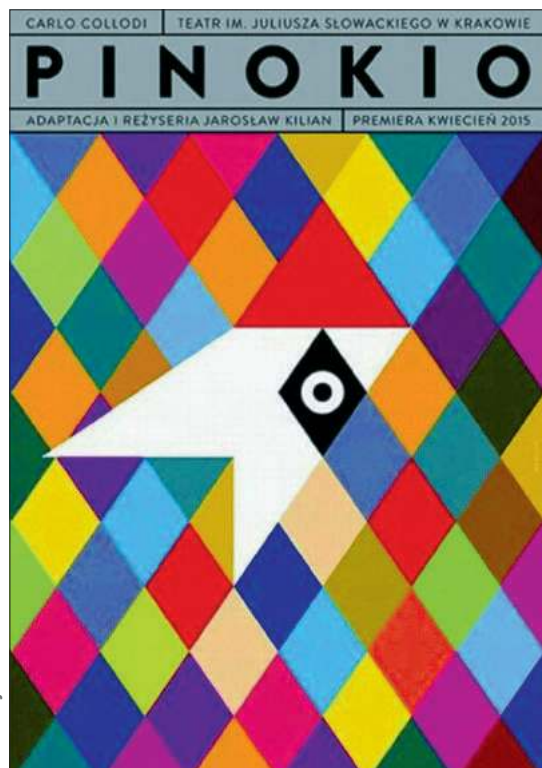


Katarzyna Walentynowicz



Zorganizowana w Kyoto wystawa „Polski plakat współczesny: od złotego okresu lat 50. do dzisiaj” prezentuje prace przedstawicieli kilku pokoleń grafików. W pierwszej części wystawy zwiedzający obejrzą m.in. plakaty Eryka Lipińskiego, Henryka Tomaszewskiego i Jana Lenicy, w drugiej pokazano najnowsze trendy w twórczości artystów młodego pokolenia, które reprezentują: Jan Bajtlik, FONTARTE, Małgorzata Gurowska, Krzysztof Iwański, Tymek Jezierski, Made in Cosmos / Katarzyna Muranty i Łukasz Sawicki, Julia Mirny, Patryk Mogilnicki, Aleksandra Niepsuj, Magdalena Pilaczyńska, Anna Światłowska, Katarzyna Walentynowicz.

Polski plakat współczesny w Muzeum Kyoto Institute of Technology



Jan Bajtlik



Magdalena Pilaczyńska

FOT. MATERIAŁY PRAOSWE



STRAIGHT NO CHASER

LIVE NATION

OPEN STAGE

13 września | Klub Stodoła | Warszawa



HAPPYSAD

17 października | Klub Stodoła | Warszawa



KULT

07 listopada | Klub Stodoła | Warszawa

08 listopada | Klub Stodoła | Warszawa

09 listopada | Klub Stodoła | Warszawa



KASIA KOWALSKA

10 listopada | Klub Stodoła | Warszawa



MUNIEK STASZCZYK

30 listopada | Klub Stodoła | Warszawa

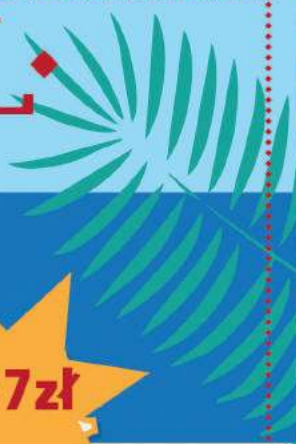


LADY PANK

14 grudnia | Klub Stodoła | Warszawa



TEATR CAPITOL

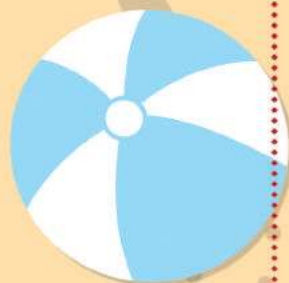


WAKACYJNY KARNET
3 x TAK!

237zł

3 KOMEDIE
30% RABATU
300% RADOŚCI

KUP WAKACYJNY KARNET
TEATRU CAPITOL
I CIESZ SIĘ TAŃSZYMI BILETAMI
NA TRZY DOWOLNE SPEKTAKLE*!



*PROMOCJA OBOWIĄZUJE NA SPEKTAKLE W TERMINIE OD 3 LIPCA DO 1 WRZEŚNIA 2019.



CO biega?



Kiedy kota nie ma...



ALBI
od ZARAZ



WYKRZYWAĆ
KŁAMSTWA



PARY DO PARY



DAJCIE MI
TENORA!
KEN LUDWIG

najlepsze komedie ♦ gwiazdorskie obsady ♦ klimatyzowane sale ♦ orzeźwiające napoje
Szczegóły na www.teatrcapitol.pl oraz w kasie Teatru Capitol.